OSTRY WYWIAD Z OJCEM PREMIERA

Kornel Morawiecki: Na relacje z Rosją nie mamy, niestety, żadnego pomysłu

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 31/283 30 LIPCA–5 SIERPNIA 2018

CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Kiedy Kaczyński wróci do zdrowia?

JEFF BEZOS – JAK ZOSTAŁ NAJBOGATSZYM CZŁOWIEKIEM NA ŚWIECIE

Lisicki: komu przeszkadza papież Benedykt XVI

Wsadzimy PiS za kratki!

TOTALNA OPOZYCJA SZYKUJE PLAN ROZPRAWY Z POLITYKAMI, SĘDZIAMI, DZIENNIKARZAMI

WŁODZIMIERZ CZARZASTY

JOANNA SCHMIDT

GRZEGORZ SCHETYNA

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829

Nakład: 88,5 tys. egzemplarzy

eprasa.pl 9eadf03530

OGÓLNOPOLSKI FESTIWAL TWÓRCZOŚCI PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO

NIEZAPOMNIANY KONCERT

Gintrowski

a jednak coś po nas zostanie...

2018 rokiem Zbigniewa Herberta

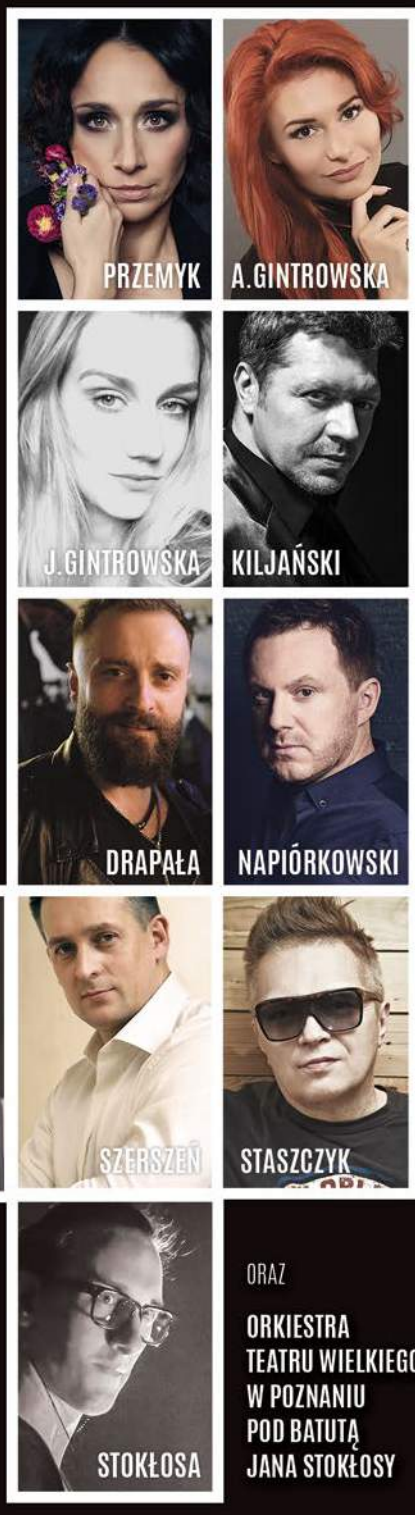

ORAZ

ORKIESTRA TEATRU WIELKIEGO W POZNANIU POD BATUTĄ JANA STOKŁOSY

12 WRZEŚNIA POZNAŃ GODZ. 20.00

TEATR WIELKI IM. STANISŁAWA MONIUSZKI

BILETY JUŻ W SPRZEDAŻY: BILETY24.PL

PROJEKT REALIZOWANY W RAMACH OBCHODÓW STULECIA ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

niepodległa | POLSKA STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

MECENAS KONCERTU: Enea

WSPÓŁORGANIZATOR: PMPG POLSKIE MEDIA SA

PATRONI MEDIALNI: wprost, Do Rzeczy, TVP, GŁOS WIELKOPOLSKI

eprasa.pl 9eadf03530

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Kaczka orła nie pokona

W całej Europie szaleją pożary, żar leje się z nieba, słońce pali niemiłosiernie. Nic przeto dziwnego, że tak gorące lato i w Polsce przyniosło ofiary. Tak tylko bowiem – nadmiarem czasu spędzonego pod promieniami palącego słońca – mogę sobie wytłumaczyć wezwanie prof. Magdaleny Środy do tworzenia nowego państwa podziemnego. „Trzeba organizować podziemie: infrastrukturę, wydawnictwa, uniwersytety (nauczanie początkowe też), trzeba zorganizować system adwokatów, którzy będą bezpłatnie wspierać tych, którzy pójdą siedzieć, i system mieszkań dla tych, którzy się ukrywają; trzeba nauczyć się z powrotem robić i rozrzucać ulotki (»Precz z komuną«, »Kaczka orła nie pokona«, »Jesień wasza, wiosna nasza«, »Solidarność zwycięży«), tak by się nie dać złapać (najlepiej z dachów); trzeba zacząć się komunikować poza systemem, wymyślić i wyprodukować jakieś symbole (nowe oporniki?)". To wszystko nie jest wymyślone, prawdziwy to cytat z tekstu znanej feministki. Wypowiedź jest autentyczna, ale też, co gorsza, poważna. Profesor/ka naprawdę wierzy, że obecna władza jest inną, gorszą zapewne, formą komunistycznego reżimu.

Jak na to reagować? Można, co zresztą zalecam, popukać się w czoło, ewentualnie zaproponować prof. Środzie solidny łyk zimnej wody. Osoba, które wypisuje te brednie o stworzeniu niezależnego systemu wydawniczego, jednocześnie występuje bez przerwy niemal we wszystkich mediach. Plecie wszędzie, co ślina jej przyniesie na język. Wydaje i opowiada, co chce. A mimo to wciąż czuje się niesłyszana, wciąż nierozumiana. Wciąż jej nie dość. I nie zajmowałbym się tu pojedynczym przypadkiem niezbyt mądrej wypowiedzi – każdemu mogą się zdarzyć gorsze dni – gdyby nie powszechność zjawiska.

Im naprawdę rozum odjęło! Naprawdę wierzą – bo zakładam, że nie wszyscy są zimnymi cynikami podgrzewającymi atmosferę – iż są ofiarami represyjnego reżimu. To się nazywa dopiero fałszywa świadomość w stanie czystym. Nie mogąc się pogodzić z przegraną polityczną, z tym, że utracili rząd dusz, i z tym, że opinia publiczna ich nie słucha, popadają w coraz większą frustrację i radykalizm. Nie mogąc zmienić świata, zmieniają sens słów, co daje im jakąś formę zaspokojenia. Klasyczny to przykład mechanizmu kompensacyjnego, kiedy to niemożność stawienia czoła rzeczywistości – większość Polaków ich nie słucha i końca demokracji nie widzi – powoduje tworzenie sztucznych światów, iluzji, legend, mitów. Tak właśnie powstają te opowieści o kaczyzmie, zamordyzmie, reżimie i prześladowaniach. Tylko gdzie są te prześladowania? Gdzie są te opresje? Żałosne to i marne, jak często w przypadku resentymentu.

Mało bym się zresztą tą świadomością części liberalnych i lewicowych elit przejmował, gdyby nie możliwe skutki dla świata realnego. Nie mam w gruncie rzeczy nic przeciw temu, żeby profesorka Środa zakładała sobie, wraz z częścią redaktorów „GW" i działaczy Obywateli RP, państwo podziemne, państwo na uchodźstwie lub inne tajemnicze instytucje. Każdemu wolno śnić i marzyć. Jedni mogą sobie wyobrażać, że są cesarzami Rzymu, inni, że są Napoleonami, inni wreszcie, że walczą w Powstaniu Warszawskim. Mogą też, tak długo jak ktoś to czyta i za to płaci, o tym pisać. Sztuczne światy mają swój urok. Gorzej, kiedy liczba ofiar tego syndromu staje się na tyle duża, że zainfekowani nim mogą n a p r a w d ę porzucić świat wyobrażeń i nie tylko opowiadać o reżimie i podziemiu, ale faktycznie żyć, jakby on ich prześladował, np. podejmując walkę z okupantem. Tylko co powiedzą wtedy, kiedy ktoś o słabszej głowie i bardziej ograniczonej wyobraźni ich posłucha i od słów przejdzie do czynów? ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl 9eadf03530

TEMAT TYGODNIA

18 WOJCIECH WYBRANOWSKI
AŻ POLEJE SIĘ KREW
Opozycja grozi PiS rozliczeniami. Jej sympatycy przyjęli to za cel i zmierzają w stronę brutalnego „kryterium ulicznego"

21 ROZMOWA Z RZECZNIKIEM KRS
NIEZAWISŁOŚĆ MA SIĘ W SOBIE

KRAJ

24 PIOTR GOCIEK
GRA DONALDA
Donald Tusk uważnie przygląda się sytuacji w Polsce i czeka na odpowiedni dla siebie moment. Nie czeka jednak bezczynnie

28 KAMILA BARANOWSKA
POLITYKA I MEDYCYNA

30 ŁUKASZ WARZECHA
ZWIĄZEK DUDY

32 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
NIE WYSTARCZY CHCIEĆ

34 MARCIN MAKOWSKI
PRZEPIS NA MĘCZENNIKA

36 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
ZABŁĄKANI W INTERNETACH

38 ŁUKASZ ZBORALSKI
PIANA CORAZ LŻEJSZA

KULTURA

40 PIOTR SEMKA
OTTO WAGNER, CZYLI NIEPOKÓJ KOŃCA EPOKI
„Tu narodziła się nowoczesność" – tym sloganem Wiedeń przyciąga turystów

44 ROZMOWA Z MARCINEM MASECKIM
LUBIĘ ZADAWAĆ PYTANIA

NIE PRZEGAP

46 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

52 KORNEL MORAWIECKI
ROSJA NIE PROWADZI AGRESYWNEJ POLITYKI
Jestem zdecydowanym zwolennikiem dekomunizacji. Sprzeciwiam się jedynie burzeniu pomników sowieckich – mówi marszałek senior Sejmu

56 PAWEŁ LISICKI
KOMU PRZESZKADZA BENEDYKT XVI

HISTORIA

68 PIOTR WŁOCZYK
HAŃBA WUJA SAMA
Nowe ustalenia w sprawie tragedii rodziny Anne Frank przypominają, jak niewiele zrobiła Ameryka w czasie wojny, by pomóc Żydom

ŚWIAT

72 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
SOROS PRAWICY?
Steve Bannon zapowiedział zjednoczenie europejskiej populistycznej prawicy i doprowadzenie do rozpadu UE

76 MACIEJ PIECZYŃSKI
SENCOW, WIĘZIEŃ PUTINA

EKONOMIA

80 JACEK PRZYBYLSKI
NAJBOGATSZY CZŁOWIEK ŚWIATA
Jak założyciel Amazona Jeff Bezos doszedł do takiej fortuny

84 ROZMOWA Z WICEMINISTREM SOBONIEM
KOWALSKI BĘDZIE W PEŁNI WŁAŚCICIELEM

LATO „DO RZECZY"

88 JOANNA BOJAŃCZYK
SŁAWNE I BOGATE CAPRI
Idealna przystań dla artystów i intelektualistów żądnych inspiracji, widoków i ciepłego klimatu

ZDROWIE

90 KATARZYNA PINKOSZ
TERAPIA DLA PSYCHIATRII
Co czwarty Polak w ciągu życia przejdzie kryzys: będzie miał depresję, zaburzenia lękowe lub zachoruje na inną chorobę psychiczną. To, czy z niego wyjdzie, w dużej mierze zależy od pomocy, jaką otrzyma

FELIETONY:

SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ (10), WARZECHA (11), GMYZ, GOCIEK (16), ZALEWSKI, WOLSKI (63), ZYCHOWICZ, KOPER (70), KOWALCZUK (78), GABRYEL, RYBIŃSKI (86), KOMUDA (92), TYRMAND (96), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)

eprasa.pl 9eadf03530

ROAMER
OF SWITZERLAND

SINCE 1888 ROAMER OF SWITZERLAND

SUPERIOR BUSINESS MULTIFUNCTION MOONPHASE SAPPHIRE ANTI-REFLECTION CRYSTAL SWISS MADE SINCE 1888

eprasa.pl 9eadf03530

Przed komisją bez pamięci

Takiego przesłuchania przed komisją weryfikacyjną do spraw reprywatyzacji jeszcze nie było. W ubiegłym tygodniu przed posłami zasiadł Kamil Kobylarz. Został wezwany, bo jego nazwisko przewijało się w sprawach związanych z nieruchomościami przejmowanymi przez znanego prawnika Marka M. Mówili o nim świadkowie zeznający na temat nieruchomości m.in. przy ulicach Nabielaka 9 i Dahlberga 5. Według ich słów miał być człowiekiem „czyszczącym" mieszkania – czyli pomagającym usuwać z nich lokatorów.

To próbowali sprawdzić członkowie komisji weryfikacyjnej. Kobylarz zaprzeczał, że zjawiał się w nieruchomościach, by uprzykrzać życie ich mieszkańcom. Jednak gdy posłowie wypytywali go o szczegóły, to okazało się, że prawie niczego nie pamięta. Dlaczego tam w ogóle się pojawiał? – Widocznie miałem tam jakąś sprawę – odpowiadał.

Kobylarz przyznał, że kupił lokal w budynku przy ul. Nabielaka 9. Ale gdy Sebastian Kaleta pytał, czy nabył go za 10 tys. zł, odpowiedział, że... nie pamięta.

Młody człowiek przyznał też, że był właścicielem bmw, którego zdjęciem chwalił się w mediach społecznościowych. Jednak nie mógł sobie przypomnieć, skąd wziął pieniądze na jego zakup.

Kamil Kobylarz nie wiedział też, czy ma udziały w spółkach prowadzonych przez Marka M. Gdy pytano go, czy jego dochody pozwalają mu wynajmować mieszkanie w Warszawie, odparł: – Nie wiem.

Kamil Kobylarz FOT. MATEUSZ JAGIELSKI/EAST NEWS

Odmówił odpowiedzi na pytania o to, czy był już karany (szef komisji Patryk Jaki stwierdził wówczas, że komisja wie, iż świadek był), oraz nie chciał odpowiedzieć, kiedy poznał Marka M. Nie chciał też mówić, skąd on i M. mieli pieniądze.

Kiedy świadek po raz kolejny odmawiał odpowiedzi na pytania, Patryk Jaki zawnioskował o nałożenie na niego kary w wysokości 30 tys. zł. Postulat ten poparła większość członków komisji. Przeciwny był tylko Robert Kropiwnicki (PO), który apelował do szefa komisji „o wstrzemięźliwość". ©℗

Łukasz Zboralski

PROCES W SPRAWIE WYPADKU Z SZYDŁO

Sąd w Oświęcimiu zdecydował, że będzie proces w sprawie Sebastiana K. – podejrzanego o spowodowanie wypadku drogowego w lutym ubiegłego roku, w którym poszkodowani zostali ówczesna premier Beata Szydło i szef jej ochrony z BOR.

Prokuratura, która szybko po wypadku postawiła zarzuty Sebastianowi K., potem chciała umorzenia sprawy. Kierowca i jego obrońca domagali się procesu, bo – jak twierdzą – chcą móc udowodnić, że winnym tamtego wypadku nie był Sebastian K. ***(luz)*** ©℗

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Krzysztof Czabański, Roman Graczyk, Piotr Gursztyn, Kataryna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Matthew Tyrmand, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski**
DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Karol Gac, Przemysław Harczuk** (także SuperExpress), **Mateusz Maranowski** (także Polskie Radio), **Jan Fiedorczuk**
Współpraca: **Miłosz A. Lodowski**
Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Tomek Słupski, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **B. Zawrzel, J.Domiński/REPORTER, J.Graczyński/EAST NEWS, FOTOLIA, oprac. graf: JAN**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

FIRMA RODZINNA
PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
POLSKI WYDAWCA

Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386
PUBLIC RELATIONS
(PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl, *tel.:* +48 22 529 12 10
ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 88,5 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl 9eadf03530

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

STRAŻNIK PAMIĘCI 2018

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

STRAŻNIK PAMIĘCI

VI EDYCJA

NIEZWYKŁEJ NAGRODY

Tytuł STRAŻNIK PAMIĘCI przyznawany jest corocznie w trzech kategoriach:

TWÓRCA – osoba lub osoby fizyczne, autorzy dzieła, które przyczynia się do odnowienia pamięci

INSTYTUCJA – muzea, stowarzyszenia, fundacje, organizacje, które w minionym roku podjęły nowe inicjatywy służące krzewieniu pamięci historycznej

MECENAS – podmioty publiczne lub komercyjne, które w szczególny sposób materialnie wspierają dbałość o pamięć historyczną

PROJEKT REALIZOWANY W RAMACH OBCHODÓW STULECIA ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

Zgłoszenia można dokonać do 30.09.2018 r. drogą mailową: straznikpamieci@dorzeczy.pl lub pocztą: Redakcja "Do Rzeczy", Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, z dop. Strażnik Pamięci

PATRONAT HONOROWY SEJM

niepodległa

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

PARTNER STRATEGICZNY ORLEN

SPONSOR PGNiG

PARTNERZY PKP INTERCITY, PZL-ŚWIDNIK a LEONARDO HELICOPTERS company

WSPÓŁORGANIZATOR

egzemplarz.pl 9eadf03530

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Ujazdowski schrupany

Grzegorz Schetyna ogłosił, że Platforma wycofuje poparcie dla Kazimierza Michała Ujazdowskiego.

Ten były eurodeputowany PiS został w kwietniu oficjalnie przedstawiony jako kandydat na prezydenta Wrocławia. I nagle Schetyna wyrzucił go z kampanii PO jak zbędny mebel.

Zawsze starałem się unikać kategorycznych sądów o licznych politycznych zwrotach Kazimierza Ujazdowskiego. Ten sentyment wiązał się ze wspólnymi młodopolskimi korzeniami, uznaniem dla jego wkładu w ideę Muzeum Historii Polski i idee Muzeum Ziem Zachodnich we Wrocławiu, akcję „Bohaterowie naszej wolności" i wreszcie szacunkiem dla jego pisarstwa i roli strażnika pamięci o przedwojennym myślicielu politycznym Adolfie Bocheńskim.

Są jednak jakieś granice politycznej naiwności. Ujazdowski wchodził do Unii Demokratycznej w ślad za Aleksandrem Hallem, by z niej wyjść zaskoczony jej de facto lewicowym obliczem. Wchodził do PiS i z niego wyszedł. Zakładał z wielkimi fanfarami ugrupowanie Polska XXI, widząc w prezydentach wielkich miast nową siłę polityczną, by potem ogłaszać koniec swego projektu. Następnie wrócił do PiS, by ponownie go opuścić.

Tym razem Ujazdowski uwierzył, że Platforma to partia, w której możliwa jest jakaś frakcja „białej prawicy" i szerzej – konserwatywnej alternatywy dla PiS. Cała ta zabawa potrwała trzy miesiące z kawałkiem.

Schrupanie K.M.U. przez Schetynę to wskazówka, jak wiele interesów liczonych na grube miliony toczy się dziś za szacownymi fasadami władz wielkich metropolii – Wrocławia, Gdańska czy Warszawy. I macherzy setek szemranych deali nie mają ochoty na eksperymenty z nowymi politykami. Wszystko wskazuje na to, że zamiast Ujazdowskiego PO poprze Jacka Sutryka – człowieka dotychczasowego prezydenta Rafała Dutkiewicza.

Ujazdowski był ostatnio na tyle ostry, by smagać PiS, i jednocześnie na tyle słaby, by nie być dobrym partnerem dla potężnych układów dłużej niż polityczną chwilę.

Przy okazji wyszło na jaw, jak bardzo PO czuła jest na weto feministek wobec konserwatysty. Chodziło o zasadę – nikt, kto nie schyla karku przed feministycznymi miazmatami, nie ma prawa reprezentować PO.

Przypadek Ujazdowskiego to także przypomnienie dla wszystkich, którzy zachwycili się „symetrystyczną" książką Rafała Matyi pt. „Wyjście awaryjne". Z wieloma uwagami Matyi można się zgadzać, ale jedno jest przy lekturze tej książki irytujące – zupełne pomijanie realiów dzisiejszej polskiej polityki. A ta jest brutalna i wymaga silnych podmiotów. Ujazdowski, którego Matyja jest doradcą i przyjacielem, najwyraźniej o tym zapomniał.

Ujazdowski, ogłaszając start w wyborach, zapowiedział, że jeśli nie zostanie prezydentem Wrocławia, to wycofa się z polityki i poświęci się pracy uniwersyteckiej. Z racji długiej znajomości mam radę dla K.M.U.: warto uznać zdradę ze strony Schetyny za znak od Opatrzności i odejść godnie z polityki. Bez prowadzenia pozbawionej szans kampanii i bez przyjmowania ochłapu od PO w postaci miejsca na liście w wyborach do europarlamentu. Lepiej zająć się karierą naukową. Sam mam na półce książki K.M.U. i je cenię. Pilnuj, szewcze, kopyta. ©℗

FOT. ANNA HÅLLANS/TT/FORUM

SZWEDZI DZIĘKUJĄ POLSKIM STRAŻAKOM

„Witajcie, bohaterowie", „Dzięki, Polsko" – takie napisy oraz duże, biało-czerwone serca pokazywali Szwedzi na trasie przejazdu konwoju złożonego z ok. 150 polskich strażaków, którzy na pokładzie 44 wozów wyruszyli do naszych północnych sąsiadów, aby pomóc w gaszeniu lasów. Wyjątkowo dramatyczne pożary w Szwecji są spowodowane nietypowo wysokimi temperaturami i małą ilością opadów. Szwedom pomagają też Francuzi, Włosi, Niemcy, Duńczycy i Litwini. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 9eadf03530

KOMISJA EUROPEJSKA KONTRA ORBÁN

Komisja Europejska podjęła decyzję o skierowaniu do Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej sprawy przeciw Węgrom. Uznała bowiem, że węgierskie przepisy antyimigracyjne są sprzeczne z unijnym prawem. Chodzi o możliwość karania więzieniem osób nielegalnie przekraczających granicę. Zdaniem KE szybka ścieżka karania nie daje takim ludziom m.in. prawa do przetłumaczenia dokumentów postępowania.

Komisja rozpoczęła też wobec Węgier procedurę o naruszenie unijnego prawa w związku z przyjętym niedawno pakietem ustaw tzw. Stop Soros. Przepisy te pozwalają m.in. karać osoby wspierające nielegalną migrację. Premier Węgier Victor Orbán odniósł się do tych spraw w ubiegłym tygodniu na antenie Radia Kossuth. Podkreślał, że sprawy, które inicjuje obecna Komisja Europejska, jego zdaniem nie mają już znaczenia, bo jej mandat wygaśnie, gdy w 2019 r. odbędą się wybory do Parlamentu Europejskiego. – Musimy dotrwać do maja – stwierdził Orbán. – Potrzebujemy po wyborach europejskich Komisji, która nie karze państw chroniących granic Europy, takich jak Węgry. Nie powinna karać nikogo, a jeśli już chce, to niech raczej karze tych, którzy wpuścili do Europy miliony migrantów z naruszeniem obowiązujących przepisów unijnych. Potrzebujemy nowej Komisji, nowego myślenia, nowego podejścia. ***(luz)*** ©℗

ZMARŁA NAJSTARSZA KOBIETA ŚWIATA

117-letnia Japonka Chiyo Miyako urodziła się 2 maja 1901 r. W tym samym roku w Wielkiej Brytanii zmarła królowa Wiktoria, w Niemczech pożegnano Wilhelma von Bismarcka, a we Wrześni wybuchły strajki dzieci szkolnych.

Uwielbiająca kaligrafię oraz sushi Miyako tytuł najstarszej kobiety świata uzyskała niedawno, gdy w kwietniu zmarła 117-letnia Japonka Nabi Tajima. Tytuł najstarszego człowieka nadal pozostaje w Japonii: obecnie najstarszą osobą na świecie jest 115-letnia Kane Tanaka, która urodziła się 2 stycznia 1903 r. Według naukowców dzięki poprawie warunków życia oraz zaawansowanej medycynie w XXI w. będzie coraz więcej osób, które nie tylko przekroczą magiczną barierę stu lat, ale będą miały szanse na obchodzenie 120. czy 125. urodzin. ***(jap)*** ©℗

Szef polskiego MSZ rozmawiał w Waszyngtonie m.in. z doradcą Trumpa ds. bezpieczeństwa narodowego Johnem Boltonem (z lewej) FOT. MSZ/TWITTER

Amerykańska armia na stałe w Polsce?

Szef polskiej dyplomacji Jacek Czaputowicz poinformował w zeszłym tygodniu, że w ciągu najbliższych miesięcy powinny zapaść decyzje w sprawie zwiększenia obecności wojskowej Stanów Zjednoczonych w Polsce. Rząd w Warszawie zabiega także o stałą, a nie tylko rotacyjną obecność na naszym terytorium amerykańskiej brygady bojowej.

– Jesteśmy gotowi partycypować w kosztach rozwoju infrastruktury pod większą obecność wojskową żołnierzy amerykańskich – powiedział minister spraw zagranicznych w wywiadzie dla Polskiego Radia. Jednocześnie rząd w Warszawie podkreśla, że zależy mu na dodatkowej obecności Amerykanów w Europie, a nie na przeniesieniu wojsk z USA z Niemiec do Polski.

Czaputowicz i Bolton rozmawiali również o zaplanowanej na jesień wizycie prezydenta Andrzeja Dudy w Białym Domu oraz o budowie gazociągu Nord Stream 2. Władze w Waszyngtonie podobnie jak rząd w Warszawie traktują niemiecko-rosyjski gazociąg Nord Stream 2 jako projekt geopolityczny, który będzie miał negatywne skutki dla bezpieczeństwa europejskiego, i konsekwentnie protestują przeciw jego budowie. Donald Trump ostro skrytykował za niego Niemcy m.in. podczas ostatniego szczytu NATO.

Minister spraw zagranicznych RP zapewniał też polskich korespondentów w Waszyngtonie, że nie ma żadnych obaw co do pewności Stanów Zjednoczonych jako naszego sojusznika. I podkreślał, że źródłem jego przekonania są „nie tylko deklaracje, ale także czyny amerykańskie".

Administracja Donalda Trumpa tylko w zeszłym tygodniu kolejny raz kategorycznie potępiła rosyjską aneksję Krymu, podkreśliła, że „NATO jest filarem współpracy transatlantyckiej", i przełożyła o co najmniej kilka miesięcy planowane na jesień spotkanie Donalda Trumpa z prezydentem Rosji Władimirem Putinem. ©℗ ***(jap)***

eprasa.pl 9eadf03530

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Strachy-patałachy

Trudno rozstrzygać, co w dyskursie „opozycji totalnej" i wspierających ją salonów jest najbardziej chybione – ale silną kandydaturę stanowią wciąż ponawiane próby nastraszenia Polaków, zwłaszcza młodego pokolenia, że rządy PiS doprowadzą do „powrotu PRL". Chyba lepiej rokowałoby straszenie, że przyjdzie Potwór z Czarnej Laguny albo nastąpi inwazja krwiożerczych pomidorów z Marsa.

Jeśli wolność charakteryzować ma liczba luksusowych sklepów w stolicy, to trudno pod tym względem przebić Putina

Rzecz w tym, jak coraz bardziej sklerotyczna michnikowszczyzna przedstawia ów mający powrócić PRL. Bo, powiedzmy, próba przekonania wyborców, że PiS chce ustanowić rządy monopartyjne, wprowadzić cenzurę, jeszcze by się jako tako trzymała… Chociaż, powiedzmy, państwową cenzurę w czasach Internetu i w państwie, któremu daleko do chińskiej sprawności, wyobrazić sobie naprawdę trudno.

„Opozycja totalna" usiłuje jednak przerazić czymś innym – niedostatkiem: sklepowymi półkami, w których pozostanie tylko ocet, kolejkami… I to już jest zupełny kosmos. Akurat tak się składa, że dziś najszybciej się rozwijają – i tym samym dają największe szanse wzbogacenia się obywatelom – państwa wskazywane jako te, które mają z demokracją największe kłopoty. Daj nam Boże takie wyniki gospodarcze, taką dynamikę i wzrost stopy życiowej, jaką zapewniają obywatelom erdoganowska Turcja czy wyznaniowy Iran, o reżimie chińskim nie wspominając. Nawet Białorusini – na tle wcześniejszej, sowieckiej biedy i „demokratycznego" bałaganu – wydają się pod tym względem całkiem z rządów swego „baćki" zadowoleni. No, a jeśli wolność charakteryzować ma liczba luksusowych, markowych sklepów w stolicy, to trudno pod tym względem przebić Putina.

Od kiedy w sklepie zobaczyłem „szynkę jak za Gierka" (czy trzeba tłumaczyć, że gdyby za Gierka szynka była, toby socjalizm nie upadł?), wiem, że z pamięcią można robić różne cuda. Ale narracja, że za Balcerowicza Polska pławiła się w dobrobycie, a Morawiecki wtrąci ją w biedę, bo rozdaje zasiłki i „rozmontowuje praworządność"… Można ją jeszcze uzupełnić prorokowaniem, że PiS wprowadzi przymusową kolektywizację i za uchylanie się od pracy będzie wysyłać na Żuławy. Wszystko można. Tylko naprawdę trudno zrozumieć po co. ©℗

WOJCIECH WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Gen zagłady

Takiego określenia użył jeden z moich kolegów dziennikarzy, bynajmniej nie jakiś zoologiczny prawicowiec, dla określenia dążenia zjednoczonej opozycji ku autodestrukcji. I trudno nie przyznać mu racji – dzisiejsza liberalna lewica zbliżona do Platformy przejęła po prawicy lat 90. lemingowy pęd ku samobójczej śmierci.

O ile jednak „gen samozagłady" prawicy lat 90. przyjmował formę nadprodukcji miernych „hetmanów z buławami w tornistrach", o tyle w przypadku dzisiejszej opozycji mamy do czynienia ze zjawiskiem, które portal Polityka w Sieci trafnie określił mianem „jeźdźców apokalipsy". Chodzi o to, że tam, gdzie pojawia się KOD, feministki ze Strajku Kobiet, zadymiarze z Obywateli RP albo Lech Wałęsa, maleje zainteresowanie opinii publicznej. Dodałbym do tego także udział przekręciarzy, co pokazały niskie sondaże PO po tym, jak partia zaangażowała się w obronę Piniora.

Z niezrozumiałych przyczyn totalna opozycja brnie w kierunku skumulowania na sobie negatywnych emocji. Oto bowiem Lech Wałęsa ogłosił, że będzie łączył opozycję w ramach Komitetów Obywatelskich, i zaprosił do udziału w nich sztandarową postać PO Stanisława Gawłowskiego, a ten (człowiek z korupcyjnymi zarzutami) czym prędzej się tym pochwalił.

Biez wodki nie rozbieriosz. A jeśli o wódce mowa, to uaktywnił się też Aleksander Kwaśniewski, także pozostający w zainteresowaniu prokuratury. „Mały krętacz" – jak nazwał go onegdaj Józef Oleksy – wezwał opozycję do jednoczenia się i obrony jego konstytucji. Pocałunek śmierci. Od dłuższego czasu inicjatywy, które wspiera i ten były prezydent, zaliczają kompromitujący koniec. ©℗

eprasa.pl 9eadf03530

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Co naprawdę orzekł TSUE

Wbrew radosnym okrzykom opozycji zeszłotygodniowy wyrok Trybunału Sprawiedliwości UE (TSUE) nie potwierdza, że w Polsce naruszana jest praworządność. W gruncie rzeczy nie jest on nawet przełomowy, choć może wzmóc prawny chaos.

Irlandzki sąd zapytał, czy ma prawo nie wydawać Polsce osoby, poszukiwanej przez nasz wymiar sprawiedliwości na podstawie Europejskiego Nakazu Aresztowania (ENA), jeśli uznaje, że w obecnej sytuacji polski wymiar sprawiedliwości nie daje gwarancji przestrzegania standardów praworządności. TSUE jednak nie odniósł się konkretnie do Polski, bo jego wyrok musiał mieć brzmienie ogólne – i takie otrzymał. TSUE potwierdził, że owszem, sąd kraju, gdzie przebywa osoba poszukiwana na mocy ENA, może jej nie wydać innemu krajowi UE, jeżeli uzna, że nie ma tam gwarancji przestrzegania praworządności. To reguła ogólna, która stępia ostrze ENA. Nie tylko w przypadku Polski, lecz także wszystkich państw Unii.

Jeden sąd może orzec, że w kraju X nie ma gwarancji uczciwego procesu, a inny – że takie gwarancje są

Ocenę tego, czy standardy są w kraju wnioskującym przestrzegane, pozostawiono sędziom państwa, gdzie przebywa poszukiwany. Można sobie zatem wyobrazić sytuację, w której, dajmy na to, Szwedka ucieka do Polski ze swoimi dziećmi, które z powodu tradycyjnego modelu wychowania chce jej odebrać szwedzki urząd. Szwedzki sąd wystawia w jej sprawie ENA, ale ona przed polskim sądem wskazuje, że szwedzki model sądownictwa nie daje gwarancji uczciwego procesu w takiej sprawie. Tylko od polskich sędziów będzie zależeć, czy uznają taki argument.

Trybunał Sprawiedliwości UE stworzył więc broń obosieczną, a nawet wielosieczną. Wykreował regułę, na którą może się od teraz powoływać każdy poszukiwany na mocy ENA w Europie, argumentując, że w kraju, który go ściga, nie będzie miał uczciwego procesu. Do wszystkich europejskich procedur ekstradycyjnych doszedł kolejny etap, który będzie je przedłużał. W dodatku tam, gdzie nie funkcjonuje prawo precedensowe – a więc w większości państw UE – jeden sąd może orzec, że w kraju X nie ma gwarancji uczciwego procesu, a inny – że takie gwarancje są.

Żaden unijny organ nie stwierdził dotąd, że Polska narusza praworządność – i być może nie stwierdzi. Orzeczenie TSUE jest kompletnie obok tej kwestii, ale na pewno jest na rękę przestępcom, którzy – jak poszukiwany schwytany w Irlandii – będą chcieli opóźnić własną ekstradycję. ©℗

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Fala upałów

Ponieważ pod koniec lipca fala upałów zalała Polskę, siłą rzeczy odcisnęła też swoje piętno na Twitterze i politykach. A oto przykład kilku pierwszych ofiar. „Głosowaliśmy przeciw ustanowieniu roku 2019 Rokiem Anny Walentynowicz. Przy wszystkich jej zasługach nie można zapomnieć, że przez lata niezgodnie z prawdą »opluwała« Lecha Wałęsę, sugerując, że był agentem" – ogłosił Ryszard Petru. Dodał przy tym, że: „podobnych wartości nie powinno się promować". Jeżeli były lider N tak dobrze zna się na ekonomii jak na historii, przestaje dziwić, że zostawił partię w długach.

„No i… po ptakach. Demokratyczny sen skończył się, pora wracać do realu. Trzeba organizować podziemie: infrastrukturę, wydawnictwa, uniwersytety (nauczanie początkowe też)" – zaapelowała w insurekcyjnym uniesieniu prof. Magdalena Środa. W sumie, gdyby zamiast brać państwowe granty na badania, zaczęła wykładać na podziemnej uczelni, nie byłoby wcale tak źle?

Gościnnie w rubryce post z Facebooka pisarki Marii Nurowskiej. „Stało się, zrobiłam laleczkę prokuratora Piotrowicza i wbijam w nią szpilki. Jego dni są policzone…". „Marysiu, ja to zrobiłam w młodości dwa razy, za każdym razem ze skutkiem śmiertelnym. Obiecałam sobie i mojej córce, że już nigdy żadnego voodoo nie wykonam. Jestem przeciwna karze śmierci!" – włączyła się do debaty reżyser Agnieszka Holland. „Wystarczy mały wylew i paraliż" – odparła łaskawie Nurowska.

Na szczęście, oprócz laleczek voodoo, mamy jeszcze światłą demokratyczną młodzież, która odbuduje Rzeczpospolitą po Piotrowiczu. „Jest studentem IV roku prawa. Poszedł do »Milionerów«. Podczas autoprezentacji mówił, że chce być sędzią, ale nie wie, co jeszcze wymyśli »szalony ustawodawca«. Na pytanie za 1000 zł, czym jest suspens, odparł, że figurą w zapasach… Niestety odpadł :)" – zauważył pesymistycznie Grzegorz Jankowski.

Na koniec coś z innej, optymistycznej beczki. Od Michała Szułdrzyńskiego. „Scenka spod czynnego spożywczaka w Wawrze. Dwóch panów obserwuje wychodzących ze sklepu dwóch – na oko – Hindusów trzymających w ręku 0,7 l wódki. – No ładnie, nasze zwyczaje przejmują. – Tak. Aż miło patrzeć". Tylko niech państwo pamiętają, żadnego kultywowania zwyczajów przy 30 stopniach. Bo potem, tak jak Junckera, łapie skurcz kolana. ©℗

eprasa.pl 9eadf03530

www.DORZECZY.pl

DO RZECZY

ARMAGEDON W GRECJI

Co najmniej 82 osoby zginęły, a kilkaset trafiło do szpitali w wyniku najtragiczniejszych od ponad dekady pożarów w Grecji. Wielu straciło życie, gdy znalazło się w ognistej pułapce. Otoczeni przez płomienie dusili się od trującego dymu, płonęli żywcem uwięzieni w autach lub topili się, próbując ratować się przed ogniem skacząc do wody ze stromych klifów.

Tragiczny bilans pożarów szalejących w regionie Attyka może wzrosnąć. Gdy zamykaliśmy to wydanie „Do Rzeczy", ponad 40 osób wciąż było bowiem uznawanych za zaginione. Znalezione szczątki niezwykle trudno jest zidentyfikować, ponieważ większość ciał jest kompletnie zwęglona, więc do potwierdzenia tożsamości ofiar konieczne będą badania DNA.

Po Grecji krążą ekipy ratunkowe oraz przerażeni krewni osób zaginionych, którzy przeszukują ląd i wodę, wciąż mając nadzieję, że ich najbliżsi zdołali się uratować. Często o tym, kto przeżył, a kto zginął, decydowała nagła zmiana kierunku wiatru. Niestety, wśród tych, którzy zginęli, są m.in. zagraniczni turyści, w tym dwoje Polaków.

O tym, jaki koszmar przeżyli Grecy, świadczą m.in. doszczętnie spalone wsie oraz drogi pełne samochodów, które ogień zniszczył tak bardzo, że trudno powiedzieć, jakiej były marki. Niewyobrażalna tragedia będzie też ogromnym ciosem dla odradzającej się gospodarki Grecji, a zwłaszcza dla branży turystycznej.

Grecka policja sprawdza, czy przyczyną pożarów mogą być podpalenia. To niewykluczone, ponieważ pożary lasów są często wzniecane po to, aby na ich miejscu mogły powstać np. nowe kurorty dla turystów. ***(jap)***

FOT. VALERIE GACHE/AFP/EAST NEWS

FOT. PAWEŁ GROMADA

KTOŚ PODMIENIŁ DODĘ!

FOT. DAMIAN KLAMKA/EAST NEWS

Świat się kończy! Bo jak inaczej można skomentować ostatnie wyznanie Dody? Otóż znana i niestroniąca od skandali piosenkarka oznajmiła, że nie ma już siły na imprezowanie do białego rana, bo zdrowie już nie to. Na szczęście, dzięki mężowi odnalazła nową pasję – boks! – Bokserzy to piękni sportowcy, potężne wagi ciężkie, wręcz walki gladiatorów. Jestem naprawdę pod wielkim wrażeniem – mówi Doda w „Fakcie". – Emil zabierał mnie na różne gale na świecie, no i zaczęłam być fanką boksu. Bakcyla złapałam w Londynie, kiedy byliśmy na walce Kliczki. To było coś niesamowitego. Kilkadziesiąt tysięcy ludzi, wyjątkowa atmosfera – emocjonuje się. – Nie mam już zdrowia do imprezowania. Gdy są jakieś imprezy branżowe, to nie zostaję już na nich do czwartej rano jak kiedyś – żali się Doda. Co za upadek! Nie dość, że nie zostaje do czwartej rano, to jeszcze chwali się tym w tabloidzie. Oddajcie nam prawdziwą Dodę!

STYLISTA ROZCHWYTYWANY

Portal Pudelek donosi, że Małgorzata Rozenek-Majdan zwolniła swojego stylistę Bartka, którego za jej plecami próbowała podebrać jej Doda, czyli była żona jej obecnego męża. Jakiś czas temu Doda pokazała zresztą SMS-y od stylisty Bartka, w których ten pisał, że współpracować z nią zabroniły mu jego pracodawczynie, czyli Rozenek i Edyta Górniak. Ponoć obie nie znoszą Dody. Po ujawnieniu SMS-ów współpraca Rozenek ze stylistą Bartkiem zaczęła układać się coraz gorzej. – On nie jest najbardziej subtelną osobą, jaką znam, że tak powiem. Tuż po aferze SMS-owej zaczął opowiadać ludziom, jak to źle się z Rozenek pracuje, jak ma dość pakowania jej walizek, usługiwania jej itp. – miał wyznać znajomy Małgorzaty. To miało być powodem zerwania współpracy, Małgorzata miała mu za złe, że robi jej czarny PR na mieście. Teraz, jak rozumiemy, Perfekcyjna Lady Rozenek została bez profesjonalnego stylisty. Czyli może w końcu zacznie dobrze wyglądać! W sumie to powinna Dodzie podziękować.

TABLOID LEPSZY NIŻ CHŁOPAK

Julia Wróblewska zadebiutowała 11 lat temu, gdy jako dziecko zagrała główną rolę w filmie „Tylko mnie kochaj". Dziś ma lat 19 i bardzo chce zostać gwiazdą. Wychodzi jej to tak sobie, ale stara się jak może. Bywa, wrzuca do sieci zdjęcia i relacje ze swojego codziennego życia i niestety udziela wywiadów. Dużo wywiadów. A że niewiele ma do powiedzenia, to wychodzi, jak wychodzi. Ostatnio w „Fakcie" wyznała, że nie szuka obecnie miłości, bo dobrze jej samej. – Nie szukam chłopaka. Miałam kilka szans na związek. Z jednym chłopakiem byłam na poważnie przez rok, z drugim przez dwa miesiące. Myślę sobie tak: po co być z kimś po to, żeby tylko z nim być? Żeby tylko pokazać koleżankom i ludziom w Internecie, że jestem w związku? – pyta Julka. – Od tego, by wypłakać się w trudnych momentach, mam przyjaciół – dodaje. Hm, od kiedy tabloidy są przyjaciółmi celebrytów?

SZCZEROŚĆ INFLUENCERKI

Nie bardzo wiemy, kim jest Ola Nowak, ale pojawia się czasem na portalach plotkarskich i jest tytułowana jako influencerka. Podobno spotykała się kiedyś z synem Edyty Górniak Alanem i prowadzi popularny kanał na YouTube. Są więc duże szanse, że niebawem z influencerki stanie się pełnoprawną celebrytką, bo taki jest chyba cel influencerek, ale może się mylimy i jest odwrotnie? W każdym razie Ola Nowak została ostatnio zaproszona do internetowego programu, w którym udzielała odpowiedzi na zadawane przez internautów pytania. Jednym z nich było dość oczywiste pytanie o to, kim właściwie jest osoba tytułowana influencerką. – Co to jest? Niby na kogo ma wpływ, skoro jest influencerką? – zapytał ktoś. A Ola odpowiedziała: – Czasami sama się zastanawiam, dlaczego ludzie mnie obserwują. I dlaczego mnie lubią – wyznaje. My też się nad tym zastanawiamy. I po wysłuchaniu całego wywiadu nie znajdujemy żadnej rozsądnej odpowiedzi. Nierozsądnej zresztą też nie. ©℗

FOT. KRZYSZTOF KLICZNIK/FORUM

eprasa.pl 9eadf03530

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, stało się. Najważniejsze intelektualne autorytety tego kraju orzekły, iż to definitywnie koniec demokracji i należy zejść do podziemia, tworzyć nowe struktury na podstawie podziemnych prawników.

Niedługo jeszcze się okaże, że janusze jednak nie leją swoich żon, a one z kolei zarabiają od nich niewiele mniej. Załamka, jaka propaganda

Co prawda na wieści o końcu demokracji uodporniliśmy się nieco tak jak na wieści o końcu świata, tzn. po 43. takim doniesieniu w tygodniu przestaliśmy się bać. Jednak tym razem ten apel zabrzmiał tak poważnie, iż stoi za nim na przykład profesora Środa.

Cóż, jeśli rozsądna osoba wskazuje, że czas najwyższy schodzić do podziemia, to my już bierzemy łopaty i... porozglądamy się wokół, kto mógłby ich za nas użyć. Wiecie, na stosunkach międzynarodowych, marketingu i socjologii nie uczą, który koniec wbija się w ziemię. A jeśli nam nie wyjdzie, to znów Nowy z Tarnowa będzie miał bekę, że jesteśmy nieudolną opozycją.

W odpowiedzi na apel profesory Środy zaczęliśmy już tworzyć zalążki struktur. Jako nowoczesna młoda lewica jesteśmy świetni w organizowaniu się, powoływaniu różnych komisji oraz trybunałów rewolucyjnych. I naprawdę nie musi Was niepokoić, skąd znamy słowo „zalążek".

Póki co w naszej podziemnej strukturze powołaliśmy nieco więcej komisji, niż liczymy osoboczłonkiń oraz osoboczłonków. Frendziary bardzo chciały powołania Podziemnego Komitetu ds. Legalizacji Prawa do Wyboru, kolega-gej zażądał, najzupełniej słusznie of kors, iż powinien być członkiem każdej z komisji jako osoba LGBTQWERTY, która nadzorowałaby zgodność procedowanych spraw z zasadą równości płci, które nie istnieją, lub z zasadą równości orientacji seksualnej.

W sumie to jakoś tak nam wyszło, iż wszyscy jesteśmy przewodniczącymi, zastępcami, sekretarzami, rewidentami oraz sędziami koleżeńskimi i koleżankowskimi. Co prawda poza tym nie mamy jeszcze kadr, ale zapewne szeregowi członkowie skuszą się wizją nierozproszonych struktur i zechcą dołączyć się do naszego rewolucyjnego dzieła.

Iżby nie dać po sobie poznać, że żyjemy w państwie podziemnym, czasem wychodzimy między tych wszystkich januszy i grażyny tego kraju i staramy się żyć jak oni. Iżby nie wzbudzać podejrzeń w korpo, a zwłaszcza u Nowego z Tarnowa, pojechaliśmy więc dla zachowania pozorów na kilka dni nad polskie morze.

Musimy Wam powiedzieć, iż ci Polacy są cwańsi, niż nam się wydawało. Po lekturze czołowych gazet i portali wybraliśmy się na plażing pełni niepokoju i lęku o nasze poczucie estetyki. Jednak, co dziwne, janusze pochowały gdzieś swoje parawany i dzieci, które według postępowych relacji w mediach defekują na plażach; poza tym wytrzeźwiały i nie organizują dzikich orgii wokół ognisk, tańcząc do przebojów Zenka Martyniuka.

Czujemy się nieswojo, bo chyba ktoś tu nas robi w konia, a przecież nie byłyby to media, prawda? One w końcu piszą, co wiedzą. Podejrzewamy, iż w tym kraju zaczynają się dziać ustawki na potrzeby wizerunku w Europie. Niedługo pewnie się jeszcze okaże, że janusze jednak nie leją swoich żon, a one z kolei zarabiają od nich niewiele mniej. Załamka, jaka propaganda :/ ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

eprasa.pl 9eadf03530

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

dwaj panowie g

No i po referendum. A ludzie małej wiary nie wierzyli, kiedy zapowiadaliśmy już parę miesięcy temu, że idea referendum jest chodzącym trupem, cuchnącym bardziej niż zombi z serialu „The Walking Dead". Mamy za to ważny update informacji o możliwości przechwycenia idei referendum przez PiS i po uwaleniu jej wyjścia z własną inicjatywą w innym terminie. Szanse na to są minimalne. Kaczor Dyktator oświadczył bowiem, że do końca tej kadencji żadnego referendum nie będzie.

Ludzie małej wiary oraz naiwni uważają także, że referendum zostało odrzucone w głosowaniu senackim w środę 25 lipca 2018 r. Otóż są w mylnym błędzie. Zostało ono tak naprawdę odrzucone w środę 3 maja 2017 r., w dniu, kiedy swój pomysł obwieścił prezydent Andrzej Sebastian, a w głosowaniu brała udział tylko jedna osoba – Kaczor Dyktator.

Z powyższą wiadomością wiąże się ciekawa opowieść wiewiórek z Nowogrodzkiej. Otóż niemal natychmiast po deklaracji prezydenta Andrzeja Sebastiana tego samego dnia rozdzwoniły się telefony rozmaitych ważnych ludzi w PiS. Dzwonił Kaczor Dyktator, informując, że to się wszystko w głowie nie mieści i że wszyscy powinni sobie z tej głowy wybić wszelką myśl o entuzjastycznym przyjęciu pomysłu PAD.

Referendum zostało tak naprawdę odrzucone w dniu, gdy swój pomysł obwieścił PAD, a głosowała tylko jedna osoba: Kaczor Dyktator

Niestety, Kaczor Dyktator nie zadzwonił do jedynej osoby, do której powinien zadzwonić. Nie, nie do prezydenta. Do Mastalerka Marcina, zwanego powszechnie „Masta", bo to przecież on, jak niesie wieść gminna, wymyślił prezydentowi ten koncept.

Z ideą przeprowadzenia referendum podczas wyborów do europarlamentu igra jeszcze mniejszość ludu z Nowogrodzkiej, ale może sobie igrać do woli, aż ją od tego igrania rozbolą kolana. Najwyższe Kolano jest bowiem nieugięte.

My tam w sumie jesteśmy za referendami, ale uwalenie prezydenckiego akurat nam odpowiada. Oszczędziło nam to wiele roboty. Byliśmy bowiem już zaangażowani w tworzenie listy pytań konsultacyjnych do prezydenckich pytań konsultacyjnych. Bez nich nie dało się bowiem zrozumieć, o co w nich chodzi.

Za największego wygranego akcji z referendum uważamy ministra prezydenckiego Pawła Muchę. Może i nie odniósł sukcesu jako pełnomocnik do spraw referendum, bo referendum się nie odbędzie, ale za to jego wystąpienie w Senacie zapisze się w historii. Jako pierwszy polityk od kilkunastu lat udanie wskrzesił ducha PO-PiS. Osiągnął to, kiedy senatorowie PO i PiS zgodnie rozszarpywali prezydencką inicjatywę na strzępy.

Apropos eurowyborów – ohydna plotka z Sejmu. Źli ludzie opowiadają tam, że zmiany w ordynacji wyborczej do europarlamentu mają na celu zagwarantowanie fotela Adamowi Bielanowi, bo przewidziano dla niego taki okręg, który dotąd był wątpliwy, a teraz będzie pewny. Nie dziwi nas to, że takie historyjki rozpowszechniają przyjaciele Adama spoza Zjednoczonej Prawicy, lecz to, że robią to i ci z jej wnętrza.

Z wyborami do europarlamentu jest znacznie ciekawiej. Jak usłyszeliśmy od pewnej godnej zaufania ważnej wiewiórki, nie chodzi o to, żeby je po prostu wygrać, ale o to, żeby europosłów PiS było jak najwięcej – nawet kosztem tego, że swój wynik poprawi PeŁo, a taki przecież będzie efekt ordynacji premiującej dwa największe ugrupowania. Otóż Kaczor Dyktator i jego eurodoradcy (zupełnie nie wiemy, dlaczego znów myślimy o Adamie Bielanie) szykują się na zupełnie nowe rozdanie w Parlamencie Europejskim.

Nieuświadomionym tłumaczymy: wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że w najbliższych wyborach nadejdzie tsunami, które wprowadzi do Strasburga mrowie eurorealistów. Zatem mapę frakcji (i funkcji) będzie tam można wyrysować na nowo. PiS bardzo chce być kluczowym elementem tej układanki, a do tego potrzebuje jak najwięcej szabel. Czekamy z niecierpliwością. Uważamy, że czas najwyższy, żeby jakieś rezolucje europejskie zaczęły wreszcie potępiać Niemcy, Holandię czy Belgię, a nie tylko ciągle Polskę i Węgry.

Pozostając przy sprawach europejskich: największym wizerunkowym osiągnięciem polskiej dyplomacji w Europie okazało się wysłanie strażaków do Szwecji. Tak się składa, że wiemy, czyj był to pomysł. Nie, nie Unii Europejskiej. Rzecz wymyślił nowy wiceminister w MSZ Andrzej Papierz, który najpierw kazał ambasadzie monitorować sytuację, a potem – widząc, że Włochy i Norwegia wysyłają z pomocą samoloty – wpadł na pomysł, że Polska też mogłaby coś wy-

eprasa.pl 9eadf03530

słać. A swoim pomysłem podzielił się z premierem Mateuszem.

Ciekawa informacja dla tych, którzy wątpią w sprawne zarządzanie przez premiera Mateusza. Mamy dowody na to, że podjęcie decyzji na tak zajęło mu mniej niż kwadrans. Decyzja ma też swoje minusy – ponieważ wysłaliśmy strażaków do Szwecji, zabrakło ich trochę dla Grecji. Inna sprawa, że najbardziej przydaliby się w Polsce, a dokładnie pod Sejmem albo na Krakowskim Przedmieściu. Uważamy bowiem, że skoro dyktatura jest tak okrutna, jak twierdzą w Eine Totalopposition, to czas najwyższy zacząć kogoś polewać.

Nigdy nie myśleliśmy, że to napiszemy, ale współczujemy Leszkowi Millerowi. Chodzi o jego wnuczkę, promowaną przez tabloidy jako bohaterka ruchu „żeby życie miało smaczek, raz dziewczynka, raz chłopaczek". I nie podzielamy oburzenia na Leszka, które wywołał deklaracją, że jego wnuczka jest normalna, a nie jakieś nie wiadomo co.

Programem wsparcia dla twórców kultury ludowej można objąć Hołdysa: nie ma matury, klnie jak furman i chodzi ubrany jak lump z PRL

Z dobrych źródeł wiemy, że on naprawdę bardzo to przeżywa. Nie pierwszy raz. Gdy wnuczka zrobiła sobie pierwszy tatuaż, zrozpaczony Miller upił się okrutnie w gronie zaufanych czerwonych braci z SLD. A przecież wiecie, ile oni potrafią wypić.

Z entuzjazmem przyjęliśmy nowy program wicepremiera Glińskiego dotyczący wsparcia dla twórców kultury ludowej. Zastanawiamy się, kogo jeszcze można by nim objąć. Są to z reguły twórcy bez odpowiedniego wykształcenia, ludzie prości, tworzący z dala od komercji, więc nieodnoszący sukcesów. Wpadł nam do głowy Zbigniew Hołdys. Pasuje jak ulał. Nie ma matury, klnie jak furman, pielęgnuje dawne obyczaje, chodząc ubrany jak lump z PRL, a ostatnie sukcesy komercyjne odnosił, gdy jeszcze Jaruzelski był prezydentem.

Uwaga! Nieodzowny element ludowy naszej elitarnej rubryki! Poseł Peezelu Piotr Gorzelski kupił sobie czytnik e-booków. I czyta namiętnie. Mamy mieszane uczucia. Z jednej strony cieszymy się, że czyta książki naszego redakcyjnego kolegi Piotra Semki. Z drugiej zastanawiamy się, dlaczego nie nasze. ©℗

REKLAMA

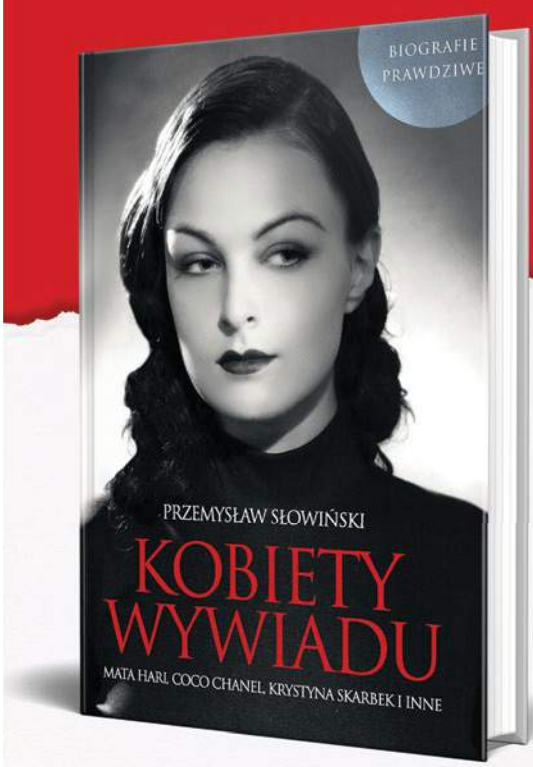

Czy Coco Chanel była niebezpiecznym szpiegiem czy zwykłą kolaboranką?

Kim była jedna z najdzielniejszych Polek XX wieku?

COCO CHANEL
ELŻBIETA ZAWACKA
KRYSTYNA SKARBEK
MATA HARI I wiele innych.

Uwodzicielskie i niebezpieczne.
Intrygi, szantaże, wielka polityka.
Brawura i adrenalina.

Patronat medialny: DO RZECZY

eprasa.pl 9eadf03530

Wojciech Wybranowski

Rozliczenia, aresztowania i sądy – opozycja grozi PiS. Jej sympatycy postawili sobie taki cel i przy coraz odważniejszej aprobacie części mediów zmierzają w stronę brutalnego „kryterium ulicznego”

Aż poleje

Gdy Kornel Morawiecki, jedna z legend antykomunistycznej opozycji, w czasach PRL aresztowany i prześladowany przez SB, szedł niedawno do parlamentu, drogę zastąpiła mu grupa protestujących przeciw zmianom w sądach. Szczególnie agresywna jest Marta Lempart, organizatorka Czarnych Protestów. Rozkłada ręce, ciałem blokuje drogę marszałkowi seniorowi. Tłum wraz z nią wrzeszczy: „Będziesz siedział!”. Musi interweniować policja. Morawiecki zachowuje zimną krew i odpowiada, że on już siedział, za komuny.

Po tym incydencie – inaczej niż jeszcze dwa lata temu, kiedy w Jeleniej Górze grupa bojówkarzy KOD napadła minister edukacji narodowej Annę Zalewską – wśród polityków opozycji nie było słychać głosów potępiających agresorów. Przeciwnie, działacze dzisiejszej opozycji i bliscy jej publicyści coraz częściej i coraz mocniej podkręcają emocje wśród swoich zwolenników, zapowiadając rozliczenia z politykami Prawa i Sprawiedliwości oraz osobami, które są przez nich uznawane za sympatyzujących z obozem „dobrej zmiany”.

– Kasa się skończy, a ludzie przyjdą i sami ich obalą. Może za rok, może za dwa, może za sześć. Ale na pewno ta władza zostanie obalona i ukarana – mówi poseł Jerzy Borowczak (PO) w rozmowie z „Do Rzeczy”. Jest przekonany, że bez wysokich kar więzienia, bez infamii, bez aresztów i procesów dla tych, których dziś jego ugrupowanie określa jako swoich przeciwników, się nie obejdzie.

– To się musi tak skończyć. Raz udało nam się zrobić Okrągły Stół i nie było odwetu, ale teraz nie mamy innego wyjścia! Tak mówią socjologowie, profesorowie... To musi się skończyć odwetem! – twierdzi poseł Platformy. I przekonuje: – Takie podziały, tyle jest krzywd, jakie ta władza wyrządziła, że odwetu nie da się zatrzymać.

Gdy pytamy, czy nie obawia się, że eskalacja politycznego konfliktu, wezwania do rozliczeń mogą ostatecznie doprowadzić w Polsce do przelewu krwi, poseł Borowczak przyznaje, iż wcale tego nie wyklucza. – Tyle jest nienawiści, która ciągle wzrasta, że w końcu jedna lub druga strona nie wytrzyma – stwierdza.

WIĘZIENNA NARRACJA

W czasie, gdy rozmawialiśmy z posłem Borowczakiem, przed barierkami otaczającymi budynki Sejmu i Senatu gromadzili się sympatycy opozycyjnych partii, protestujący, jak twierdzili, przeciwko „niszczeniu niezawisłości sądów” i „zamachowi na Sąd Najwyższy”. Na zgromadzeniu pod Sejmem pojawiła się posłanka PO Henryka Krzywonos. I znów padły mocne słowa, zapowiedzi rewanżu, zemsty. Była mowa o zamykaniu politycznych przeciwników w więzieniach.

– Spalili za sobą mosty, nie będą mieli gdzie wrócić, a my ich wsadzimy. Dopilnujemy tego wszyscy! Jeśli w każdym mieście zbierze się nas trochę i wszyscy przyjedziemy do Warszawy, pokażemy im, ilu jest nas naprawdę wkurzonych [...]. Pamiętajcie o tym, my im tego nie zapomnimy [...]. Oni za to zapłacą – krzyczała Krzywonos otoczona grupką „obrońców demokracji”.

W krótkiej rozmowie z „Do Rzeczy” posłanka Platformy powiedziała, że na kolejne protesty przed Sejmem, jeśli będą, też z Gdańska przyjedzie. Swojego wystąpienia Krzywonos komentować nie chciała.

eprasa.pl 9eadf03530

Demonstranci napierający na barierki ustawione przed Sejmem 18 lipca

FOT. TOMASZ GZELL/PAP

się krew

Były prezydent Lech Wałęsa w ubiegłotygodniowej rozmowie z Wirtualną Polską stwierdził: – Nie chcę wracać do polityki. Jedyne, o co mogę się starać, to o to, by być szefem więziennictwa, żeby Kaczyńskiego wsadzić do więzienia.

Podobna „więzienna retoryka" pojawia się w przemówieniach, deklaracjach i internetowych komentarzach posłów opozycji coraz częściej.

A kilkanaście dni temu, podczas sejmowej debaty na temat nowelizacji ustawy o Sądzie Najwyższym, poseł Stanisław Gawłowski straszył posłów PiS aresztami, sądami i więzieniem. Ten były już sekretarz generalny Platformy Obywatelskiej kilka dni wcześniej sam opuścił areszt tymczasowy, w którym przebywał decyzją sądu. Prokuratura stawia jemu i jego bliskim szereg zarzutów dotyczących popełnienia przestępstw korupcyjnych. Jak działał „klan Gawłowskiego", opisywaliśmy niedawno w „Do Rzeczy" (nr 28 z 9 lipca 2018 r.).

– Byłem rzeczywiście w miejscu, do którego wielu z was niedługo trafi. Jestem absolutnie przekonany. I muszę wam powiedzieć, że czekają tam na was. I muszę wam powiedzieć, nie będzie wam łatwo – grzmiał Gawłowski z sejmowej mównicy.

Zdaniem dr. Jacka Kloczkowskiego, politologa z Ośrodka Myśli Politycznej, obietnice aresztowań, sądów, procesów i brutalnych rozliczeń to element celowej socjotechniki. – W polityce coraz silniej buzują bardzo złe emocje, a ubierając je w wielkie słowa, politycy mogą zyskać poklask grup fanów swoich ugrupowań, wśród których rzeczywiście odczuwalna jest silna nienawiść do politycznego przeciwnika. Zaistnieją też na łamach mediów bliskich swoim ugrupowaniom, zyskają trochę głosów – mówi nam ekspert.

NA WOJNIE Z „REŻIMEM"

Jeszcze kilka miesięcy temu zapowiedzi „aresztu" dla polityków partii rządzącej, rozliczenia i postawienia przed sądami bądź Trybunałem Stanu prezydenta, premiera i poszczególnych ministrów pojawiały się niemal wyłącznie w wystąpieniach polityków PO i Nowoczesnej bądź w pogróżkach wiecowych mówców Komitetu Obrony Demokracji i Obywateli RP. Teraz takie głosy słychać nawet po stronie umiarkowanego dotąd Sojuszu Lewicy Demokratycznej. – Przyjdzie czas, przyj-

eprasa.pl 9eadf03530

dzie nowa władza, wsadzi połowę tego towarzystwa PiS-owskiego do więzienia, a tych, których nie można będzie wsadzić do więzienia, postawi przed Trybunałem Stanu, co się skończy tym, że nigdy w życiu do polityki nie wrócą – oznajmił lider SLD Włodzimierz Czarzasty w telewizji Polsat News, komentując awantury o nowelizację ustawy o Sądzie Najwyższym.

Takie zapowiedzi niewiele mają wspólnego z rzeczywistością. Zgodnie bowiem z art. 105 Konstytucji RP: „Poseł nie może być pociągnięty do odpowiedzialności za swoją działalność wchodzącą w zakres sprawowania mandatu poselskiego ani w czasie jego trwania, ani po jego wygaśnięciu". – To oczywiste, ale polityka i deklaracje polityków rządzą się własnymi prawami. Politycy PO wpadli w pewną pułapkę, a pragenezy tego trzeba szukać w sytuacji, która miała miejsce w Platformie po wyborach w 2015 r. – tłumaczy prof. Rafał Chwedoruk, politolog UW. Przypomina, że PO była osłabiona wówczas nie tylko wyborczymi porażkami, lecz także przywództwem Ewy Kopacz i wcześniejszym odejściem Donalda Tuska, wzajemnymi konfliktami frakcji związanymi z wyborami nowego lidera ugrupowania. – W tę lukę wkroczyły środowiska radykalne, z mocną rewanżystowską retoryką. Teraz politycy PO muszą się do niej dostosowywać, ba – podbijać piłeczkę, bo każde osłabienie deklaracji, odejście od formuły „ulicy" natychmiast spowoduje oskarżenia o zdradę – uważa.

Wygląda też na to, że rolę spin doktorów opozycji podsuwających jej „rozliczeniowe" pomysły wzięła najwyraźniej na siebie część dziennikarzy blisko związanych z poprzednią ekipą rządzącą. „[…] Dożywotni zakaz wykładów na uczelniach dla sędziów SN i TK wybranych z naruszeniem prawa. Funkcjonariusze dyktatury nie mają prawa zbliżać się do młodzieży" – pisał na Twitterze Tomasz Lis, redaktor naczelny tygodnika „Newsweek".

Z kolei etyk prof. Magdalena Środa wezwała do nieuznawania obecnych władz państwowych oraz sądowniczych i tworzenia czegoś w rodzaju podziemnego państwa z własną administracją, wymiarem sprawiedliwości, uczelniami i kanałami komunikacji.

TAK SIĘ RODZI NIENAWIŚĆ

– Skoro politycy opozycji oskarżają partię rządzącą o rzekome „niszczenie demokracji" czy „zamach na niezawisłość sądów", to siłą rzeczy muszą używać ostrej rozliczeniowej retoryki, by dla swoich odbiorców brzmieć wiarygodnie. Niestety, w ten sposób bardzo łatwo jest kogoś sprowokować do przemocy, do sytuacji, w której ktoś kogoś uderzy, pchnie nożem, bo ten ma inne poglądy polityczne – ostrzega dr Jacek Kloczkowski.

A w twardym elektoracie Platformy słychać głosy wskazujące na daleko idące pragnienie zemsty i rozprawienie się z obecną władzą wszelkimi, legalnymi bądź mniej legalnymi sposobami. Wspierająca opozycję Maria Nurowska, pisarka bliska środowiskom „Gazety Wyborczej", zaapelowała, by w Polsce zorganizować strajk generalny. „Teraz to ostatni ratunek! Potem może polać się krew" – napisała na swoim Facebooku. Kilka dni wcześniej pochwaliła się sporządzeniem laleczki voodoo symbolizującej posła PiS Stanisława Piotrowicza. „Stało się, zrobiłam laleczkę prokuratora Piotrowicza i wbijam w nią szpilki. Jego dni są policzone..." – pisała w sieci. Potem dodawała: „Jestem za laleczką voodoo, nie musi od razu zabijać, wystarczy mały wylew i paraliż".

Profesor Magdalena Środa wezwała do tworzenia czegoś w rodzaju podziemnego państwa, z własną administracją i uczelniami

Efekty siania politycznej nienawiści już są. Tylko w ciągu ostatnich kilkunastu dni zniszczono elewacje kilku biur parlamentarzystów PiS, m.in. w Wąbrzeźnie, Golubiu-Dobrzyniu i Warszawie. Rok wcześniej celem ataków stało się osiem biur poselskich. Na początku lipca najprawdopodobniej feministki zniszczyły elewacje trzech kościołów w Warszawie: na ich murach czerwoną farbą wysmarowano napisy: „Oto ciało moje. Wara wam" i „Mordercy kobiet".

A w trakcie niedawnych protestów sympatyków opozycji, podczas próby sforsowania przez najbardziej agresywnych demonstrantów barierki otaczającej Sejm, rannych zostało dwóch funkcjonariuszy policji zabezpieczających budynki parlamentu. Po tym jak policjanci zatrzymali osoby, którym udało się przedostać na teren Sejmu, dziennikarz „Gazety Wyborczej" Wojciech Czuchnowski wzywał na Twitterze: „Ludzie, czemu w takiej sytuacji nie odbijacie zatrzymanego? Podczas zadym w latach 80. milicja nie odważyła się wejść w tłum. Trzeba walczyć, do cholery!".

Ofiarą nienawiści stał się też jeden z policjantów, którego zdjęcie, wraz z jego danymi osobowymi – zrobione wtedy, gdy zatrzymywał agresywnego demonstranta – na Twitterze zamieścił poseł PO Michał Szczerba. Policjant i jego bliscy zaczęli otrzymywać pogróżki. Kierownictwo MSWiA złożyło do prokuratury zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa przez posła Szczerbę.

Internet stał się miejscem, w którym najbardziej zaangażowani uczestnicy politycznych konfliktów dają ujście swoim emocjom. „Oj, ja czekam na wojnę domową w Polsce. Ale sobie na was pisowskie k... pouzywam!" – napisał na Twitterze użytkownik ukrywający się pod pseudonimem Biały Wilk.

„Żołnierze Polscy, zabrano Wam sprzęt bojowy, ale czy też zabrano Wam jaja? Larum grają, konstytucję depczą, a Wy śpicie?" – wzywał na Facebooku Ryszard Kirkało, członek zarządu fundacji Wolni i Równi, wcześniej bliski współpracownik płk. Adama Mazguły. „Popieram, trzeba ich pogonić, zanim zmienią konstytucję, bo będzie po nas" – dodawała pani Henryka Biała.

Atmosferę podgrzewa też w sieci wielu dziennikarzy bliskich rządzącej niedawno koalicji PO- PSL.

„Od dziś, ten, kogo Kaczyński wskaże palcem, tego Ziobro oskarży, Ziobro osądzi i Ziobro osadzi. Czy to koniec? Nie, bo walka trwa, dopóki My, Obywatele, nie złożymy broni i nie pogodzimy się z dyktaturą ciemniaków" – przekonywał zastępca redaktora naczelnego „Gazety Wyborczej" Jarosław Kurski. A Kamil Durczok, były dziennikarz TVN, także w Internecie groził jednemu z funkcjonariuszy Straży Marszałkowskiej: „[…] Chłopie! Ten PiS-owski cyrk się za chwilę dramatycznie skończy, tak jak Twoja robota w Tym miejscu. Masz rodzinę? Serio wolisz iść na zasiłek? O honorze munduru, który nosisz, nawet nie wspomnę" – napisał.

– Scenariusz „przemocowy" w Polsce jest mało realny, zwłaszcza że te radykalne hasła odstraszają od opozycji umiarkowany centrowy elektorat. Trzeba jednak liczyć się z tym, że po zmianie władzy może poza tym politycznym mainstreamem znajdzie się jakaś grupka „zapaleńców", którzy będą chcieli skrajnych działań – komentuje dr Jacek Kloczkowski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9eadf03530

Z sędzią dr. Maciejem Miterą, rzecznikiem Krajowej Rady Sądownictwa i prezesem Sądu Rejonowego Warszawa-Śródmieście
rozmawia Wojciech Wybranowski

Niezawisłość ma się w sobie

WOJCIECH WYBRANOWSKI: Nie obawia się pan aresztowania, więzienia, infamii? Słychać dziś głosy w gronie szeroko pojętej opozycji, że takie właśnie sankcje czekają sędziów, którzy zdecydowali się wejść do Krajowej Rady Sądownictwa, kandydować do Sądu Najwyższego...

MACIEJ MITERA: Boję się tylko swojego ojca. A jeżeli miałbym obawiać się pogróżek i im ulegać, to chyba lepiej byłoby, żebym w ogóle zmienił zawód. Mówiąc znacznie poważniej: w żaden sposób nie czuję się przestępcą, abym miał się obawiać prób rozliczania, postawienia przed sądem, tymczasowego aresztowania czy wyroku. A infamia, bo takie pogróżki też padają? Cóż, nie należę do strachliwych. Czy zaś takie pogróżki mogą wpłynąć na moich kolegów, może tych młodszych, mniej doświadczonych? Redaktorze, przecież w pana środowisku są jednostki bardzo silne, silne psychicznie, słabsze, bardziej podatne, wrażliwe na presję, na krytykę... W sądach nie jest inaczej.

Krótko przed głosowaniem przez Sejm nad nowelizacją ustaw o Sądzie Najwyższym i KRS politycy Platformy zapowiadali, że każdy poseł, który przyłoży rękę do zmian w ustawach, i każdy sędzia, który zajmie zwolnione przez odwołanych sędziów stanowisko, poniesie odpowiedzialność karną.

Mówią to parlamentarzyści, wśród których przecież są też prawnicy, i mogę powiedzieć, że przykro się mi robi, gdy słyszę z ich ust takie zapowiedzi. Bo przecież prawnik doskonale wie, że poseł za tzw. kwestie uchwalania prawa, czyli za to, jak podnosi rękę podczas głosowania, nie podlega odpowiedzialności karnej. Hasła w rodzaju: „Będziecie siedzieć za to, jak głosowaliście" są zatem może i dobre, ale tylko jako slogany deklamowane na użytek własnego elektoratu.

Negatywne oceny sędziów, którzy uczestniczą w reformie wymiaru sprawiedliwości, to jednak nie tylko domena polityków opozycji. Na początku lipca sędzia Igor Tuleya w rozmowie z TVN24 powiedział, że: „Krajowa Rada Sądownictwa ma tyle wspólnego z sądownictwem, że je niszczy, a osoby, które tam zasiadają, są po prostu grabarzami niezależności sądów i niezawisłości sędziów".

Gdybym trzy lata temu takich słów użył, to zapewniam pana, że na pewno by mnie już w zawodzie nie było! I takie konsekwencje byłyby zasłużone. Dostrzegam też, że dzisiaj granica – nazwijmy to – krytyki jest nad wyraz rozciągnięta. I obecnie sędziom wolno powiedzieć dużo więcej, niż wolno było czy wypadało powiedzieć wcześniej. To tylko świadczy o tym, że żyjemy w demokratycznym państwie prawa.

Polska Sekcja Międzynarodowej Komisji Prawników wydała oświadczenie, z którego wynika, że tzw. ustawy sądowe naruszają zasadę trójpodziału władzy oraz stanowią istotne zagrożenie dla rządów prawa. Dostrzega pan w nowych przepisach dotyczących SN czy KRS niebezpieczeństwo dla niezawisłości i niezależności sędziów?

Zagrożenie dla sędziowskiej niezawisłości? Naprawdę nie widzę. Niezawisłość ma się w sobie albo się jej nie ma. W przepisach, o których mówimy, nie widzę żadnego mechanizmu pozwalającego komukolwiek mającemu takie instrumenty wpływać na moją czy innego sędziego niezawisłość.

Takie ostrzeżenia dotyczące reformy sądów płyną także ze strony Komisji Europejskiej.

Po pierwsze – Komisja Europejska czy każdy jej organ nie jest od oceny konstytucyjności przepisów w naszym kraju. Mamy Trybunał Konstytucyjny, który działa na podstawie obowiązujących przepisów, niezależnie od tego, jak ktoś subiektywnie go ocenia. I to jest organ powołany do stwierdzenia, czy coś jest konstytucyjne, czy nie. Wszystkich na studiach prawniczych uczono i uczy się, że obowiązuje domniemanie konstytucyjności i dopóki nie zostanie to zakwestionowane przez uprawniony do tego organ, dopóty obracamy się w granicach prawa.

Ile napłynęło już zgłoszeń kandydatów do Sądu Najwyższego?

Jest ich już 57 na 44 wolne miejsca. Termin zgłaszania kandydatów wyznaczony został na 28 lipca. Później będą oni oceniani przez zespoły, które zarekomendują danego kandydata całej radzie albo też nie. Decyzje podejmie cała KRS na plenarnym głosowaniu. Rekomendacje dla konkretnych, wybranych przez nas osób prześlemy głowie państwa, a pan prezydent zadecyduje, komu powierzy zaszczytną funkcję.

eprasa.pl 9eadf03530

Stowarzyszenia sędziowskie Iustitia i Themis wezwały sędziów do bojkotu wyboru kandydatów do Sądu Najwyższego. Themis w oświadczeniu stwierdziła nawet, że: „[...] nazwiska osób aspirujących do Sądu Najwyższego w warunkach stworzonego obecnie ustawowego bezprawia staną się synonimem służalczości wobec systemu niszczącego państwo prawa". Czy można więc stwierdzić, że środowisko sędziowskie do apeli tych organizacji się nie dostosowało?

Czy całe środowisko? Wśród tych 57 osób, które do wtorku zgłosiły swoje kandydatury, są przedstawiciele różnych zawodów prawniczych, także sędziowie. Tylko jest tu pewien dysonans poznawczy, bo przecież były przewodniczący KRS pan Zawistowski w jednym z wywiadów mówił, że trzeba kandydować, dawał zielone światło. Później stowarzyszenia nawoływały, by w ramach obstrukcji zgłaszać jak najwięcej kandydatów. Teraz zmiana frontu o 180 stopni: nie wolno się zgłaszać, bo sankcje, ostracyzm zawodowy i usuwanie z zawodu, rozliczenia.

Gdyby sędziowie chcieli poważnie traktować te stowarzyszenia, to mogą mieć problem z oceną spójności i wiarygodności takich apeli. Sędziowie zasiadający we władzach tych stowarzyszeń mają prawo, ba: nawet powinni mieć własne zdanie w kwestiach ich dotyczących, ale sugerowanie, że te stowarzyszenia, że oni sami są jedynymi reprezentantami środowiska sędziowskiego, jest na wyrost.

Podsumowując, powiem, że niedawno przeczytałem takie sformułowanie: „Demokracja ma to do siebie, że hałaśliwa mniejszość terroryzuje milczącą większość".

W mojej ocenie prof. Małgorzata Gersdorf jest sędzią w stanie spoczynku, czyli jest sędzią nieorzekającym. Na mocy ustawy przeszła w stan spoczynku

FOT. FILIP BŁAŻEJEWSKI/GAZETA POLSKA/FORUM

Nie niepokoi pana liczba nowelizacji ustaw o KRS i Sądzie Najwyższym, dostosowywania do bieżących problemów, pilnego poprawiania błędów?

Jako człowiek zajmujący się kiedyś zawodowo legislacją obserwuję, że cała machina legislacyjna, proces legislacyjny ulega pewnemu zepsuciu. Mówiąc krótko, chciałbym, by było to robione w sposób perfekcyjny, a nie jako element doraźny. Jeżeli legislację będzie się traktować jako element doraźny, nie zwracając uwagi na fundamentalne kwestie, to jakość stanowionego prawa może zostawiać wiele do życzenia. Jeśli zaś chodzi o szczegóły wspomnianych przez pana ustaw, zapisów w nich zawartych – to taka jest wola ustawodawcy. Nie podoba mi się sam proces legislacyjny, a co do rozwiązań... No cóż, to nie sędziowie, nie prawnicy uchwalają prawo, robią to politycy.

A kto ma zwołać Zgromadzenie Ogólne Sędziów Sądu Najwyższego, skoro prezes prof. Gersdorf przeszła w stan spoczynku, a pełniący obowiązki prezes SN, sędzia Józef Iwulski, nie otrzymał rekomendacji KRS?

I tu jest kolejny problem zarówno dla ustawodawcy, jak i całego gremium Sądu Najwyższego. Przypomnę, że mieliśmy podobny problem jako członkowie nowo wybranej KRS, z tym, kto zwoła posiedzenie, skoro była prezes SN, prof. Gersdorf, tego odmawiała. Problem udało się rozwiązać, ponieważ ostatecznie pani prof. Gersdorf zwołała posiedzenie KRS. W tym wskazanym w pańskim pytaniu przypadku sam będę się z ciekawością przyglądał, jak ten problem zostanie rozwiązany.

A pani prof. Małgorzata Gersdorf w pana ocenie jest sędzią na urlopie czy sędzią w stanie spoczynku?

W mojej ocenie jest sędzią w stanie spoczynku, czyli jest sędzią nieorzekającym. Na mocy ustawy przeszła w stan spoczynku.

Pytam, ponieważ jeden z sędziów SN, prof. Wojciech Katner, stwierdził: „Mam nadzieję, że nie będzie osoby, która zgodzi się zastąpić prof. Gersdorf".

Już w lutym dało się zauważyć nadzieję kierownictwa stowarzyszeń sędziowskich na to, że nikt nie będzie kandydował do Krajowej Rady Sądownictwa. Jak pan widzi, okazało się, że są sędziowie, którzy nie ulegli temu dyktatowi ani groźbom. Teraz widzę, że prowadzona jest narracja, iż nikt się nie ośmieli zastąpić pani prof. Gersdorf. Nie wiem, czy tak

eprasa.pl 9eadf03530

się stanie. W moim odczuciu będzie kandydat, będzie nowy I prezes Sądu Najwyższego.

Nie ma chyba sporu, że wiek emerytalny sędziego, także sędziów SN, można zmienić ustawą i wynika to bezpośrednio z przepisów konstytucji. Część środowiska prawniczego, także np. sędzia Barbara Piwnik, wskazuje jednak, że pojawia się pytanie – czy skrócenie wieku emerytalnego może prowadzić do przerwania kadencji prezesa SN, której czas także określa konstytucja. Może powinno się pani prof. Gersdorf pozwolić na dokończenie kadencji?

Tyle już pojawiło się głosów i opinii w tej sprawie, że ja tutaj drzwi nie wyważę, Ameryki też nie odkryję. Kadencja prezesa SN jest zapisana w konstytucji – i to nie budzi wątpliwości – to zaś, co pan przytoczył, to również jest prawdą, iż można wiek przechodzenia w stan spoczynku sędziego kształtować ustawą zwykłą. No i teraz znajdzie pan osoby, które powiedzą, że kadencja jest ścisła i nienaruszalna, ale w takim razie co z tym stanem spoczynku? I tak – pewne jest, że pani prof. Gersdorf jest sędzią w stanie spoczynku. A w takim razie – czy sędzia w stanie spoczynku może być prezesem SN? I tu odpowiedź brzmi: nie. Ale i tu znajdzie pan obrońców interpretacji, że kadencyjność to najwyższe dobro, nieprzerywane etc. Ilu prawników, tyle poglądów na ten temat.

A w pana ocenie reforma Sądu Najwyższego – strukturalna, organizacyjna i osobowa – była konieczna?

Jestem zwolennikiem reform – jeśli coś szwankuje, nie działa, jest rzetelnie krytykowane, to należy podjąć działania, by rzecz poprawić i usprawnić. Oczywiście nie jestem doktrynerem, takim, który uzna, że koło powinno być kwadratowe, skoro ktoś je wynalazł i ono się kręci. Ale jeżeli słyszymy opinię publiczną, głosy wielu zwykłych ludzi, którzy doznali – nie boję się tego słowa użyć – krzywdy w wyniku orzeczeń czy niefunkcjonowania sądów, w wyniku zaległości, opieszałości w ich pracy, to próba ich usprawnienia jest zasadna. A dzisiaj raczej nie znajdzie pan osób w Polsce, które powiedzą, że sądy funkcjonowały dobrze. Czyli że była potrzeba ich usprawnienia. Czy w pełni się udała? Nie popełnia błędów tylko ten, kto nic nie robi. Należało podjąć próbę ulepszenia...

A jakie były powody negatywnej rekomendacji KRS dla sędziego Józefa Iwulskiego do pracy w SN?

Nad wnioskiem debatowała KRS w głosowaniu tajnym, musiałby pan więc zadać każdemu członkowi KRS, który brał udział w głosowaniu, pytanie o to, co nim kierowało. Jeżeli pyta pan mnie, to powiem, że w mojej ocenie wniosek sędziego Iwulskiego nie spełniał wymogów formalnych. Nie dokonywałem oceny człowieka, czy to pana Iwulskiego, czy Zabłockiego, tylko wniosków, które oni złożyli. Sprawdzałem, czy zostały złożone zgodnie z wymogami prawa, czy też nie.

Zastanawiam się tylko, dlaczego głosowanie było tajne. Znowelizowana ustawa o KRS nakazuje pełną jawność prac rady. I o ile utajnienie debaty nad wnioskami poszczególnych sędziów można usprawiedliwić ochroną danych wrażliwych, o tyle jednak dla utajnienia głosowania nie znajduję uzasadnienia.

Rzeczywiście, było potencjalne ryzyko ujawnienia danych wrażliwych w trakcie transmisji online. A co do tajności głosowania to padł taki wniosek, większość członków KRS za nim głosowała. Demokracja.

Jakie są największe bolączki polskiego sądownictwa?

Bolączką dla obywatela jest niewątpliwie przewlekłość. Sprawiedliwość po kilku czy kilkunastu latach to nie jest sprawiedliwość. Bolączką dla sędziego referendarza jest brak kadry urzędniczej, czyli etatów asystenckich, referendarskich. Praca sędziego w mojej ocenie wymaga posiadania bardzo dobrego sekretariatu, czyli tzw. obsługi administracyjnej. To chyba dwie najważniejsze kwestie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9eadf03530

FOT. SIMONA GRANATI/CORBIS/GETTY IMAGES

Piotr Gociek

Donald Tusk uważnie przygląda się sytuacji w Polsce i czeka na odpowiedni dla siebie moment. Nie czeka jednak bezczynnie

Gra Donalda

Odpowiedzią na pytanie, w co gra Donald Tusk, mogłoby być zdanie ze starego skeczu kabaretu Pod Egidą: gra w to, w co wygrywa.

Jak zatem interpretować świeżą deklarację Tuska o możliwym powrocie do polskiej polityki i kandydowaniu na urząd prezydenta Rzeczypospolitej? „Gdyby Jarosław Kaczyński zdecydował się kandydować, nie wahałbym się ani chwili" – powiedział w wywiadzie dla TVN24, choć zastrzegał od razu, że jest „za wcześnie na spekulacje" związane z jego politycznymi planami po powrocie do Polski.

Polityczni fani Tuska wypatrujący w nim zbawcy na białym koniu odebrali te słowa jako zapowiedź ofensywy, może nie rychłej, ale pewnej. Przeciwnicy próbowali ją bagatelizować, a nasz redakcyjny kolega Piotr Semka wbijał szpilę: „Tusk ma jakiś kompleks Kaczyńskich. W 2005 przegrał z Lechem Kaczyńskim. W styczniu 2010 r. uchylił się od ponownej rywalizacji z PLK. Teraz na odwrót – chce pojedynku z Jarkaczem, choć ten jasno mówi, że PiS wystawia w 2020 Andrzeja Dudę. Mam radę: Niech na początek wygra z PAD" (pisownia oryginalna; źródło: Twitter).

TA ROZGRYWKA SIĘ NIE SKOŃCZYŁA

Słowom Tuska warto przyjrzeć się bliżej z kilku powodów. Nie zwykł on paplać przy każdej możliwej okazji, swoje wystąpienia na temat polskiej polityki dawkuje oszczędnie. Wywiadów udziela nie wtedy, kiedy tak jest wygodnie wydzwaniającym do polityków wydawcom telewizyjnych programów, lecz wtedy gdy ma jakiś interes do ubicia, jakiś własny komunikat do przekazania. W polskich rozgrywkach jest nieustannie obecny, choć za kulisami i w dwojakim charakterze: czasem czynnie, jak wtedy gdy w sekrecie układał Ewie Kopacz skład list PO w wyborach do europarlamentu w roku 2015, a czasem po prostu jako gracz kryjący się w cieniu, pielęgnujący swój wizerunek kluczowej figury, „ostatniej nadziei opozycji", przyglądając się z ciekawością, jak w tyglu polskich sporów przyjmowana jest sugestia, że mógłby patronować własnej, osobnej liście w wyborach do europarlamentu w roku 2019. (Zauważmy, że taką możliwość PiS storpedował ostatnimi zmianami w ordynacji wyborczej do PE, premiującymi najsilniejsze ugrupowania).

Najważniejszy zaś powód to ten, że Donald Tusk z pewnością nie wybiera się jeszcze na emeryturę, jego wyśniona misja zapisania się na kartach historii Polski nie jest, z jego punktu widzenia, zakończona. Ciekawy paradoks – w tych dwóch żywotach równoległych rządzących polską polityką już niemal od dwóch dekad, czyli u Donalda Tuska i Jarosława Kaczyńskiego, świat wizerunku i polityczny real są dokładnie odwrócone. Tusk próbuje zdobyć tytuł polityka najskuteczniejszego (wygrał dwa razy z rzędu wybory parlamentarne, co nie udało się dotąd nikomu, pozostaje niezwyciężony, bo sam odszedł na lukratywne stanowisko unijne, czyli w mniemaniu własnym i swoich zwolenników awansował), tymczasem spuścizna jego rządów jest mikra. Choć wygrywał dzięki obietnicom wielkich zmian, godzien jest najwyżej tytułu Wielkiego Administratora (cóż to jednak za administrator, który pozostawia po sobie niedziałającą strukturę).

Z kolei Jarosław Kaczyński, odsądzany przez przeciwników politycznych i medialnych jako ten, który jest żądny władzy dla władzy (ewentualnie dla wzięcia pomsty na PO), jest tak naprawdę Wielkim Reformatorem, dla którego proces przebudowy polskiego państwa jest ważniejszy od osobistych korzyści. Nie musi liczyć swoich ważnych tytułów, bo nie są mu do niczego potrzebne – po prostu jest skuteczny. To bez wątpienia najskuteczniejszy polityk III RP. Wykreował trzech prezydentów (Lecha Wałęsę, Lecha Kaczyńskiego, Andrzeja Dudę), premierem był tylko raz, ale stworzył pięć innych rządów (gabinety Mazowieckiego, Olszewskiego, Marcinkiewicza, Szydło oraz Morawieckiego).

Wielka gra między Kaczyńskim a Tuskiem nie jest skończona. Przedwczesne są zarówno prognozy, że były przywódca PO nie wróci do polskiej polityki, bo boi się odpowiedzialności za swoje dawne przewiny (wersja PiS), jak i że nie uczyni tego, bo jego kadencja na stanowisku przewodniczącego Rady Europejskiej ostatecznie potwierdziła jego geniusz męża stanu, który wszędzie jest potrzebny, więc teraz może w Europie iść już tylko w górę (wersja PO). (Zastanówmy się zresztą, jaki teraz miałby to być awans, skoro już pierwsze europejskie stanowisko Tuska jego chwalcy od Jacka Żakowskiego po Bogusława Chrabotę obwołali wydarzeniem na miarę wyboru Polaka na papieża – czy teraz Tusk miałby zostać już Panem Bogiem Wszechmogącym?) Donald Tusk uważnie przygląda się sytuacji w Polsce i czeka na odpowiedni moment. Ale nie czeka bezczynnie. Z jego wypowiedzi można wyczytać, na jakich warunkach chciałby to zrobić. Na korzystnych dla siebie, tak jak wcześniej z toczonymi przez niego bitwami bywało. Grał wtedy, kiedy wiedział, że wygra.

PERFEKCJA UNIKÓW

W odróżnieniu od Kaczyńskiego, który wielokrotnie w swojej karierze zasiadał do rozgrywki z dużo słabszymi kartami i niewielkimi szansami na zwycięstwo, Donald Tusk tak naprawdę w całej swojej karierze politycznej zaryzykował tylko raz. Było to w roku 1993, kiedy podjął samodzielnie decyzję, że Kongres Liberalno-Demokratyczny pójdzie do przedterminowych wyborów parlamentarnych samodzielnie. Inną opcją był udział w wielkim bloku wyborczym, wraz m.in. z Unią Demokratyczną i Zjednoczeniem Chrześcijańsko-Narodowym. Sondaże dawały takiej liście szanse nawet na zwycięstwo (ostatecznie wybory w 1993 r. wygrały SLD i PSL). „To była moja decyzja. Wprawdzie szef sztabu wyborczego KLD Jacek Merkel mówił, że powinniśmy startować sami, ale odpowiedzialność za ostateczną decyzję w tej sprawie spada na mnie" – mówił po latach Tusk w biografii, którą napisali Stankiewicz i Śmiłowicz. Decyzja była błędem, Kongres nie dostał się do Sejmu i znalazł się na długie lata na marginesie polityki.

Późniejsza kariera Tuska to już działania dużo lepiej wykalkulowane. Porzucenie przez liberałów Unii Wolności i założenie Platformy Obywatelskiej było trafnym rozpoznaniem zmieniających się sympatii elektoratu i działaniem z dużym prawdopodobieństwem sukcesu, bo liczono na skonsumowanie popularności jednego z założycieli PO – kilka miesięcy wcześniej Andrzej Olechowski zdobył w wyborach prezydenckich 3 mln głosów. Decyzja o odrzuceniu zapowiadanej koalicji PO-PiS po wyborach w roku 2005 i przejście na stanowiska nieprzejednanej opozycji przyniosła sukces już po dwóch latach w postaci przedterminowych wyborów. Po latach wiemy, że ryzyko było niewielkie, skoro w rządzie PiS-Samoobrona-LPR wicepremier Giertych odgrywał rolę platformerskiego kreta (przyznał się do tego po latach) i już wtedy było mu bliżej do PO, tylko ukrywał to przed własnym elektoratem. Inna sprawa, że nie trzeba było takiej wisienki na torcie, by przewidzieć, że chybotliwa koalicja rozsypie się raczej wcześniej niż później.

W latach swoich rządów Tusk doprowadził do perfekcji sztukę staczania bitew, o których wiedział z dużym prawdopodobieństwem, że je wygra.

eprasa.pl 9eadf03530

Efektowny w publicznych wypowiedziach, uwodzicielski wobec elektoratu i boleśnie wykpiwający opozycję, zawsze uważnie selekcjonował potencjalne pola konfliktu. Tam, gdzie się dało, odwlekał decyzje, topił rozmaite projekty w pracach tworzonych ad hoc zespołów, bywał jednocześnie za i przeciw, lawirował, odkładał, przekładał, umywał ręce.

Gdy sytuacja bywała kryzysowa (a kryzysów było wiele, szkoda, że opinia publiczna ma tak krótką pamięć), czekał z decyzją do chwili zajrzenia w badania, a potem podejmował decyzje, których to nie on ponosił konsekwencje, budując jednocześnie wizerunek ponadpartyjnego arbitra, w najgorszym razie dobrego cara otoczonego przez złych i głupich bojarów. Kiedy czuł opór – jak podczas pierwszej próby zlikwidowania OFE – wycofywał się i czekał na korzystniejszą okazję do stoczenia bitwy. By nie stracić realnej władzy oraz kontroli nad partią, oddał prezydenturę Bronisławowi Komorowskiemu. A na końcu, kiedy zbliżał się czas wystawienia przez Polaków rachunku za dwie zmarnowane kadencje, grzecznie podziękował i jako osoba stworzona do wyższych celów wyniósł się do Brukseli. Nawarzone przez niego piwo musieli wypić ci naiwni, którzy w Polsce pozostali. I piją to piwo do dziś.

„NIC BARDZIEJ ŻAŁOSNEGO"

Dzisiaj Donald Tusk kojarzy się członkom PO i zwolennikom tej partii tylko z dobrymi, starymi czasami, a wyselekcjonowane momenty publicznego angażowania się w sprawy polskie rozgrywał według sprawdzonego wcześniej scenariusza. Wypowiadając się krytycznie o rządach i reformach PiS, nigdy nie był pierwszym odważnym, najpierw uważnie obserwował, jak wieją wiatry w Brukseli. W korzystnym dla siebie momencie odzywał się krótko, kreując na jedynego sprawiedliwego, zatroskanego o los kraju i Unii.

Jednocześnie na arenie międzynarodowej bacznie obserwował zmieniające się nastroje. W kwestii ograniczenia napływu uchodźców wyraził się publicznie ostrzej, niż życzyła sobie tego kanclerz Angela Merkel, nie było to jednak zderzenie dwóch różnych wizji, lecz drobny akt nielojalności wobec patronki rozdmuchany przez niemieckie media. Tusk zrobił to przedwcześnie, ale z korzyścią dla siebie – w polskiej polityce, gdy do niej wróci, będzie mógł chodzić w glorii tego, który wcześniej od innych przeciwstawiał się złym rozwiązaniom. Odpowiedzialność za pomysł z przymusowym osiedleniem w Polsce imigrantów poniosła nieszczęsna Ewa Kopacz.

Klasycznym „manewrem Tuska" było ostatnio jego ostre wystąpienie przeciw Donaldowi Trumpowi, które z przejęciem cytowano w mediach całego kontynentu, a które, realnie rzecz biorąc, kwalifikuje się do kategorii „na pochyłe drzewo wszystkie kozy skaczą". Trump jest dziś tak niecierpiany przez europejskie elity polityczne i medialne, że trudno zakwalifikować słowa Tuska jako wyraz jakiejś szczególnej odwagi. Ale jako dowód tego, że uważnie patrzy, skąd wieje wiatr – owszem.

Z Kaczyńskim Tusk prawdopodobnie by wygrał. Z Dudą lub Morawieckim – niekoniecznie

Równie uważnie przygląda się Tusk sytuacji w Polsce. Jego deklaracja, w której pomija istnienie urzędujących prezydenta i premiera, a wskazuje jako głównego przeciwnika Jarosława Kaczyńskiego, wcale nie musi być wyrazem „kompleksu Kaczyńskich". Widzę w tym raczej próbę odpowiedniego ustawienia pola przyszłej bitwy. Proszę sobie przypomnieć manewr sztabu Jarosława Kaczyńskiego z kampanii parlamentarnej w roku 2007. Forsowano tam pomysł debat jedynie między Jarosławem Kaczyńskim a Aleksandrem Kwaśniewskim, by zmarginalizować Tuska. Wytłumaczenie było sprytne i dobrze skrojone pod emocje elektoratu – skoro w kampanii ściera się IV RP z III RP, to logiczne, że tę pierwszą reprezentuje Kaczyński. A tą drugą uosabia nie „pomagier" Tusk, lecz „ojciec chrzestny" Kwaśniewski.

Tusk, wskazując na Kaczyńskiego, w istocie powtarza ten manewr. Jego przeciwnikami nie mogą być „pomagierzy" Kaczyńskiego, lecz on sam, zwornik systemu PiS. Z Kaczyńskim Tusk prawdopodobnie by wygrał. Z Dudą lub Morawieckim – niekoniecznie. Tymczasem czarna legenda Kaczyńskiego budowana jest dziś już nie tylko przez TVN do spółki z „Wyborczą", jak to miało miejsce w latach 2005–2007. Teraz europejscy polityczni przeciwnicy PiS tworzą obraz „drugiego Putina" czy „drugiego Erdoğana". Uratować Europę przed takim złem – to by dopiero było coś! Zatem nowa bitwa Tuska musi być bitwą z Kaczyńskim, inne rozwiązania on sam uważałby za a) uwłaczające dla siebie, b) zbyt ryzykowne, c) omijające istotę problemu. Będzie więc tę bitwę toczył w warstwie symbolicznej, nawet jeśli w realu będzie to oznaczało kandydowanie przeciw Andrzejowi Dudzie. Czy tak trudno wyobrazić sobie sytuację, w której kandydat Tusk całą energię w kampanii poświęca przekazowi: „Dlaczego prawdziwy autor nieszczęść Polski nie wystąpi sam, tylko ukrywa się za swoją prezydencką marionetką?".

Na koniec spójrzmy jeszcze na inną wypowiedź Tuska z ostatniego wywiadu dla TVN24. „Władza, która podporządkuje sobie w całości sąd, prokuraturę, policję, a także niezależne media, jest władzą, która bardzo szybko przekształci demokrację w kleptokrację, czyli mówiąc po ludzku – rządy złodziei. To nie jest tylko polski problem. Władza, która nie ma ograniczeń i kontroluje sądy, na końcu jest władzą, która po prostu bezkarnie kradnie" – mówił Tusk. Wyciągając logiczny wniosek z tego, co się wydarzyło w ostatnim roku. Nie protesty młodych lekarzy, nauczycieli, rolników, rodziców niepełnosprawnych, nie „marsze wolności" i groźby „europejskich interwencji" zaszkodziły Zjednoczonej Prawicy najbardziej. Ale sprawa nagród dla ministrów, kwestia awansów w spółkach Skarbu Państwa, krótko mówiąc, wszystko to, co wiąże się z pieniędzmi. Przekaz: „PiS kradnie tak jak inni, a nawet zuchwalej" może być o wiele skuteczniejszy niż histeryczne awantury pod parlamentem czy siedzibą Sądu Najwyższego.

Tusk, przyglądając się polskiej polityce z oddalenia, widzi sporo albo ma lepszych doradców od Grzegorza Schetyny. Jeśli wróci do polskiej polityki, to na pewno nie na emeryturę. I tylko wtedy, kiedy będzie miał realną szansę stoczenia ostatniej bitwy na własnych warunkach i z dużym, wedle własnych szacunków, prawdopodobieństwem wygranej. „Kiedyś powiedział mi, że nie ma nic bardziej żałosnego niż czynny polityk bez żadnego znaczenia" – zapisała w swojej książce „Między nami" Małgorzata Tusk, żona byłego premiera.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9eadf03530

NOWY
SERIAL HISTORYCZNY

ZWYCIĘZCY

OD 30 LIPCA 2018

DZIESIĄTY ODCINEK SERII

Złamanie potęgi Zakonu.
Bitwa pod Grunwaldem.

ZWYCIEZCY.DORZECZY.PL | SUPERHISTORIA.PL/ZWYCIEZCY

PARTNER PROGRAMÓW HISTORYCZNYCH „ZWYCIĘZCY"

PGE Polska Grupa Energetyczna

eprasa.pl 9eadf03539

Polityka i medycyna

FOT. BRUNNER/NEWSPIX.PL

Kamila Baranowska

Czy problemy zdrowotne prezesa PiS będą mieć wpływ na politykę i zbliżające się wybory samorządowe?

Kiedy Jarosław Kaczyński trafił do szpitala, ruszyły wielkie spekulacje nie tylko na temat stanu jego zdrowia, ale także na temat tego, kto w tym czasie w PiS podejmuje kluczowe decyzje. Szybko okazało się, że sprawa kolana prezesa, choć poważna, nie wpłynęła znacząco na bieg polskiej polityki. Prezes był w stanie podejmować kluczowe decyzje, także przebywając w szpitalu – spotykał się z premierem Mateuszem Morawieckim i wicepremier Beatą Szydło, by mieć bieżące rozeznanie w sprawach rządowych, odbierał telefony, wydawał dyspozycje politykom i działaczom.

I choć Kaczyński wyszedł już ze szpitala, sprawa jego zdrowia nadal jest obecna w dyskusji politycznej. Do tego stopnia, że postanowił się do niej odnieść sam zainteresowany w niedawnym wywiadzie dla tygodnika „Sieci".

– Jak wszyscy wiedzą, mam problem z nogą, z kolanem, i to jedyne moje schorzenie – przyznał. – Miałem ostre zakażenie kolana, niebezpieczną bakterią, stąd błyskawiczne przyjęcie do szpitala. To się może zdarzyć każdemu i każdy by został przyjęty w takim trybie. Z tego wychodzę, mam przed sobą operację. Przechodzę dość ciężką kurację antybiotykową, co nie jest bez wpływu na samopoczucie. Wyniki krwi i wszystkie inne są dobre. Samopoczucie się poprawia. Wszystko idzie w dobrą stronę, pięć razy w tygodniu mam rehabilitację, mogę nawet chodzić już bez podparcia, ale jeszcze tego unikam.

Tę wersję potwierdzają nasi rozmówcy z PiS. Rzeczywiście Jarosław Kaczyński od jakiegoś już czasu cierpiał na problemy z kolanem. Lekarze tłumaczyli mu, że niezbędny jest zabieg chirurgiczny, jednak on ciągle odkładał to w czasie. W pewnym momencie zaczął nawet delikatnie utykać. Kiedy ból stał się już tak mocny, że zaczął uniemożliwiać normalne funkcjonowanie, operacji nie dało się już dłużej odkładać. Wtedy na drodze stanęła niegroźna, jak się początkowo wydawało, infekcja. Dopóki się jej nie wyleczy, operacja nie może się odbyć. Infekcja okazała się poważniejsza. Doszło prawdopodobnie do zakażenia bakterią gronkowca – takie informacje można usłyszeć w klubie PiS. Trzeba było wdrożyć antybiotyki i czekać.

UZIEMIENIE

Prezes PiS po powrocie ze szpitala powrócił do aktywności politycznej, choć leczenie utrudnia mu pracę. Przez długi czas po wyjściu ze szpitala nie mógł w ogóle nigdzie podróżować. – Musiał mieć cały czas tę nogę na podwyższeniu, więc jazda samochodem osobowym nie była możliwa. W grę wchodziła tylko karetka, więc wiadomo, że wszelkie wyjazdy trzeba było odwołać – mówi nam nasz rozmówca z PiS.

Sprawa była o tyle poważna, że prezes musiał zrezygnować z wyjazdów do Krakowa na grób brata śp. Lecha Kaczyńskiego, gdzie jeździ osiemnastego każdego miesiąca (tego dnia w 2010 r. odbył się pogrzeb pary prezydenckiej). Po raz pierwszy od powrotu ze szpitala udał się na Wawel w tym miesiącu, co w partii

eprasa.pl 9eadf03530

zostało odebrane jako oznaka poprawy samopoczucia prezesa. To był w ogóle jego pierwszy wyjazd od kilku miesięcy, dlatego został przez wszystkich zauważony.

Kolano prezesa komplikuje nieco zaplanowany przez PiS objazd po kraju przed wyborami samorządowymi. Prezes miał uczestniczyć w spotkaniach z wyborcami. Dzisiaj już wiadomo, że nie będzie to możliwe w skali, o jakiej pierwotnie myślano. Kaczyński od dawna na zamkniętych spotkaniach powtarza swoim posłom, że muszą więcej czasu i energii poświęcać na bezpośrednie rozmowy z wyborcami, by tłumaczyć im działania rządu. Chodzi zwłaszcza o te najbardziej kontrowersyjne, jak choćby reforma sądownictwa. Tylko w ten sposób, jak uważa Kaczyński, można ominąć narrację nieprzychylnych PiS mediów. – Objazd po kraju będzie kontynuowany przez innych prominentnych polityków Prawa i Sprawiedliwości, myślę, że nieobecność prezesa nie wpłynie szczególnie mocno na kampanię – uspokaja jeden z posłów.

Co ciekawe, w większości spotkań – i dotyczy to nie tylko tych związanych z wyborami – w których Kaczyński nie mógł sam uczestniczyć, brał udział Mateusz Morawiecki. Zdaniem polityków PiS nie ma w tym przypadku. To kolejny sygnał dla partii, jak wielkim zaufaniem darzy obecnego premiera Kaczyński i jak duże nadzieje w nim pokłada. To Morawiecki uczestniczył niedawno w odsłonięciu pomnika Lecha Kaczyńskiego w Szczecinie, to on pojechał na uroczystości związane z pielgrzymką Rodzin Radia Maryja na Jasną Górę.

BRUDZIŃSKI POD OSTRZAŁEM

Jeśli chodzi o samą partię, to pobyt prezesa w szpitalu i wielka debata nad jego stanem zdrowia uruchomiły falę intryg i plotek. Frakcje zaczęły rozpuszczać informacje o tym, kto mógłby skorzystać na przejściu prezesa na emeryturę, a kto korzysta już teraz na jego chorobie.

W ten sposób próbowano uderzyć w Joachima Brudzińskiego, który pod nieobecność prezesa pilnował spraw partyjnych. Zarzucano mu, że za bardzo się wczuł w rolę, i szeptano o tym tak, by dotarło także do ucha prezesa. On sam połapał się jednak na tyle szybko, by zareagować.

– Mogę powiedzieć tylko tyle: Jarosław Kaczyński rzeczywiście ma problem z kolanem. To kolano go boli, pracują nad tym kolanem wybitni ortopedzi, ale na polityczną emeryturę się nie wybiera i ci wszyscy, łącznie z tymi wszystkimi delfinami czy tymi, którym być może roi się w głowie coś na kształt zamiany premiera Kaczyńskiego albo zastąpienia go na stanowisku szefa partii, muszą uzbroić się w bardzo długą cierpliwość – oznajmił publicznie Brudziński jeszcze podczas pobytu prezesa w szpitalu.

Brudziński mówił o tym nieprzypadkowo, bo i dziś można usłyszeć w PiS, że podtrzymywanie tematu zdrowia Kaczyńskiego w debacie publicznej ma służyć osłabieniu jego przywództwa. – Jest grupa osób, która chętnie wysłałaby prezesa na wcześniejszą emeryturę, myśląc, że to pozwoliłoby na jakieś nowe przetasowanie w polityce, może nowe otwarcie, przeobrażenie PiS w partię bardziej zjadliwą dla centrowych wyborców, taką bez bagażu doświadczeń, jaki niesie ze sobą postać prezesa – tłumaczy nasz rozmówca.

Dlatego politycy PiS na pytania o zdrowie prezesa reagują ostrożnością i mówią o tym niechętnie. Nikt nie chce być zaliczony do grona tych, którzy wierzą w PiS bez prezesa. Inna sprawa, że naprawdę mało kto w to wierzy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

POBYTY Z ZABIEGAMI
w Ciechocinku „Pod Tężniami"

Leczymy m.in.:
- bóle kręgosłupa i dyskopatie
- bóle mięśni i stawów oraz zmiany przeciążeniowe
- stany po urazach i operacjach ortopedycznych
- schorzenie zwane ostrogą piętową
- łokieć tenisisty i golfisty
- nietrzymanie moczu
- stany po udarach mózgu

posiłki bez limitu - bufet
25 zabiegów na 7 dni pobytu
dwa badania lekarskie oraz badanie biomechaniczne postawy lub stóp
wstęp na basen oraz do zespołu saun do 90 min. dziennie
seans w Komnacie Solnej do 45 min. co drugi dzień
wstęp na wszystkie imprezy kulturalno-rozrywkowe
Tygodniowe lub dłuższe pobyty w terminie 29.07 - 30.09.2018 r.
W ofercie również POBYTY WYPOCZYNKOWE

KLINIKA UZDROWISKOWA „Pod Tężniami" im. Jana Pawła II

Klinika Uzdrowiskowa
„Pod Tężniami" im. Jana Pawła II
ul. Warzelniana 7, 87-720 Ciechocinek
www.podtezniami.pl

tel. 54 416 70 00

eprasa.pl 9eadf03530

Łukasz Warzecha

Solidarność nie jest największym związkiem zawodowym w Polsce, ale ma największe polityczne wpływy. Dlaczego?

Związek Dudy

Niespełna 600 tys. członków Solidarności to mniej niż ma OPZZ. Jednak to jej przewodniczący pokazuje się na najważniejszych uroczystościach państwowych obok prezydenta czy premiera, tak jakby polska konstytucja przewidywała specjalne stanowisko dla szefa tego akurat związku zawodowego. A przecież Piotr Duda kieruje po prostu organizacją pracobiorców, jedną z wielu.

Skąd ta specjalna pozycja? Jej źródła są dwa. Obecny związek zawodowy nosi tę samą nazwę co wielki ruch społeczny, który w 1980 r. na moment zmusił rządzących komunistów do defensywy. Ba, formalnie rzecz biorąc, jest jego bezpośrednim kontynuatorem. I na legendzie Solidarności z lat 80. opiera swoje przekonanie o specjalnych prawach i pozycji. To uzurpacja, ponieważ obecna Solidarność z dawnym wielkim ruchem protestu nie ma już niemal nic wspólnego. Nie jest ruchem masowym, uzwiązkowienie w Polsce systematycznie spada. W 2000 r. układami zbiorowymi było objętych w naszym kraju 25 proc. pracowników, w 2016 r. – jedynie 15 proc. Nic dziwnego, że jej lider Piotr Duda postuluje, żeby zawarcie takiego układu było obowiązkowe w każdej firmie, gdzie istnieje związek zawodowy. To potężnie wzmocniłoby wpływy związkowców.

ŚWIETNIE WKOMPONOWANE

Solidarność ma swoją socjalną agendę i stara się ją realizować. To druga przyczyna jej wyjątkowej pozycji. Historyczne uwarunkowania tak się ułożyły, że na zagmatwanej polskiej scenie politycznej Solidarność tradycyjnie stoi po stronie tego, co jest nazywane umownie prawicą, a co w gruncie rzeczy jest patriotyczną socjaldemokracją, którą obecnie najpełniej reprezentuje PiS. To pasuje zarówno Jarosławowi Kaczyńskiemu, jak i Mateuszowi Morawieckiemu, Andrzejowi Dudzie i Piotrowi Dudzie. Solidarność świetnie się wkomponowuje w całkowicie już dzisiaj sztuczny i fałszywy schemat walki „patriotów" z „postkomuną", który narzuca swoim zwolennikom partia rządząca. Przy tym nie ma żadnego konfliktu w widzeniu gospodarki przez obecną władzę i Solidarność. Rząd Morawieckiego jest niemal tak samo antyliberalny jak związek zawodowy, którego wparciem (warunkowym) się cieszy. Między władzą a Solidarnością istnieje zatem daleko idąca symbioza – choć bardzo szkodliwa dla państwa. Po pierwsze – utrwalająca dyskurs, fałszujący rzeczywistość i hamujący autentyczne zmiany

FOT. PAWEŁ WISNIEWSKI/EAST NEWS

eprasa.pl 9eadf03530

w państwie; po drugie – popychająca Polskę w stronę coraz bardziej lewicowych rozwiązań gospodarczych.

Owszem, Solidarność jest w swoich socjalnych postulatach bardziej radykalna niż PiS. Związkowcy działają bowiem tak jak organizacje zajmujące się lobbingiem na rzecz zwierząt, antyfaszyzmu czy ekologii: wciąż stawiają sobie dalej sięgające cele, nieustannie dowodząc swojej niezbędności. Gdyby bowiem nie stawiali wciąż nowych żądań, pracownicy zasilający swoimi składkami związek mogliby uznać, że nie ma to już sensu, że są zadowoleni i nie potrzebują fundować zawodowym działaczom pensji, biur, samochodów.

Dlatego też Solidarność nie uznaje wprowadzonego przez PiS zakazu niedzielnego handlu za sukces, ale rozwiązanie ledwie zadowalające. Związek chciał całkowitego i natychmiastowego zakazu, a nie rozłożonego na trzy lata. Jego przedstawiciele nigdy nie wyjaśnili, dlaczego za uprzywilejowaną uznali jedynie część branży handlowej. Odpowiedź jest prosta: w topniejącej pod względem liczebności Solidarności Sekcja Pracowników Handlu, kierowana przez Alfreda Bujarę, jest najliczniejsza, więc najbardziej liczy się przy wyborach władz lub po prostu jako elektorat. Krążą bowiem pogłoski, że Piotr Duda szykuje się do startu do Parlamentu Europejskiego z listy PiS. Zapewne także całkowitym przypadkiem pierwszy rok obowiązywania zakazu handlu jest zarazem rokiem wyborów władz Solidarności.

Gdy zakaz został wprowadzony, okazało się, że zawiera luki. Jedną z nich wykorzystała sieć Żabka, uznając, że jej sklepy, dzięki umowom podpisanym m.in. z Pocztą Polską, stały się placówkami pocztowymi, a więc mają prawo normalnie pracować w niehandlowe niedziele. To bardzo oburzyło związkowców, podobnie jak późne godziny zamykania sklepów wielkopowierzchniowych w soboty i wczesne godziny, w jakich mają się stawiać pracownicy tychże w poniedziałek.

A MIAŁO BYĆ TAK PIĘKNIE

Solidarność stawia więc nowe żądania. Chciałaby, żeby ustawa wprowadziła nowatorskie pojęcie „doby pracowniczej", która miałaby trwać od północy w sobotę do 5 rano w poniedziałek. W ten sposób zakaz handlu nie dotyczyłby już tylko niedziel, ale też poniedziałków. Żąda także, żeby wyraźnie zapisać, że właściciel sklepu, który chce handlować w niedzielę, nie może zatrudnić własnej rodziny. Rząd także zapowiada „uszczelnianie" ustawy, choć nie wiadomo, czy zgodnie z postulatami Solidarności.

Nietrudno było również przewidzieć, że w Polsce objawią się te same skutki zakazu – wciąż przecież tylko częściowego – które zmusiły węgierski rząd do wycofania się z tej regulacji. I faktycznie, tak się już dzieje. Na Węgrzech małe sklepy, którym zakaz miał pomóc, zaczęły tonąć, ponieważ klienci woleli intensywne promocje, oferowane przez supermarkety na ogół w soboty. Zakupy robione w niedziele nie rekompensowały strat ponoszonych przez mniejsze sklepy w tygodniu.

Według danych Euromonitora podobne zjawisko pojawia się w Polsce: małe, rodzinne sklepy mogą w ciągu roku zanotować spadek obrotów o ponad 6 proc., co oznacza zamknięcie ponad dwóch tysięcy z nich.

Bardzo poważne problemy mają centra handlowe. One co prawda mogą w niedzielę pozostawać otwarte, gdy idzie o gastronomię czy rozrywkę, ale liczba klientów jest wtedy drastycznie niska w porównaniu z niedzielami handlowymi. W połączeniu z nałożonym przez rząd podatkiem od nieruchomości komercyjnych, centra handlowe notują duży spadek obrotów, a to oczywiście odbija się na najemcach. Ci zaś to często drobni przedsiębiorcy, pracujący w ramach franczyzy pod znanymi markami, albo – w przypadku kawiarni czy restauracji – polskie sieci.

Wprowadzając zakaz, rząd twierdził, że po pewnym czasie oceni, jak on się sprawdza. Trudno jednak uwierzyć, żeby PiS mógł się z ustawy wycofać, nawet pod naporem obiektywnie niekorzystnych dla drobnego handlu danych. Ryzykowałby konflikt z ważną dla siebie jako partner Solidarnością. I to mimo że istnieją inne, lepsze i elastyczniejsze rozwiązania – np. obowiązkowe wyższe stawki za pracę w niedzielę albo gwarancja dwóch wolnych niedziel w miesiącu. Tyle że Solidarność nie była nimi nigdy zainteresowana. Parła wyłącznie ku wariantowi najbardziej inwazyjnemu i antyliberalnemu.

CO NAS CZEKA?

To jednak, niestety, nie jest ostatnie słowo związku, kierowanego przez Piotra Dudę. Od lat jednym z postulatów pozostaje obciążenie składkami ZUS wszystkich rodzajów umów cywilnoprawnych. W tej chwili jedynym rodzajem umowy całkowicie wolnej do tego najbardziej uciążliwego podatku jest umowa o dzieło (przeniesienie praw autorskich). Rząd PiS rozważał już w 2016 r. ozusowanie takich umów, ale zrezygnował z tego, słusznie stwierdziwszy, że specyfika pracy wykonywanej na ich podstawie nie pozwala miarodajnie wyznaczyć wysokości składki. Solidarność nie ukrywała, że chodzi jedynie o to, aby zmusić pracodawców do podpisywania umów o pracę. Związkowcy kompletnie nie brali pod uwagę, że są zawody, w których takie umowy się nie sprawdzą i po prostu nie mogą być zawarte.

Gdy Andrzej Duda zaprezentował pierwotną listę 15 punktów, z których miał powstać ostateczny zestaw pytań referendalnych, jedno z nich brzmiało: „Czy jest Pani/Pan za konstytucyjną ochroną pracy, jako fundamentu społecznej gospodarki rynkowej?". To pytanie – skrajnie nieprecyzyjne i całkowicie zbędne – było ukłonem Dudy prezydenta w stronę Dudy przewodniczącego. Niestety, pozostało we wniosku głowy państwa, skierowanym do Senatu, w dodatku z dodatkiem kwestii wieku emerytalnego i ostatecznie brzmiało: „Czy jest Pani/Pan za konstytucyjnym zagwarantowaniem szczególnej ochrony: pracy jako fundamentu społecznej gospodarki rynkowej oraz prawa do emerytury, nabywanego w ustawowo określonym wieku (60 lat dla kobiet i 65 lat dla mężczyzn)?".

Rok temu, z okazji rocznicy Porozumień Sierpniowych z 1980 r., Piotr Duda napisał w specjalnym liście: „Dla Solidarności postulaty sierpniowe to nie straszak na komunistyczną władzę czy spis pobożnych życzeń, aktualnych tylko w latach 80. Dla nas to testament do realizacji, pozostawiony przez tych, których dzisiaj wspominamy – przede wszystkim ofiary naszej drogi do wolności. […] Wielu próbuje wykazać dzisiaj, że była jakaś pierwsza i druga Solidarność. A ja pytam, kiedy skończyła się pierwsza, a zaczęła druga? I odpowiadam – nigdy się nie skończyła".

Wbrew temu, co twierdzi Duda, koniec pierwszej Solidarności można wyznaczyć, choć nie byłoby może zgody co do konkretnej daty. Najdalszą z nich byłby zapewne rok 2001, czyli wybory, w których AWS poniosła klęskę. Od tego momentu Solidarność ostatecznie przestała być podstawą jakiegokolwiek ruchu społecznego – stała się najzwyklejszym związkiem zawodowym, obsadzonym zawodowymi działaczami, żyjącymi wygodnie za pieniądze ze związkowych składek. I tak powinna być traktowana.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9eadf03530

Rafał A. Ziemkiewicz

Jak być pięknym, silnym i bogatym, nie będąc

Nie wystarczy

Polityka nie polega li tylko na głośnym deklarowaniu, czego się chce, i głośnym protestowaniu przeciwko temu, czego się nie chce". „W polityce nie ma pojęć słuszności i braku słuszności, jest tylko siła i brak siły" – pisał przed ponad stu laty Roman Dmowski. I nic. Jak grochem o ścianę. Krew w piach. Sto lat później nasze pojęcie o polityce nie wydaje się ani odrobinę bardziej dojrzałe niż w tamtych czasach.

Ręce opadają. Przez kilka tygodni przymierzałem się do polemiki z Piotrem Semką, („Do Rzeczy" 26/228 z 25 czerwca 2018 r.) który moje uwagi na temat uwarunkowań polityki kraju leżącego pomiędzy Rosją a Niemcami odrzucił z pryncypialnym stwierdzeniem, że nie może być tak, żeby wyznaczać Polsce rolę wasala albo Rosji, albo Niemiec. Poprzymierzałem się i w końcu odpuszczam, stwierdziwszy, że nie jestem w stanie z jego rozumowaniem polemizować. Bo jak? „Nie może być tak" to ulubiony argument naszych romantyków i, powiedzmy sobie szczerze, argument, na który nie ma odpowiedzi – no bo jak „nie może być tak", jak „tak" jest? Już nie chodzi mi o ten konkretny spór, to zasada. My się nie godzimy i nigdy nie zgodzimy, żeby było tak, jak nie może być!

A na co się nie godzimy? Na ani trochę mniej, niż nam się słusznie należy. Polska zasługuje na to, żeby być suwerennym graczem w Europie Środkowej, żeby nas szanowano i liczono się z nami. Niech ktoś powie, czy to się nam nie należy? Ja tak nie powiem, bo w ogóle posługiwanie się taką kategorią, że coś się komuś należy, uważam za przejaw zdziecinnienia. Czy bezrobotnemu nie należy się praca? A pracującemu – godziwa pensja, taka, żeby nie zarzynając się harówką ponad siły, mógł utrzymać rodzinę? Czy dziecku prostytutki i alkoholika nie należą się dobrzy, kochający rodzice? Inwalidzie zdrowie, zmarłemu młodo – życie? No, ale jeśli jednak nie dostali tego, co im się należało, to co?

To „nie może być tak". Tak jak „nie może być tak, żeby Polska była wasalem". Ale to, czy Polska będzie, czy nie będzie wasalem, zależy od tego – uwaga, uwaga, prawdy objawione ogłaszam! – zależy od tego, czy zdobędzie siły i środki, czy potrafi do suwerenności dojść i czy ma dość rozumu, by wiedzieć, jak się z wasalności wyzwolić. A nie od tego, czy my się na to godzimy, bo jak dziecko się nie godzi, to dostaje, za przeproszeniem, po d… i się godzi, i najwyżej sobie może popłakać. A my przypominamy dzieci także i w tym, że dzieciom łzy szybko przysychają, dzieci łatwo zapominają i następnym razem znowu wydaje im się, że jak będą tupać i się nie godzić, to to, na co się nie godzą, nie nastąpi.

Ile razy, na litość boską, można powtarzać oczywistości – i wszystko to jak grochem o ścianę, krew w piach…

@

Sierpień, szczególna dla Polaków pora, pełna rocznic i jazgotliwego ich mitologizowania, pozwalającego nie przyjmować do wiadomości oczywistych wniosków, które z nich płyną. Powstanie Warszawskie i wymarsz Pierwszej Kadrowej, Cud nad Wisłą i Sierpień, pakt Ribbentrop-Mołotow i polsko-brytyjski „traktat sojuszniczy", który ostatecznie „zagwarantował" nam ochronę przed agresją Hitlera i pomoc potężnych sojuszników… Z jakiegoś powodu przypomniało mi to, że obiecałem Państwu, i dotąd nie dotrzymałem słowa, przybliżyć książkę Piotra Stankiewicza „21 polskich grzechów głównych". Bardzo w tym miesiącu à propos. Polecam, choć mam do niej wiele zastrzeżeń – wymienię jedno, generalne, że tytułowych grzechów jest za dużo, Stankiewicz chciał być zbyt szczegółowy i w rezultacie często dzieli włos na czworo, opisując po kilkakroć jako sprawy osobne różne przejawy tego samego w istocie zgubnego nawyku czy przyzwyczajenia.

eprasa.pl 9eadf03530

FOT. FOTOLIA, MONTAŻ: IZKREDEK

chcieć

Ale moje zastrzeżenia wynikają może z tego, że sam, od czasów „Polactwa" (a to już niebawem 15 lat minie od pierwszego wydania) żywotnie interesuję się tematem polskich grzechów narodowych.

Ważna uwaga – narodowych grzechów, słusznie to Stankiewicz ujmuje, a nie „wad" czy „przywar". Nie cierpię pojęcia „charakter narodowy", bo charakter, jak wiedzą każdy ojciec i matka, przynosi się na świat i niby, oczywiście, można nad nim pracować, ale jest on czymś obiektywnie danym, uwarunkowaniem. Zachowania zbiorowości takiej jak naród są zaś wynikiem konkretnych procesów oraz konkretnych spraw i analizowanie ich nie ma nic wspólnego ze stwierdzeniem „jesteście leniwi" albo „jesteście głupi", albo jeszcze inni.

Szczególna wartość książki Stankiewicza, dla mnie przynajmniej, polega na tym, że napisana została przez człowieka, który wyraźnie nie wychyla nosa z jednej tylko części Polski – nie czyta prawicowych tygodników (a w każdym razie nie odwołuje się do nich), cytuje tylko „Wyborczą", „Politykę", „Krytykę Polityczną", w przypisach pojawiają się niemal wyłącznie nazwiska w rodzaju Hugo-Bader, Kublik czy Szczerek – i mimo to dokonane przez niego na takim materiale generalizacje doskonale pasują do podzielonej całości. Jest tylko jeden wyjątek – grzech, przez Stankiewicza nazwany autorasizmem, w debacie publicznej określany niekiedy za Rogerem Scrutonem oikofobią albo za Orwellem nacjonalizmem odwróconym. Obsesyjna nienawiść do tradycji, z której się wyszło, jest typową cechą postkolonialnych, kompradorskich elit. Tubylcy cierpią na inną, symetryczną względem kreolskiej przypadłość: skłonność do idealizowania swojskości.

Słowem, okazuje się, że coś nas jednak z Ziemowitem Szczerkiem czy Jackiem Hugo-Baderem łączy poza pochodzeniem i językiem, który zresztą tamci skłonni są koślawić na politpoprawną modłę. Nawet nienawidząc się, włazimy na te same grabie i nabijamy sobie guzy w ten sam, tak samo głupi sposób.

@

Do najcelniejszych partii wspomnianej wyżej książki należą uwagi na temat optymizmu magicznego i – moim zdaniem będącego w istocie tym samym grzechem – chronicznego braku planu B. Czymkolwiek się Polacy zajmują, czynią to z założeniem, że wszystko pójdzie optymalnie. Bez jakiejkolwiek troski, by dokonać umysłowej pracy, uważanej – w krajach, które właśnie dlatego osiągnęły sukces – za coś elementarnego. Co zrobimy w takim wypadku, a co w takim? Jeśli będziemy w stanie osiągnąć tylko połowę naszych zamiarów – to która połowa jest ważniejsza? A jeśli tylko 30 proc.? A jeśli zrobi się tak źle, że będą nam ucinać kończynę, to lepiej będzie wystawić do ucięcia rękę czy nogę?

Rozumowanie w kategoriach słuszności – tego, co się należy, a co „nie może być" – jest z takim planowaniem nie do pogodzenia. Dlatego oprócz braku planu B mamy także przypadłość przeskakiwania ze skrajności w skrajność. W naszym myśleniu istnieje tylko 100 proc. i zero. Jeśli nie możemy być w 100 proc. suwerenni i robić wyłącznie tego, co uznamy za słuszne – to znaczy, że mamy być czyimiś wasalami? Czyimiś pachołkami? No i, jak to pisał Hemar, „już krew oczy zalewa, już dłoń rycerska na kordzie". I nieśmiertelne „nie może tak być!". Musi być tak, jak chcemy, jak to sobie zaplanowaliśmy – nic mniej!

Zwracałem już kiedyś uwagę, że jest jeden wspólny mianownik, wspólny wątek, obecny w wypowiedziach praktycznie wszystkich wielkich Polaków, tak różnych jak Dmowski i Piłsudski, jak Mochnacki i Brzozowski, Żeromski i Gombrowicz, et cetera, et cetera – potępienie wiecznej polskiej niedojrzałości, „chciejstwa", zdziecinnienia. Bodaj Szczepan Twardoch nazwał Polskę aksolotlem narodów. Wszyscy oczywiście wiedzą, co to takiego ten aksolotl, więc przypomnę tylko, że taki dziw natury, rodzaj meksykańskiej larwy (niektórzy biolodzy twierdzą, że odrębny gatunek), która nigdy nie staje się formą dojrzałą.

Bo żeby wyrosnąć z dzieciństwa, trzeba za coś odpowiadać. Tym się różni dojrzałość od niedojrzałości – odpowiedzialnością. Odpowiedzialność oznacza zdolność przewidywania, kalkulowania, racjonalność, przyjmowanie do wiadomości faktów, przełykanie gorzkich pigułek, te wszystkie cnoty, których nam brakuje. Jak ktoś je pięknie podsumował: siłę, by zmieniać to, co się da zmienić, cierpliwość, by znosić to, czego się zmienić nie da, i mądrość, by jedno od drugiego odróżnić.

Nieszczęściem Polaków i przyczyną ich grzesznych skłonności jest to, że nie mając swojego państwa, mogli się nauczyć tylko tego, jak o nie walczyć – ale już nie tego, jak za nie odpowiadać. Dlatego miotamy się w paroksyzmach i jeśli nawet szczęście nam dopisze i trafimy na optymalne okoliczności, jak w 1918 r., to po krótkim czasie fundujemy sobie sanację; a jeśli nam nie dopisze, jak w 1939 r., to tracimy wszystko za jednym zamachem. I uciekamy przed dojrzałością w bohaterską śmierć, w mit, kult i bajki.

Sierpień idzie. Nieodparcie przypomina mi się scenka opisana przez kogoś kilka lat temu – staruszek powstaniec przygląda się ze smutnym uśmiechem młodzieży rekonstruującej powstańczy oddział, w schludnych panterkach, hełmach, z pistoletami, karabinami, granatami u pasa, aż w końcu wzdycha i mówi do nich: „Chłopcy, ale tyle broni, co każdy z was ma na sobie sam jeden, to myśmy mieli na cały pluton".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9eadf03530

FOT. FEDRZEJ NOWICKI/AGENCJA GAZETA

Marcin Makowski

Organizującym antyrządowe protesty potrzebni są męczennicy, którzy porwą lud na barykady. A jeśli ich nie ma, to trzeba ich stworzyć

Przepis na

Przynajmniej od lipca ubiegłego roku, gdy protesty pod hasłem „3 x WETO" zgromadziły na ulicach polskich miast tysiące osób, potwierdza się jedna reguła – im radykalniejsze stają się wiecowania, im ostrzejsze hasła i postulaty, tym mniejszą cieszą się frekwencją oraz poparciem społecznym. Być może dlatego dalszy bieg wypadków wszędzie wygląda podobnie: frustracja i fizyczna konfrontacja z „reżimem PiS-owskim", za którego emanację uznaje się oddelegowanych przed parlament policjantów. Każda rewolucja, aby trwać, potrzebuje jednak męczenników. Ofiar, które weźmie się na sztandary, aby w aurze ostatnich sprawiedliwych wstrząsnąć sumieniami otumanionego „500+" i zajętego grillowaniem społeczeństwa.

„Trzeba organizować podziemie: infrastrukturę, wydawnictwa, uniwersytety (nauczanie początkowe też), trzeba zorganizować system adwokatów, którzy będą bezpłatnie wspierać tych, którzy pójdą siedzieć, i system mieszkań dla tych, którzy się ukrywają; trzeba nauczyć się z powrotem robić i rozrzucać ulotki" – apeluje w mediach społecznościowych prof. Magdalena Środa, kreśląc scenariusz, w którym ewentualne antyrządowe powstanie wydaje się konsekwencją funkcjonowania nowego „państwa podziemnego". A to w końcu musi wybuchnąć, skoro nagłówki opozycyjnych mediów krzyczą: „Winiarski i Adamczyk zostali pobici już po zatrzymaniu. Winiarski był wtedy skuty kajdankami". Przecież jak można tolerować władzę, bijącą ideowych obrońców wolności? A że ci szarpią się z policją, próbują forsować barierki, mażą po elewacji Sejmu? Cóż, nie z takich historii da się po fakcie stworzyć heroiczny epos.

„CIĘŻKO POTURBOWANY"

Weźmy przykład wspomnianego Dawida Winiarskiego, który w pewnych kręgach został symbolem „ciężko poturbowanego" przez władzę, szczególnie za sprawą zdjęcia zrobionego przez reporterów opozycyjnego portalu OKO.press. Widzimy na nim młodego chłopaka z grymasem bólu na twarzy, w kołnierzu ortopedycznym i z temblakiem na ręce. „Wiele wskazuje na to, że Dawid został pobity już po zatrzymaniu w sejmowym Biurze Przepustek" – pisze w dramatycznym reportażu Piotr Pacewicz. „Skromny, wspaniały chłopak, na filmach widać było, jakby policja specjalnie go namierzała" – dodaje. I tak tworzy się legendę, która błyskawicznie zaczyna żyć własnym życiem. Dawid miał bowiem zostać nie tylko „brutalnie pobity" za stanie przed Sejmem, nie tylko „celowo wyciągnięty z tłumu", lecz także – jak twierdzi posłanka Joanna Scheuring-Wielgus – „wyparować". Otóż członkini koła Społeczno-Liberalni na prośbę matki chłopaka wraz z reporterami OKO.press jeździła od szpitala do szpitala, poszukując „zaginionego". „Bałem się, czy nie został gdzieś pobity w suce czy na komisariacie, może nawet od razu po zatrzymaniu […]. Trochę jak w Rosji, człowiek przepada i nikt nic nie wie" – opowiadał po fakcie towarzyszący jej dziennikarz, Robert Kowalski.

Wspomniana wersja wydarzeń, w tłumaczeniu na angielski, hiszpański i francuski, wraz ze zdjęciami podawana była masowo w mediach społecznościowych. „To jest Dawid. Znaleziony po kilku godzinach, pobity i przetrzymany w szpitalu bez powiadomienia kogokolwiek z rodziny. To czwarty szpital, w którym była posłanka Scheuring-Wielgus. […] W szpitalu Dawida dalej pilnowali policjanci, twierdząc, że jest zatrzymany i czekając, by znowu przewieźć go na komisariat.

Wczoraj polska policja porwała i pobiła Dawida. Porwała człowieka z ulicy, pobiła go i ukrywała przez wiele godzin" – czytamy.

Emocje rosły z godziny na godzinę. „Teraz to ostatni ratunek! Potem może polać się krew" – ostrzega na swoim Facebooku pisarka Maria Nurowska, wzywająca Polaków do strajku powszechnego po zajściach przed parlamentem.

„CUDOWNIE ZMARTWYCHWSTAŁY"

Jest jednak i druga wersja, mniej heroiczna. „Dawid W. po usłyszeniu zarzutów naruszenia nietykalności cielesnej funkcjonariusza publicznego opuścił komisariat Policji w takim samym stanie, jak został tam wcześniej dowieziony. Bez gorsetu i bandaży, za to ze swobodnym dostępem do adwokata" – napisała na Twitterze policja, zamieszczając wideo z roześmianym chłopakiem, wychodzącym z budynku. Chwilę później, już bez kołnierza ortopedycznego i opatrunków, udzielał wywiadu telewizji TVN.

„Co to w ogóle za dyktatura? Nie pałują, nie zamykają, nie polewają armatkami wodnymi, nie rozpylają gazu. Jedyne ofiary to śp. zmartwychwstały Diduszko, Szumełda z ręką zabandażowaną razem z zegarkiem, Hartwig podrapana przez koleżankę i cudownie uzdrowiony Winiarski" – ironizuje pod postem policji jeden z internautów.

„Nie ma żadnych złamań, nie stwierdzono wstrząśnienia mózgu. Stan Da-

eprasa.pl 9eadf03530

męczennika

wida jest niezły, aczkolwiek jest bardzo poobijany" – mówi z kolei Anna Rykała-Wieczorek z warszawskiego Strajku Kobiet, która odwiedziła go w szpitalu.

Sam zainteresowany dodawał: „Czuję się w miarę, jest w miarę w porządku. […] mam kłujący ból pod żebrem, robili EKG, wyszło niby prawidłowo".

Czy faktycznie służby nie informowały, w jakim szpitalu się znajduje, albo utrudniały do niego dostęp? Oddajmy głos prawnikowi Winiarskiego, mec. Jarosławowi Kaczyńskiemu: – Nie można powiedzieć, żeby tutaj było jakieś wielkie zawinienie policji. Gdy tylko poprosiłem o kontakt i możliwość pojechania do szpitala, do pana Winiarskiego, to pan policjant, który sam tego nie wiedział, uzyskał informację o jego miejscu pobytu – stwierdził na łamach portalu Gazeta.pl.

– Po przeanalizowaniu całej sprawy okazało się, że policja postępowała zgodnie z przepisami, że na tym polega stosowanie środków przymusu bezpośredniego – skomentował z kolei na antenie Radia TOK FM rzecznik praw obywatelskich Adam Bodnar.

Trudno tych panów posądzać o specjalną sympatię wobec władzy. A jednak ich tłumaczeń nie słyszy praktycznie nikt, natomiast dramatyczny reportaż OKO.press o „brutalnym poturbowaniu Dawida" udostępniono w sieci ponad 18 tys. razy. „To zdjęcie Dawida obiega świat, z informacją o jego hospitalizacji i udziale w obronie sądów" – dodaje na Facebooku Wojciech Fusek, dyrektor w grupie Ringer Axel Springer.

DRUGA POLITKOWSKA

Właśnie w takich warunkach część najradykalniejszych odłamów polityczno-medialnej opozycji kreuje atmosferę „castingu na męczennika".

„Niech mnie skują, to dla córki" – rzuca z okładki „Gazety Wyborczej" pisarka, Klementyna Suchanow, jedna z liderek antyrządowych protestów. Do tej pory bardziej niż biografią Gombrowicza zasłynęła kładzeniem się na chodniku, rzucaniem jajkami w limuzyny rządowe i robieniem antyrządowych graffiti. „Jak to jest – ulegać na co dzień przemocy władzy?" – pyta ją w wywiadzie dziennikarka „Wyborczej", a następnie ciągnie wątek: „Nie boisz się? To, co mówisz, brzmi niepokojąco podobnie do tego, co mówiła i pisała słynna dziennikarka śledcza Anna Politkowska. Za odwagę i dociekliwość zapłaciła najwyższą cenę". I choć sama Suchanow odpowiada, że irytuje ją fakt stosowania przez policję „podwójnych standardów" i łagodniejszego traktowania jej aktów obywatelskiego nieposłuszeństwa niż w przypadku robiących to samo kolegów, przekaz jest jasny. Dzisiaj Dawid i Klementyna, jutro ty możesz „zniknąć", „wyparować", „zapłacić najwyższą cenę" – jak w putinowskiej Rosji, w której na porządku dziennym funkcjonują morderstwa polityczne.

Paradoksalnie, jak pokazują badania opinii publicznej oraz analiza statystyczna mediów społecznościowych, tam gdzie pojawia się podobna retoryka – a prym w tym wiodą Obywatele RP, KOD, Strajk Kobiet czy Lech Wałęsa – błyskawicznie spada poparcie dla protestów.

Dostrzegają to nawet publicyści „Krytyki Politycznej" czy „Tygodnika Powszechnego", którzy w ulicznych protestach oraz siłowej konfrontacji z policją widzą drogę donikąd, która odsuwa opozycję od uprawiania polityki i odzyskania władzy na gruncie demokratycznych wyborów. Nie wszyscy podzielają jednak trzeźwe intuicje Pawła Bravo czy Dawida Krawczyka.

„Bez echa i bez zauważenia w Europie i na świecie nie pozostaną obywatelskie protesty pod Sejmem. Nie bardzo liczne, za to dziejące się na coraz większych emocjach. Są zatrzymani, są poszkodowani przez policję. Protesty dzieją się w scenerii, która nieustająco budzi na świecie zdumienie: parlamentu otoczonego żelaznym płotem i kordonami policji. […] Dzięki nim Komisja Europejska rozpoczęła procedurę zmierzającą do zaskarżenia do Trybunału Sprawiedliwości ustaw sądowych" – zauważa z zadowoleniem Ewa Siedlecka w swoim felietonie w „Polityce".

W ślad za jej słowami wypowiada się „Komitet Antytorturowy" Komisji Europejskiej, który potępia „bicie i kopanie zatrzymanych w trakcie przesłuchania", do którego rzekomo ma dochodzić w Polsce.

„Sądy UE mają prawo oceniać ryzyko dla rzetelnego procesu, biorąc pod uwagę stan praworządności w Polsce" – stwierdza natomiast 25 lipca Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej w sprawie ekstradycji z Irlandii oskarżonego o handel narkotykami Polaka. W końcu, skoro władza bije obywateli, a sądy ich nie bronią, trudno się dziwić.

Dziwi jednak, że ktokolwiek w naszym kraju może sądzić, że przejmie władzę w podobny sposób. Szukanie męczenników i interwencji Zachodu to strategia samobójcza. Opozycja ma dzisiaj tylko jedną drogę zwycięstwa: autentyczny program, charyzmatyczni liderzy i próba znalezienia konsensusu. Reszta zaprowadzi nas do powtórki najgorszych kart historii.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9eadf03530

Agnieszka Niewińska

Podają dalej zmyślone informacje, popisują się brakiem kultury i ignorancją, a do tego lansują się w jacuzzi lub na rajskiej plaży. Po co politykom social media?

FOT. LASKI DIFFUSION/EAST NEWS

Zabłąkani w Internetach

Generator pasków TVP, który dawał możliwość wymyślenia własnego paska i umieszczenia go pod zdjęciem jednego z prowadzących „Wiadomości", szybko stał się hitem Internetu. Do zabawy przyłączył się – najwyraźniej nieświadomie – także były prezydent Lech Wałęsa. Udostępnił on przerobione przez internautów zdjęcie prowadzącego „Wiadomości". Dali mu oni twarz Michała Białka, szefa portalu Wykop.pl, który w dodatku za prezenterskim stołem siedzi w ciemnych okularach. Wałęsa uznał, że sztandarowy program TVP ma nowego prowadzącego. „O, jest »nowy«, bo tamci znudzili się Suwerenowi" – skomentował, a Internet umarł ze śmiechu. Dawno żaden post Wałęsy nie miał tylu udostępnień i komentarzy.

W JACUZZI I W PIŻAMIE

Nie pierwszy raz były prezydent w mediach społecznościowych rozminął się z rzeczywistością. Pod koniec ubiegłego roku udostępnił zdjęcia z gdańskiego lotniska swojego imienia. Pracownicy mieli zasłaniać napis na ścianie „Gdańsk Lech Wałęsa Airport" tuż przed wizytą Andrzeja Dudy, na co zżymał się były prezydent. Internauci zwrócili jednak uwagę, że te same fotografie Wałęsa udostępniał już wcześniej. Okazało się, że pochodzą one z czasów prezydentury Lecha Kaczyńskiego, a w hali lotniska TVP budowała studio telewizyjne, w którym wywiad z Kaczyńskim przeprowadził Piotr Kraśko. Rozmowa odbywała się na siedząco, więc logo z nazwiskiem Wałęsy i tak nie byłoby widoczne.

– Lech Wałęsa jest pionierem, jeżeli chodzi o wpadki w mediach społecznościowych. Wśród polityków jest jednak szczególnym przykładem, bo nie odgrywa już żadnej poważniejszej roli na scenie politycznej. Istnieje, wzbudza zainteresowanie głównie za pomocą tego, co opublikuje na swoich profilach na Facebooku czy Twitterze – mówi Bartosz Czupryk, specjalista ds. wizerunku i marketingu politycznego. Dodaje, że Wałęsa zasłynął nie tylko publikacją niesprawdzonych informacji, lecz także nadmiernym eksponowaniem życia prywatnego.

W sieci publikuje setki fotografii. Pokazuje swoje kąpiele w jacuzzi w towarzystwie nowo poznanych pań, raczy nas sesją w kąpielówkach czy piżamie na lekarskiej leżance. Nie żałuje zdjęć z księdzem, który przybył do szpitala z sakramentami, a nawet fotki w pozłacanej łazience w Zjednoczonych Emiratach Arabskich.

– Zamieszczanie zbyt wielu informacji i zdjęć na temat życia prywatnego w mediach społecznościowych to choroba bardzo wielu polskich polityków. Zdjęcia z plaży czy basenu można by jeszcze zrozumieć na profilu Janusza Korwin-Mikkego, który polityką się raczej bawi, niż traktuje ją serio. Politykom, którzy pełnią poważne funkcje lub aspirują do nich, doradzałbym raczej znaczną powściągliwość, jeżeli chodzi o publikowanie prywatnych zdjęć – mówi Czupryk i dodaje, że politykiem, który w sieci nadmiernie eksponuje życie prywatne, jest poseł PiS Dominik Tarczyński. – Fotografie z jacuzzi czy w płaszczu z jenota odbierane są jako bufonada.

Tarczyński podzielił się m.in. sesją zdjęciową swojej partnerki w bikini, sfotografował się z drinkiem w basenie przy rajskiej

eprasa.pl 9eadf03530

plaży. Inna fotografia, na której wystawiał stopę z jacuzzi z widokiem na Pałac Kultury, doczekała się wielu przeróbek.

W ubiegłe wakacje głośne było z kolei zdjęcie Tarczyńskiego, na którym chwalił się letnim wypoczynkiem – w Miami – jak sugerował hasztag. Internauci zarzucili mu, że choć jego partia namawia do wspierania polskich firm, on na wakacje leci Lufthansą. Sprawdzili także numer lotu. Okazało się, że bilet, którym się chwalił, był do Azerbejdżanu. Na pytania internautów poseł odpowiedział w swoim stylu: „Lecę odwiedzić przyjaciół, których matka umiera. Zamknąć gęby, pozerzy".

SZEJNFELD I GOŁĘBICA

Wśród posłów, którzy po ostatnich wyborach zadebiutowali w Sejmie, nie tylko Tarczyński prowadzi oryginalną działalność na portalach. W czołówce tych, którzy rozbawiają Internet, są byli posłowie Nowoczesnej. Życzenia Joanny Schmidt dla prezydenta Dudy zacytowały niemal wszystkie portale. „Zamiast 100 lat życzę Panu tylko tych dwóch, które pozostały do końca kadencji" – napisała Schmidt, tłumacząc się później, że nie życzyła prezydentowi rychłej śmierci, tylko poprzestania na jednej kadencji.

Ryszard Petru chciał dopiec rządzącym wpisem w rocznicę uchwalenia Konstytucji 3 maja. Sam stał się jednak obiektem kpin, bo wyszło na to, że nie wie, iż trzeciomajowy dokument od dawna nie obowiązuje. „Nasza Konstytucja ma już 225 lat. Druga na świecie, pierwsza w Europie. Trzyma się świetnie, choć PiS uparł się, by przeszła przymusowy lifting".

Nie tylko Petru konstytucja sprawiła problem. Kinga Gajewska z PO w tym roku postanowiła zinterpretować znaczenie dokumentu sprzed przeszło 200 lat. „Miała zbliżyć Rzeczpospolitą Obojga Narodów do standardów szanowanego, postępowego Zachodu, bo nie ma wolności bez nowoczesności" – napisała na Twitterze, czym wzbudziła szeroką krytykę.

Osobny rozdział w historii osobliwości na profilach polityków zdaje się pisać Adam Szejnfeld, europoseł PO. Polityk zdążył też ogłosić powrót PO na pozycję lidera sondaży. Internauci szybko wyciągnęli mu, że posłużył się starym badaniem opinii publicznej. Kilka lat temu zasłynął zaś ornitologicznym wpisem: „Wybrała mnie biała gołębica, aby mieć potomstwo. Oto na moim balkonie powstanie nowe życie". W sieci natychmiast pojawiły się fotomontaże – gołębie z głową Szejnfelda.

Kiedy internetowego wpisu nie daje się obronić, politycy zaczynają się tłumaczyć. Zdjęcia z lotniska, na którym miało być zasłaniane logo z nazwiskiem Wałęsy, opublikował nie Wałęsa, lecz… haker. A były prezydent wykorzystał okazję do tego, by sugerować, iż to rządzącym nie podoba się, że jest aktywny w sieci. Kinga Gajewska kompromitujący wpis o Konstytucji 3 maja przypisała pracownikowi swojego biura.

– Tłumaczenie się z nieprzemyślanych wpisów hakerem, który włamał się na konto, budzi raczej mój uśmiech. To wymówka, ucieczka od wpadki. Niestety polscy politycy niechętnie przyznają się do błędów, które popełnili. Zamiast zwyczajnie za nie przeprosić brną w nieprawdopodobne opowieści, zrzucają winę na kogoś innego, choćby asystenta, który obsługuje ich profil. To im nie dodaje wiarygodności, bo jak zaufać politykowi, który do zamieszczania wpisów w swoim imieniu wysługuje się kimś innym? – pyta Bartosz Czupryk.

Zaznacza jednak, że nie wszyscy polscy politycy w social mediach się tylko pogrążają. – Niektórzy czują media społecznościowe i całkiem nieźle sobie w nich radzą – choćby prezydent Andrzej Duda, Donald Tusk, Dariusz Rosati czy Elżbieta Łukacijewska. Mimo ostatnich wpadek dobrze oceniam także Rafała Trzaskowskiego – mówi specjalista ds. wizerunku. Trzaskowski w ostatnich tygodniach został obśmiany za pompatyczny wpis o wykładach u Bronisława Geremka, własnych najlepszych na roku notach i poziomie swojej francuszczyzny. Dla równowagi jego konkurent do prezydenckiego fotela w Warszawie – Patryk Jaki – też zalicza internetowe potknięcia. Swoją kandydaturę reklamował filmikiem, w którym pojawiło się zdjęcie Pragi – czeskiej.

IM GŁUPIEJ, TYM LEPIEJ?

Eryk Mistewicz, prezes Instytutu Nowych Mediów, jest zdania, że w social mediach można spodziewać się raczej spadku niż skoku jakości. – Osoby, które swoje profile prowadzą rzeczowo i merytorycznie, albo zamykają swoje konta na Twitterze, albo zaglądają tam bardzo rzadko – jak na przykład szef gabinetu prezydenta Krzysztof Szczerski – zaznacza. Jego zdaniem kontrowersyjne zdjęcia, filmy i komentarze takich polityków jak Dominik Tarczyński czy Borys Budka to nie wpadki, tylko taktyka obliczona na budowanie popularności. – Samokompromitacja polityka stała się elementem budowy wizerunku. To zaczęło się od Janusza Palikota, który mówił, że świńskiego ryja w studiu telewizyjnym niedługo nikt nie będzie pamiętał, a jego nazwisko zostanie zapamiętane. I tak było przez długi czas. Dzisiaj im głupszy post, im bardziej obraźliwy, im bardziej przekracza daleko przesunięte granice przyzwoitości i kultury, tym lepiej rezonuje, silniej się rozchodzi, jest popularyzowany. I o to niestety chodzi, żebyśmy byli zbulwersowani i udostępniali te wpisy. Dziennikarze też są z tej sytuacji zadowoleni, bo wystarczy sięgnąć do wpisów polityka i ma się gotowy tekst – tłumaczy prezes Instytutu Nowych Mediów. Dodaje, że taktyka samokompromitacji jest nadzwyczaj skuteczna.

– Gdyby rok czy dwa lata temu zapytała mnie pani o Dominika Tarczyńskiego, nie wiedziałbym, kto to jest, a dzisiaj Internet epatuje nas tym nazwiskiem. Na dłuższą metę poseł ten przyjął jednak niszczącą dla siebie strategię. Cóż z tego, że na posiedzeniach Rady Europy wypowiada się z sensem, jeśli żaden poważny periodyk nie poprosi go o analizę czy tekst, właśnie z uwagi na krzywdę, którą robi sobie w sieci. Chociaż oczywiście miejsce na liście wyborczej ma zapewnione.

Ryszard Petru chciał dopiec rządzącym wpisem w rocznicę uchwalenia Konstytucji 3 maja. Sam stał się jednak obiektem kpin

Także Bartosz Czupryk nie spodziewa się rzetelniejszego podejścia polityków do tego, co zamieszczają w sieci. – Nie łudziłbym się tym, że nagle wszyscy politycy zaczną sprawdzać pochodzenie informacji, które podają, czy prawdziwość zdjęć, które zamieszczają na swoich profilach. Osoby kształtujące swój wizerunek tylko na emocjach swoją aktywność w sieci traktują jak igrzyska. Na arenie stale musi się pojawiać nowy lew albo inna atrakcja. Od rzetelności i dobrego stylu niestety coraz częściej liczy się nakręcanie emocji, bycie na fali i rosnąca liczba polubień.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9eadf03530

FOT. FOTOLIA

Piana coraz lżejsza

Łukasz Zboralski

Polacy kupują coraz więcej piw, w których zawartość alkoholu jest niewielka lub nie ma go wcale. To najszybciej rosnący segment sprzedaży w branży

Coraz mniej wódki, a coraz więcej piwa i wina – ten trend picia alkoholu w Polsce widać od wielu lat. Nad Wisłą sprzedaje się już tyle hektolitrów piwa, że w statystyce jego spożywania mocno zbliżamy się do czołówki krajów, które tradycje picia tego trunku mają silniejszą, czyli do Czech, Niemiec i Austrii.

Pomogła w tym tzw. piwna rewolucja, czyli poważna zmiana, która zaszła mniej więcej siedem lat temu. To wówczas gusta polskich piwoszy zaczęły podbijać tzw. piwa kraftowe. Były zupełnie inne niż to, co od lat w butelkach oferowały duże koncerny, i szybko zyskały na znaczeniu. Amerykańskie chmiele, cytrusowe posmaki, rozmaite receptury. To wszystko sprawiło, że dziś na sklepowych półkach wybiera się nie tylko między markami browarów, lecz także głównie pomiędzy smakami i specjalizacjami warzenia.

Koncerny szybko dostosowały się do nowych realiów i zaoferowały też takie rodzaje trunków. A nawet wydaje się, że dziś to one wyprzedziły o krok rzemieślnicze browary w piwnej rewolucji. I to nie tylko dlatego, że kraftowe piwa kosztują już tyle co butelka przyzwoitego wina. Przede wszystkim dlatego, że koncerny dobrze czują nowy trend.

SŁABNĄCE MOCNE

Polacy – zwłaszcza latem – zamiast gasić pragnienie zwykłym lagerem, coraz chętniej sięgali po radlery, czyli pomysł, który wykiełkował jeszcze przed II wojną światową w południowych Niemczech. Piwo zmieszane z lemoniadą jest atrakcyjne dla tych, którzy nie bardzo lubią zwykłą piwną goryczkę, oraz dla tych, którzy chcą ugasić pragnienie, a nie bardzo chcą wchłaniać alkohol. To, czym Polacy wcześniej raczyli się na plażach podczas zagranicznych wojaży, trafiło więc pod strzechy. I wciąż powiększa grupę zwolenników. W 2017 r. radlery i piwa smakowe stanowiły już 7,5 proc. wszystkich piw sprzedawanych w Polsce. Pijemy ich już prawie tak samo wiele jak piw mocnych (bez porterów – ponad 10 proc. udziału w rynku piwa).

eprasa.pl 9eadf03530

Ale tym, co w ostatnim czasie najszybciej zyskuje w sprzedaży, są... piwa całkowicie bezalkoholowe. To było już widać w roku 2016, a ubiegły rok tylko potwierdził ten trend. Oprócz specjalnych piw (APA, IPA, pszeniczne itd.), które rok do roku zanotowały sprzedaż większą o blisko 17 proc., piwa bezalkoholowe odnotowały jej wzrost o niemal 23 proc. i przyniosły browarom o 53 mln zł więcej niż rok wcześniej. Choć stanowią wciąż jeszcze najmniejszą kategorię w całej gamie sprzedaży (1,9 proc. udziału w całym rynku piwa), widać, że ten segment może się jeszcze mocno rozwinąć.

– Z pewnością można zaobserwować trend, jakim jest spadek zawartości alkoholu w piwie, co wyraża się z jednej strony spadkiem udziału w rynku piw mocnych, a z drugiej wzrostem piw niskoalkoholowych, w tym różnych piw smakowych, radlerów itp., a także piw bezalkoholowych – mówi Bartłomiej Morzycki, dyrektor generalny Związku Pracodawców Przemysłu Piwowarskiego – Browary Polskie. – Trend ten widoczny jest nie tylko na sklepowych półkach, lecz także w reklamie, choć dokładnych danych co do udziału tego typu reklam w ogólnej liczbie reklam piwa nie posiadamy.

Jak podkreśla Morzycki, w latach 2015–2017 wzrost sprzedaży tego rodzaju piw sięgnął w sumie 72 proc., co oznaczało dla firm wzrost wartości przychodów z tego segmentu do 282 mln zł.

Dlaczego Polacy piją coraz więcej niskoalkoholowego piwa? Najprostsza odpowiedź brzmiałaby: bo mogą! Bo w ostrej konkurencji na rynku browary przedstawiły im wreszcie szeroką i ciekawą ofertę. To oczywiście odpowiedź niepełna. Przecież, na tle całości danych o sprzedaży, widać i głębszą rzecz. To, że Polacy – wciąż oskarżani m.in. przez instytucje rządowe takie jak Polska Agencja Rozwiązywania Problemów Alkoholowych o nadmierne korzystanie z napojów alkoholowych – odwracają się od piw mocnych, a szukają tych z napisem „0 procent". Można więc zakładać, że topnieje grupa osób korzystających z piwa głównie po to, by się nim szybko upić – a rośnie grupa tych, którzy doceniają walory smakowe tego trunku oraz w ogóle lubią ugasić pragnienie czymś, co alkoholu prawie nie ma.

POWRÓT DO KORZENI?

Być może całkiem nieświadomie powoli wracamy w Polsce do tego, czym było dla nas piwo przed wiekami. Bo trunek, który na tych ziemiach zastali Słowianie – sporządzany prawdopodobnie wcześniej przez Germanów i Celtów – był jednym z podstawowych napojów. I wówczas alkoholu zawierał niewiele. „Powstawał ze zmielonej pszenicy, jęczmienia, prosa czy wyki. Samo warzenie piwa polegało na gotowaniu wywaru zbożowego (lub słodowego) i wywaru z ziół, które następnie mieszano i fermentowano. Po kilku dniach powstawał napój niskoalkoholowy, który zaprawiano czasem miodem lub owocami" – pisze Marcin Jakub Szymański w wydanej niedawno książce „Polskie piwo. Biografia".

Historycznych analogii narzuca się zresztą więcej. Bo dziś ktoś sięga po butelkę skuszony informacją z etykiety o tym, że piwo posiada niezwykły aromat dzięki użyciu ziół – czyli być może poczuje część smaku dawnego trunku, do którego Słowianie, przed podpatrzeniem zachodniego stylu stosowania chmielu, dodawali rozmaryn, garbnik czy poraj (chmiel zaczęto dodawać głównie dlatego, że miał właściwości antyseptyczne i umożliwiał dłuższe przechowywanie trunku).

I jeszcze jedno porównanie, tym razem polityczno-alkoholowe, którego nie sposób nie dostrzec. Mimo zmieniającej się struktury picia samego piwa (ale już i nawet spadku jego sprzedaży o 1,3 proc. w 2017 r.) część polskich polityków wspieranych przez duchownych forsuje pomysł, by narzucać kolejne ograniczenia i m.in. zakazać reklamy piwa w telewizji do późnych godzin wieczornych. Szymański w swojej książce przypomina, że tuż po odzyskaniu niepodległości w II Rzeczypospolitej znalazła się grupa polityków, którzy koniecznie chcieli naśladować Stany Zjednoczone – a te w 1919 r. wprowadziły 18 poprawkę do konstytucji zakazującą produkcji napojów alkoholowych i obrotu nimi. Zespół stworzony przez posłów Związku Ludowo-Narodowego – związanych z Polskim Towarzystwem Walki z Alkoholizmem „Trzeźwość" Marię Moczydłowską i ks. Kazimierza Lutosławskiego (syna właściciela browaru i jego spadkobiercę) – opracował podobny do amerykańskiego radykalny projekt ustawy. Ostatecznie w Sejmie przyjęto przepis, który m.in. zakazywał trunków o zawartości alkoholu powyżej 45 proc., ograniczał punkty sprzedaży do jednego na 2,5 tys. mieszkańców i umożliwiał samorządom wprowadzenie całkowitej prohibicji na własnym terenie (coś państwu to przypomina?). Z zapisów tej ustawy wyłączono napoje o zawartości do 2,5 proc. alkoholu. Efekt? „Polska została wręcz zalana słabym, wodnistym piwem, które co prawda można było sprzedawać wszędzie, ale mało kto chciał je kupować i pić" – pisze Szymański.

Dziś Polacy sami, bez nakazu ustawodawcy, w upalny dzień – a takich nam tego lata nie brakuje – coraz chętniej sięgają po słabe smakowe piwo. I chyba, znając polską przekorę, lepiej to im pozostawić wybór trunku.

Udział w rynku piwa

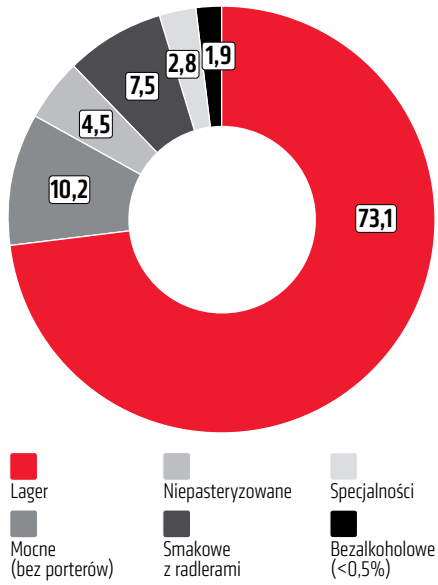

Zmiana w sprzedaży na rynku piwa

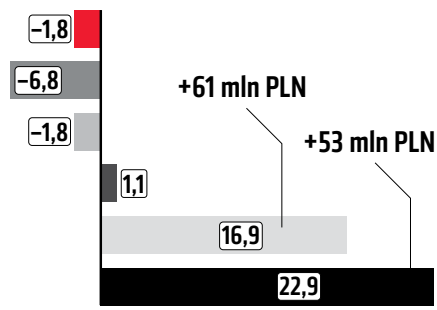

* Udział w rynku i sprzedaż w 2017 w porównaniu do 2016 r.

Nielsen, Panel Handlu Zagranicznego

RYS. SŁUPEK

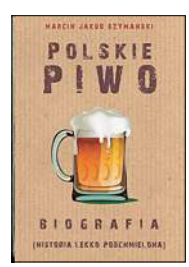

MARCIN JAKUB SZYMAŃSKI „POLSKIE PIWO. BIOGRAFIA [HISTORIA LEKKO PODCHMIELONA]" FRONDA 2018

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9eadf03530

Otto Wagner, czyli niepokój końca epoki

Piotr Semka z Wiednia

„Tu narodziła się nowoczesność" – tym sloganem Wiedeń przyciąga turystów. Stolica Austrii kokietuje przybyszów z całego świata wystawami i pamiątkami po sławach, które na przełomie XIX i XX w. wyznaczały nowe nurty w nauce i sztuce

Zygmunt Freud w psychologii, Robert Musil w literaturze, Gustav Klimt i Egon Schiele w malarstwie – wszyscy oni są dziś dumą metropolii nad Dunajem.

W dziedzinie architektury symbolem tego niezwykle twórczego okresu jest Otto Wagner (1841–1918) uznawany za pioniera modernizmu. Nic dziwnego, że okrągła, setna rocznica śmierci jednego z pionierów nowoczesnej architektury uczczona została wielką wystawą w Muzeum Miasta Wiednia. To opowieść o człowieku, który mimo talentu w pewnym momencie wypadł z łask dworu cesarskiego, do końca życia nie rozumiejąc przyczyny tej zmiany. Jego losy to epizod z okresu walki starego i nowego u schyłku rządów Franciszka Józefa. Coś jak gorzka opowieść o pułkowniku Alfredzie Redlu, tyle że ze świata architektury.

DZIECKO SZCZĘŚCIA

Otto Wagner wydawał się idealnym kandydatem na czołowego architekta dworu cesarskiego.

Jego ojciec Rudolf pełnił funkcję królewsko-węgierskiego notariusza dworu, a matka Suzanne von Helffenstorffer-Hueber była córką cesarskiego archiwariusza. W monarchii Habsburgów takie rodzinne zasługi bardzo ceniono.

Młody Otto w 1859 r. ukończył z najwyższymi notami wydział architektury politechniki wiedeńskiej, a potem do 1861 r. uzupełnił studia na Berlińskiej Bauakademie – szkole pod patronatem króla Prus, by wreszcie ukończyć

eprasa.pl 9eadf03530

1905 r. Otto Wagner, szacowny profesor Akademii Sztuk Pięknych (pierwszy z lewej), w towarzystwie buntowników z Secesji Wiedeńskiej. To nie mogło się skończyć dobrze FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Akademię Sztuk Pięknych w Wiedniu. W 1862 r. zostaje asystentem Ludwiga von Förstera – najważniejszego architekta austriackiego połowy XIX w. Od 1864 r. miasto zaczyna zamawiać u Wagnera coraz poważniejsze projekty.

Na wystawie zgromadzono „pompierystyczne" projekty Wagnera z tamtego czasu. Podziw musi budzić skłonność do perfekcji ich twórcy. Ręcznie wykonywane kartony z projektami wymagały wielogodzinnego ślęczenia nad każdym szczegółem.

Ruch budowlany był wtedy bardzo ożywiony. Monarchia po ugodzie z Węgrami przeżywała wielki ekonomiczny boom. W Wiedniu powstawały wielkie urzędowe gmachy, które wypełniały Ring – nową, okalającą miasto arterię na miejscu dawnych murów miejskich. W 1874 r. Wagner dostaje pierwsze prestiżowe zamówienie rządowe – Pałac Sprawiedliwości, a w 1876 r. projektuje budynek Sejmu Krajowego we Lwowie.

Oba budynki powstają w modnym wówczas stylu freie Renaissance, czyli swobodnego renesansu – z odpowiednią liczbą antycznych figur, dekoracji i kolumn. Życzliwy jest mu też dwór cesarski. W 1879 r. projektuje dekoracje do parady w Wiedniu z okazji srebrnego jubileuszu rządów Franciszka Józefa, w 1880 r. tworzy kolumnę pamiątkową ku czci cesarza na pl. Praterstern, a w 1881 r. zleca mu się stworzenie dekoracji z okazji uroczystego przybycia do Wiednia księżniczki Stefanii – przyszłej nieszczęśliwej żony arcyksięcia Rudolfa. Leksykon biograficzny monarchii austro-węgierskiej z 1885 r. zalicza Wagnera do najlepszych architektów nowego Wiednia. Na umieszczonym na wystawie portrecie Wagnera z 1896 r. widać pewnego siebie człowieka sukcesu z wysokim orderem cesarskim na szyi.

Na swoich projektach z dumą podpisuje się jako Architekt-Hofrat, czyli radca dworu.

W 1893 r. od magistratu stolicy Austrii otrzymuje zadanie opracowania planu rozwoju urbanistycznego miasta. Rok później jego kariera zostaje uwieńczona posadą profesora i kierownika specjalnej szkoły architektury w Akademii Sztuk Pięknych. I wtedy zaczynają się kłopoty.

PATRON BUNTOWNIKÓW

Większość artystów po zdobyciu profesorskiej togi staje się klasykami. Z Wagnerem było dokładnie na odwrót. Szybko zostaje patronem nowych modernistycznych trendów – stylu nazwanego potem secesją. Ale myślenie Wagnera o architekturze idzie dalej. Głosi prymat funkcjonalności w architekturze. Po wykonaniu zamówienia na wystrój stacji i wiaduktów wiedeńskiego metra dochodzi do wniosku, że architekt winien skupiać się na użyteczności, a nie na ilości ozdób.

Głosi, że zamiast kopiować Renaissance – trzeba wprowadzać nowy styl Naissance – styl użytkowy, którego forma ma być pochodną konstrukcji. Krytykuje mnożenie ornamentów na rzecz prostoty i ascetyczności formy.

W 1896 r. otrzymuje ostatnie zamówienie cesarskie – prywatną stację kolejową dla Franciszka Józefa i jego dworu. W 1897 r. przystępuje jako nieformalny członek do grupy Secesji Wiedeńskiej, którą w dziedzinie architektury tworzą m.in. Josef Hoffmann, Joseph Maria Olbrich, Karl Ehn, Jože Plečnik czy Max Fabiani. Pamiątką po tamtych nieco dzikich czasach jest portret Wagnera pędzla ekspresjonisty Egona Schielego.

Kręgi dworskie, które wcześniej uznawały Wagnera za szacownego przedstawiciela tzw. Reischsstilu, czyli austriackiej odmiany historyzującego eklektyzmu, przeżyły niemiłe zaskoczenie.

Oto szacowny profesor wychował całą grupę twórców, którzy programowo zrywają z tradycją. Co więcej, widywany jest na mieście w kawiarniach w towarzystwie awangardowych malarzy. A wszystko, co awangardowe i hipernowoczesne, kojarzy się wtedy z siłami, które chcą wysadzić monarchię w powietrze.

Przez chwilę wydawało się, że nowy styl zostanie przyjęty przez władze. Tak było za rządów liberalnego premiera Ernesta von Koerbera w latach 1900–1904. To wtedy Wagner zrealizował swój projekt nowatorskiego budynku Pocztowej Kasy Oszczędnościowej w Wiedniu oraz rozpoczął budowę secesyjnego kościoła św. Leopolda na terenie szpitala dla psychicznie chorych na wzgórzu Steinhof.

Sprzeciw wobec tych tendencji nadszedł ze strony frakcji skupionej wokół arcyksięcia Franciszka Ferdynanda. Następca tronu uznał, że trzeba zdecydowanie przeciwdziałać architektonicznym nowinkom. Punktem przesilenia w tych nastrojach było wybudowanie naprzeciw Hofburga pozbawionego wszelkich ornamentów nowoczesnego domu „z gładko wygolonym obliczem" Adolfa Loosa. Emocje wzmacniało to, że budynek powstał na zamówienie Leopolda Goldmanna, kupca o pochodzeniu żydowskim, który chciał w nim stworzyć dom towarowy.

Mówiąc obrazowo – modernizm zapukał do wrót pałacu cesarskiego.

OSTRE SPIĘCIE

Franciszek Ferdynand uważał, że najlepszy dla gmachów publicznych jest barok w stylu Marii Teresy. Główny teoretyk sprzeciwu wobec modernizmu, historyk sztuki Albert Ilg, nazwał go „pierwszym i jedynym stylem, który Austria podarowała sama sobie".

W 1907 r. Ludwig Baumann, zwolennik baroku Marii Teresy, wskutek presji następcy tronu zostaje wyznaczony na dyrektora rozbudowy Hofburga.

W pamiętnikach Wagner opisał swoje bezpośrednie starcie z następcą tronu. Na uroczystości inauguracji kościoła na

eprasa.pl 9eadf03530

Steinhofie przemawiający Franciszek Ferdynand zakończył swoje wystąpienie aluzyjną krytyką nowego stylu: „a jednak styl Marii Teresy jest przecież najpiękniejszy". Wagner w rozmowie z arcyksięciem pozwolił sobie na chłodną ripostę: „Za czasów Marii Teresy grawerowano armaty, a dzisiaj są one gładkie". Jak wskazuje historyk sztuki Peter Haiko: „Wagner uważał, że zajście to było przyczyną nienawiści, jaką darzył go następca tronu, i tego, że stracił później wiele zleceń, które potencjalnie mógł otrzymać".

Z kręgu Franciszka Ferdynanda zaczynają wychodzić subtelne ostrzeżenia, że Otto Wagner utracił zaufanie dworu. Na efekty nie trzeba długo czekać. W konkursie na gmach ministerstwa obrony w 1907 r. projekt Wagnera przegrywa z kretesem, a zlecenie otrzymuje Ludwig Baumann. W prasie coraz częściej zaczyna się pojawiać krytyka nowoczesnych projektów Wagnera jako przykładu „brutalnego galijskiego materializmu". Kpiono też z innego dzieła Wagnera – kościoła na Steinhofie. Złotą secesyjną kopułę świątyni porównywano złośliwie do mauzoleum indyjskiego maharadży.

Wytykano też żydowskie pochodzenie części architektów secesji – Josefa Franka, Oskara Strnada, Viktora Lurje i Oskara Wlacha. Ich skłonność do modernizmu wyjaśniano brakiem więzi emocjonalnej z barokowym dziedzictwem austriackiej architektury. Taka krytyka o rasowym podłożu znamionowała nadejście epoki antysemityzmu.

Paradoksalnie w tym samym czasie starsze pokolenie żydowskiej burżuazji – wyczuwając nastroje dworu – starało się budować domy i pałace w stylu historyzującym. Historyk sztuki Ursula Prokop wskazuje: „Właśnie w społeczeństwie, które wytworzyło architektoniczną kulturę Ringstrasse, Żydzi po raz pierwszy, odkąd wyrwali się ze świata getta, mogli awansować. Dlatego starsze pokolenie (Żydów) odnosiło się raczej nieprzychylnie do prób zerwania z tą tradycją. Jako lojalni monarchiści mogli się oni swobodnie identyfikować z semantyką habsburskiego neobaroku. Poza tym odnosili się do wiedeńskiego modernizmu nierzadko z głębokim sceptycyzmem, gdyż artyści secesji, a przede wszystkim Otto Wagner i jego otoczenie, prywatnie byli wzorcowymi antysemitami".

Jednak urzędnicy z kręgów Franciszka Ferdynanda nie wchodzili w takie rozróżnienia. Modernizm w kręgach dworskich określano jako goût juif (gust żydowski) i odrzucano go całkowicie.

Replika zaprojektowanej przez Wagnera fasady wiedeńskiego „Die Zeit" FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Dzisiaj, z perspektywy czasu, spór przedstawiany jest zazwyczaj w czarno-biały sposób. Obrońcy starzyzny kontra siły postępu. Jednak trzeba pamiętać, że nowoczesne budynki wdzierały się często w centrum kosztem zabytków wskutek spekulacyjnego boomu. Stara, barokowa zabudowa Wiednia szła pod kilof, bo decydował rachunek ekonomiczny. Dramaturg i publicysta Karl Kraus tak pisał przy okazji zburzenia starego pałacu Dietrichsteina z 1818 r. na Michaelerplatz, w którym mieściła się Café Griensteidl – jego ulubiona kawiarnia literacka: „Wiedeń demoluje się teraz na podobieństwo metropolii. Razem ze starymi domami wyburza się podpory naszej pamięci".

Otto Wagner jakby nie rozumiał, jak bardzo jego flirt z moderną zmienił jego pozycję. Już w 1904 r. jego projekt monumentalnej fontanny na Karlplatz nie zyskał uznania. W 1907 r. projekt Wagnera przegrywa konkurs na budynek ministerstwa wojny i to samo dzieje się z jego projektem nowego budynku Akademii Sztuk Pięknych na Schmeltzu w Wiedniu. Na wystawie można obejrzeć spory model proponowanego projektu. Wagner wierzył, że pomoże mu on zjednać jury. Nie zjednał.

Najbardziej gorzka okazała się jednak dla Wagnera jego wieloletnia

eprasa.pl 9eadf03530

walka (1900–1908) o wygranie konkursu na projekt muzeum miasta Wiednia na Karlplatz. Wagnera upokarzano, nakazując mu przerabiać kolejne projekty, by w końcu nie podjąć żadnych decyzji. Jedni sarkali na koszty – projekt Wagnera w istocie nie był tani, inni po cichu napomykali o utracie łask ze strony dworu. Gdy w 1907 r. zmarł jego główny konkurent, konserwatysta Friedrich Schachner (1841–1907), wydawało się, że przeszkody znikną. Nie znikły. W końcu wybuchła wojna i muzeum za czasów cesarstwa nigdy nie powstało.

Wcześniej dwór zignorował jego projekt rozbudowy Krypty Kapucynów – nekropolii Habsburgów, a wreszcie w 1917 r. w urzędniczych labiryntach utknął projekt pomnika zmarłego rok wcześniej cesarza Franciszka Józefa. Nikt już wtedy nie miał głowy do gloryfikacji dynastii. Austro-Węgry chwiały się na nogach. Otto Wagner zmarł 11 kwietnia 1918 r. Cesarstwo przeżyło go tylko o siedem miesięcy.

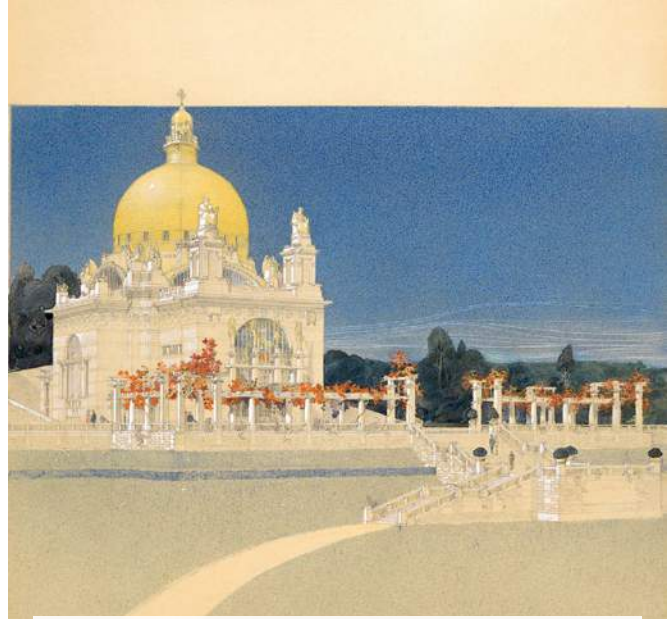

Rzymskokatolicki kościół pod wezwaniem św. Leopolda w Wiedniu to jedno z ważniejszych dzieł Ottona Wagnera. Zbudowano go w latach 1904–1907 jako część zespołu szpitalnego dla umysłowo chorych FOT. MATERIAŁY PRASOWE

BEZ DOGMATU

Czy obawy dworskich konserwatystów, że architektoniczna moderna jest awangardą rewolucji, były słuszne? I tak, i nie.

Wielu modernistów z radością przyjęło rewolucję w listopadzie 1918 r. i rządy socjaldemokratów w Austrii. W czerwonym Wiedniu – jak go wówczas nazywano – władzę objął socjaldemokratyczny burmistrz Jakob Reumann. W 1923 r. zastąpił go inny polityk lewicy Karl Seitz – uczeń Ottona Wagnera. Seitz stworzył modernistom spore możliwości twórcze przy budowie nowych dzielnic robotniczych. Każdy, kto pojedzie obejrzeć wybudowane w latach 1927–1933 nowoczesne osiedla robotnicze w wiedeńskich dzielnicach Favoriten czy Döbling, zobaczy na fasadach dumne nazwy Karl-Marx-Hof czy Viktor-Adler-Hof – ten ostatni napis na cześć przywódcy austriackiej gałęzi marksizmu.

Sam Wagner został już w 1925 r. uczczony przez socjaldemokratyczne władze Wiednia placem noszącym jego nazwisko. W 1930 r. uczniowie Wagnera Josef Hoffmann i Oswald Haerdtl zbudowali ku czci mistrza kolumnę pamięci na Ballhausplatz. W czasie wojny naziści usunęli ten pomnik.

Byłoby jednak uproszczeniem stwierdzić, że Wagner wychował jedynie zwolenników lewicy.

Słoweniec Jože Plečnik (1872–1957) po I wojnie światowej skupił się na architekturze państwowotwórczej w nowych państwach słowiańskich. Przebudował Hradczany w Pradze na potrzeby nowej siedziby prezydenta Tomasza Masaryka i zbudował gmach biblioteki narodowej w słoweńskiej Lublanie. Rudolf Schindler (1887–1953) wyjechał w 1921 r. do Kalifornii i tam stał się modnym projektantem modernistycznych willi. Wraz za nim wyjechał do USA inny uczeń Wagnera – Richard Neutra (1892–1970), który także stał się klasykiem nowoczesnej architektury.

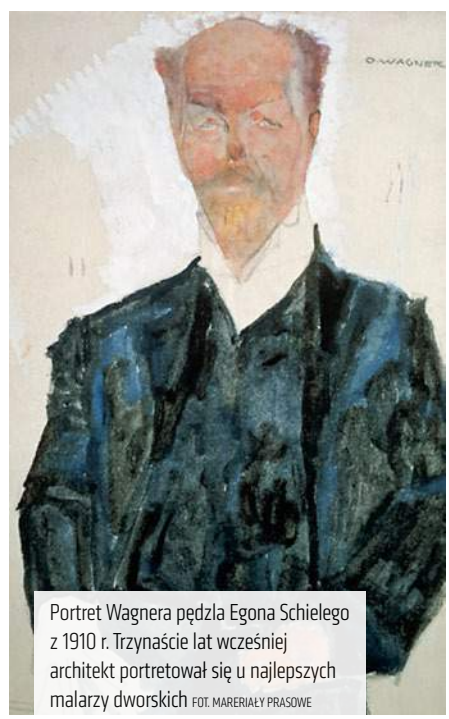

Portret Wagnera pędzla Egona Schielego z 1910 r. Trzynaście lat wcześniej architekt portretował się u najlepszych malarzy dworskich FOT. MARERIAŁY PRASOWE

Max Fabiani (1865–1962) zaakceptował z kolei mecenat włoskiego faszyzmu, który nie odrzucał nowoczesnych form. A Josef Hoffmann (1870–1956) po anszlusie Austrii w 1938 r. doskonale odnalazł się pod władzą hitlerowców. Został specjalnym komisarzem Rzeszy do spraw rozwoju sztuki i rzemiosł w Wiedniu i przebudował dawną ambasadę III Rzeszy na dom Wehrmachtu.

Otto Wagner nie był specjalnie kochany przez nazistów. Tym łatwiej po wojnie jego zwolennicy podjęli się upamiętnienia swego mistrza. Wagner kojarzył się z dwiema tradycjami dobrze notowanymi po wojnie – epoką habsburską i nowoczesnością. W 1959 r. odbudowano zniszczoną przez nazistów kolumnę ku jego czci – dziś stoi przy wiedeńskiej Akademii Sztuk Pięknych na Schillerplatz. W 1986 r. oblicze Ottona Wagnera ozdobiło banknot 500-szylingowy – najwyższy nominał w obiegu.

Dzisiaj już nikt nie pamięta o polityczno-ideowych sporach wokół wiedeńskiej moderny. Za to do budynków Wagnera na czele z kościołem św. Leopolda na Steinhofie przybywają pielgrzymki miłośników secesji z całego świata.

Wystawa o Wagnerze w większości wypełniona jest wizualizacjami niezrealizowanych projektów. Opatrzność nagrodziła go za rozczarowania za życia sławą po śmierci. Taki bywa los ludzi, którzy wyprzedzają swoją epokę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa „Otto Wagner" czynna jest do 7 października 2018 r. w Muzeum Miasta Wiednia. Szczegóły na www.wienmuseum.at.

W tekście wykorzystałem eseje z katalogu wystawy w Międzynarodowym Centrum Kultury w Krakowie z 2000 r. „Otto Wagner. Wiedeń – Architektura – około 1900".

eprasa.pl 9eadf03530

Z Marcinem Maseckim, najbardziej twórczym muzykiem młodego pokolenia
rozmawia Grzegorz Brzozowicz

Lubię zadawać pytania

GRZEGORZ BRZOZOWICZ: O mały włos nie zostałeś ostatnio aktorem.

MARCIN MASECKI: Zadzwonił do mnie producent z Opus Film i zapytał: „Czy byłby pan zainteresowany zagraniem głównej roli w nowym filmie Pawła Pawlikowskiego?". Nie byłem przygotowany na takie pytanie, ale udałem się na spotkanie. Odbyłem z Pawłem sympatyczny, półgodzinny small talk. W końcu zapytał, czy znam melodię ludową „Dwa serduszka cztery oczy". Zagrałem. „A jak by ona zabrzmiała w wersji jazzowej?". Proszę bardzo – zagrałem. Na koniec zapytał, czy mógłbym coś opowiedzieć o Argentynie, skąd pochodzi moja żona. Nagle wyjął telefon i zaczął mnie filmować. Po paru dniach odezwał się ponownie producent i oznajmił, że jako aktor to nie przypasowałem, ale chcieliby mnie zaprosić do filmu w roli aranżera i konsultanta muzycznego.

Nie byłem gotowy na aktorstwo, więc odetchnąłem z ulgą i z przyjemnością skupiłem się na tym, co umiem. Z drugiej strony zawsze jest pytanie – co by było gdyby.

Co lubisz w komponowaniu muzyki filmowej?

Jak dotąd pracowałem tylko przy trzech filmach. Obecnie uczestniczę w powstawaniu fragmentu filmu Agnieszki Holland „Gareth Jones". Podoba mi się, że za każdym razem jest inaczej. Praca przy „Zimnej wojnie" była ekscytująca, bo uczestniczyłem w każdej z faz powstawania filmu. Muzyka jest jednym z bohaterów. Nad jej rolą w filmie pracowałem już na etapie konstruowania scenariusza.

Album „Noc w wielkim mieście" Jazz Bandu Młynarski-Masecki uznałem za najlepszy album ubiegłego roku. Zebraliście na niej mniej znane piosenki z przedwojennych filmów i opracowaliście je z poszanowaniem dla tradycji, ale jednak inaczej.

Wiele z nich pochodziło z filmów i zawierało wstępy podporządkowane ruchowi scenicznemu. To są te momenty, kiedy diwa schodzi po schodach, a orkiestra buduje odpowiednie napięcie. Aranżując te utwory, pozwalałem sobie na dłuższe fragmenty instrumentalne typowe dla europejskiego symfonicznego sposobu narracji. Jest ekspozycja, rozwinięcie, cytaty z wstępów i zakończenie. W odróżnieniu od muzyków przedwojennych nie mieliśmy ograniczeń czasowych i technicznych, mogliśmy więc pozwolić sobie na więcej.

Co cię przyciąga do muzyki międzywojnia?

Jako dzieciak słuchałem jej w domu non stop. W dodatku jako naród wciąż szukamy źródeł tożsamości, więc z melancholią i sentymentem spoglądamy na tamten złoty okres. Na czasy, kiedy Warszawa była zarazem Paryżem i Nowym Jorkiem. Wtedy w każdej knajpie był zespół, muzyka grana na żywo była czymś powszechnym. Ta właśnie użytkowość muzyki i jej obecność w życiu towarzyskim zafascynowała mnie i Jana. Nie mam stałego zespołu. Realizuję projekty, które trwają jeden, dwa sezony. Teraz siedzę w latach 30. Przeczytałem ostatnio książkę „Retromania" Simona Reynoldsa. To tak, jakbym czytał o swojej twórczości. To trochę smutne, że tak bardzo pochłania mnie przeszłość, ale nic z tym nie potrafię zrobić (śmiech). Podobnie ma Pawlikow-

eprasa.pl 9eadf03530

Marcin Masecki studiował w Berklee College of Music
FOT. ADAM BURAKOWSKI/REPORTER

ski, który zrobił film w stylistyce lat 60. Taki mamy moment dziejowy.

W Internecie czytam: „Marcin Masecki – polski pianista wykonujący muzykę jazzową i poważną".

Z Jurkiem Rogiewiczem nagrałem płytę z ragtime'ami, bo lubię ich bezpretensjonalność i bezpośredniość. To jest muzyka, do której prawie każdy się uśmiecha. Tych moich jazzów jest kilka i nie wszystkie są taneczne. Lubię uprawiać muzykę, która jest niejasna, nieklarowna i zadaje pytania, nie dając odpowiedzi. Moje płyty solowe nie są taneczne i nie wiadomo, czy są jazzowe.

To, co tworzysz, trudno zaszufladkować.

W domu zawsze leciały muzyka klasyczna i tradycyjny jazz. To są moje filary, a potem wydarzyło się kilka rzeczy, które porozciągały mnie w różne strony. Ukończyłem tradycyjną średnią szkołę muzyczną, a potem udałem się na studia do Bostonu, do Berklee College of Music, i tam mi się głowa otworzyła. Po powrocie do Polski trafiłem do środowiska skupionego wokół wytwórni Lado ABC. Muzyków, z których każdy robi coś innego, ale wzajem się inspirują. Naszym wspólnym mianownikiem jest niezależne myślenie o muzyce.

Jak się znalazłeś w najsłynniejszej akademii jazzu?

To jest prywatna, droga szkoła. Wtedy rok studiów kosztował 40 tys. dolarów, więc nie było mnie na to stać. Na szczęście uczelnia organizuje coroczne przesłuchania w różnych miejscach świata. Najbliżej miałem do Helsinek albo do Fryburga. Pojechałem do Szwajcarii. Przesłuchanie trwało z dwie minuty. „Proszę zgrać z tych nut". Po ośmiu sekundach mi przerwali i dali trudniejsze zadanie, a potem następne. Kiedy zacząłem się trochę „jąkać", wiedzieli, na jakim poziomie czytam nuty. Potem zagrałem przez piętnaście sekund bluesa z saksofonistą, a na koniec utwór przygotowany przeze mnie. „Dziękujemy, odpowiedź będzie wieczorem". Dostałem stypendium stanowiące 70 proc. rocznej sumy czesnego.

Co cię zaskoczyło w amerykańskim sposobie nauczania?

Byłem przygotowany na to, że będą mnie prowadzić za rączkę, mówić, co robię źle i co mam poprawić. Przez pierwsze pół roku nic nie robiłem i nie mogłem uwierzyć, że nikt się nie kapnął. W końcu zrozumiałem, że wolność nie na tym polega. Tamten system edukacji opiera się na zadawaniu pytań. To student musi wiedzieć, co chce robić, czego chce się nauczyć i o co mu chodzi. To są proste komunikaty, ale dla 19-latka niełatwe do przyswojenia. Wtedy byłem bardzo pewny siebie, bardzo dobrze grałem i przyjąłem arogancką postawę. Wiadra zimnej wody wylane na moją głowę dobrze mi zrobiły. Czułem się tam świetnie, choć w Ameryce jest absurdalny przepis, że nie możesz wejść do klubu, nie mając 21 lat, więc spora grupa z nas nie mogła uczestniczyć w życiu jazzowym. Uczelnia ma kontakty z milionem placówek, więc po jej ukończeniu trafiasz jako muzyk sesyjny do najlepszych studiów nagraniowych, orkiestr… Jest prężny wydział muzyki filmowej, po którym kierują cię na staż do Hollywood. Nie skorzystałem, bo chciałem szybko wrócić do Polski, gdzie czekał na mnie zespół Alchemik.

Pierwsze słowa wypowiedziałeś po polsku czy hiszpańsku?

Nie pamiętam, ale pewnie jednocześnie w obu językach. W Kolumbii znalazłem się, gdy miałem sześć miesięcy. W domu był polski, a na ulicy hiszpański. Tata wykładał grę na klarnecie na uniwersytecie w Popayán. Wtedy, w 1982 r., wiele osób szukało możliwości zwiania z Polski. Kolumbia była dla nas Zachodem. Tyle że kiedy dolecieliśmy, to okazało się, że było trzęsienie ziemi i uniwersytet legł w gruzach. Przez pierwsze miesiące mieszkaliśmy przy klasztorze. Później, kiedy miasto się odbudowało, zaznałem siedem lat błogiego dzieciństwa. Tam był idealny klimat – 25 stopni przez cały rok, słońce wschodziło o godz. 8 i zachodziło równo o 20. Biegałem po ulicach, podwórkach, patiach i parkach, piłem soki z owoców i nigdy nie chorowałem. Nie czuję się jednak związany z tamtejszą kulturą, bo wyjechaliśmy, gdy byłem jeszcze dzieckiem. Żonę, Argentynkę, poznałem w Nowym Jorku, ale mieszkamy w Berlinie. Co ciekawe, moi dziadkowie poznali się w Buenos Aires, więc zatoczyliśmy koło.

Na potrzebę opisania twojego stylu muzycznego ukuto pojęcie „estetyka usterki".

Pomyłka jest częścią składową jazzu i muzyki improwizowanej. W muzyce klasycznej nie jest akceptowana. W jazzie mylisz się tylko wtedy, kiedy grasz nieszczerze. Ragtime'y grane na rozstrojonym pianinie brzmią zaś świetnie. Wiejscy muzykanci nie stroją skrzypiec i to nam nie przeszkadza. Dlaczego ma nam to przeszkadzać, kiedy słuchamy koncertu skrzypcowego Czajkowskiego? Lubię zadawać pytania. Na tym polega moja działalność.

Klasyka jest wciąż obecna w twojej twórczości.

Jest moją pasją. Najpierw nagrałem fugi na kasetofon, potem sonaty Beethovena przy użyciu słuchawek, a na koniec nokturny Chopina bez używania nut, czyli bez tekstu. Teraz chciałbym grać sonaty fortepianowe Mozarta, nie grając żadnej nuty zapisanej przez niego. To tak jakby na nowo napisać „Hamleta" bez użycia ani jednego słowa z oryginalnej historii. Poszukuję aury danego utworu. Jak myślę o nim, to odczuwam konkretną emocję, widzę jakiś kolor, czuję jakiś zapach. Chciałbym to uchwycić i to coś nagrać. Udawało mi się to podczas ćwiczeń, kiedy myśli uciekały mi w innym kierunku, a palce szły poza zapis nutowy. Zacząłem się zastanawiać, gdzie są granice danego utworu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9eadf03530

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Jak Hitler śmierci uniknął

★★★★★★

REŻ. ERIC BARBIER „OBIETNICA PORANKA" („LA PROMESSE DE L'AUBE") FRANCJA 2017

wyst. Charlotte Gainsbourg, Pierre Niney, Catherine McCormack

Oto jeden z paradoksów współczesności: im bardziej topnieje grono ludzi zainteresowanych twórczością XX-wiecznych literatów, tym chętniej grzebie się w ich życiorysach. Kto z państwa przeczytał ostatnio jakąś powieść autorstwa Romain Gary'ego – ręka w górę! Nie widzę, nie słyszę, jak mawiał marszałek sejmu niemego. Film traktujący o młodych latach francuskiego pisarza ktoś jednak obejrzy. A po wyjściu z kina może nawet sięgnie po wznowioną z tej okazji autobiograficzną „Obietnicę poranka".

Już same lokalizacje robią wrażenie: akcja zaczyna się w Wilnie, kończy w Meksyku. Po drodze mamy Niceę, Paryż, Londyn i północną Afrykę. Gary urodził się jako Roman Kacew i gdyby rodzicielka nie bujała w obłokach, zamiast szlifować francuskie bruki być może pisywałby w „Wiadomościach Literackich" i pijał kawę w Małej Ziemiańskiej.

Nina, typowa żydowska, nadopiekuńcza matka, rozpieszczała pierworodnego, wmawiając mu jednocześnie, że zostanie kimś wyjątkowym. Wirtuozem skrzypiec albo przynajmniej pisarzem klasy Victora Hugo. Roman kochał ją i czasem nienawidził. Niestety, pierwsza, „polska", część filmu jest najsłabsza. Wilno jawi się ponurą mieściną, zaludnioną przez biedaków, brutalnych policjantów oraz snobistyczną, żyjącą ponad stan elitę. Nic dziwnego, że pani Kacew zwinęła w końcu manatki i razem z synem (którego przezornie wychowała na francuskiego patriotę) udała się na Lazurowe Wybrzeże.

Miłość Niny i Romana do ojczyzny Woltera długo pozostawała nieodwzajemniona. Ona, by zarobić na bagietki, musiała udawać zrujnowaną rosyjską hrabinę. On, zanim poszedł na studia, zdołał spłodzić cztery powieści – zgodnie odrzucone przez wydawców. W apogeum kryzysu sudeckiego pani Kacew zażądała od syna, by pojechał do Berlina i zastrzelił Hitlera. Roman posłusznie kupił bilet na pociąg do Berlina (w jedną stronę), ale matka w ostatniej chwili przeraziła się, że może go stracić, i misję odwołała. Gdy rok później wybuchła wojna, nie miała żadnych wątpliwości co do jej wyniku. „Francja wygra, bo jest Francją" – mówiła, zupełnie jakby czytała ówczesne polskie gazety.

Choleryczka i marzycielka w jednym – taka rola to marzenie. Nic dziwnego, że Charlotte Gainsbourg kompletnie zepchnęła w cień resztę obsady, podobnie jak Greczynka Melina Mercouri, która grała Ninę w pierwszej ekranizacji „Obietnicy poranka" z 1970 r. O ojcu Romana niczego się stąd nie dowiemy. Portret matki jest aż nadto wyrazisty, ale czy aby zgodny z rzeczywistością? Z filmu wynika, że jeśli pisarz coś po niej odziedziczył, to skłonność do konfabulacji. ©℗

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „ANT-MAN I OSA"

Ciąg dalszy ciepło przyjętego „Ant-Mana" z 2015 r. i jednocześnie film nr 20 w kinowym wspólnym uniwersum produkcji na podstawie komiksów Marvela. Paul Rudd powraca jako użytkownik sprzętu do dowolnego zmieniania rozmiarów. U jego boku walczy też córka wynalazcy niezwykłego kombinezonu. Na drugim planie zobaczyć można Michelle Pfeiffer i Laurence'a Fishburne'a. Twórcy zdradzili też, że w filmie pojawią się informacje kluczowe dla fabuły „Avengers 4", murowanego hitu roku 2019. ©℗ ***Piotr Gociek***

- ***„Ant-Man i Osa", reż. Peyton Reed, wyst. Paul Rudd, Evangeline Lilly, Michael Douglas, USA 2018***

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- ***„Nieposłuszne", reż. Sebastián Lelio, Irlandia / Wielka Brytania 2017***
- ***„Rodziny się nie wybiera", reż. Dany Boon, Francja 2018***
- ***„Neapol spowity tajemnicą", reż. Ferzan Özpetek, Włochy 2017***
- ***„Węgierska robota", reż. Nimród Antal, Węgry 2017***

eprasa.pl 9eadf03530

Kozacy nadchodzą!

Tchórzostwo może być cnotą, zaś oszustwo fundamentem udanego związku – przekonują twórcy „Sztuki kłamania".

Jest rok 1809, kpt. Neuville wyrusza wraz z Napoleonem zmiażdżyć Austriaków. Po trzech latach wraca, struga bohatera i opowiada duby smalone o swych wyczynach w koloniach. Prawdę zna tylko panna Beaugrand, ale musi trzymać język za zębami, ponieważ to ona wymyśliła bajeczną wersję losów narzeczonego swej siostry. Tymczasem blagier jedzie po bandzie, zwłaszcza że naiwność prowincjuszy jest walutą, którą można zamienić na całkiem konkretne pieniądze.

„Sztuka kłamania" jest gatunkowym kundelkiem. Łączy w sobie wady i zalety francuskiej farsy oraz amerykańskiej komedii spod znaku wojny płci. Nietrudno zgadnąć, że kapitan jest szelmą, lecz nie łajdakiem, i w krytycznym momencie okaże nawet odrobinę odwagi, zaś jego wspólniczka w końcu przestanie strzykać żółcią i zachowywać się jak feministka z XXI w.

★★★★★★

REŻ. LAURENT TIRARD
„SZTUKA KŁAMANIA" („LE RETOUR DU HEROS")
FRANCJA 2018

wyst. Melanie Laurent, Jean Dujardin, Noémie Merlant

Jeśli film Tirarda odstaje od schematu, to jedynie w konsekwentnym zachwalaniu uroków amoralności. Przekręt zbliża ludzi, wierność małżeńska to dziwactwo, dezerter ma więcej oleju w głowie niż żołnierz idący jak owca na rzeź. Gdyby to obejrzała Jane Austen, rówieśniczka kapitana Neuville'a i panny Beaugrand, nie obeszłoby się bez soli trzeźwiących. ©℗

Wiesław Chełminiak

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

KSIĘŻNICZKA POKERA MA KŁOPOTY

Po ciężkiej kontuzji i przedwczesnym końcu kariery sportowej młoda ambitna narciarka musi zacząć życie na nowo. Utalentowana, uparta, błyskotliwa, mogłaby odnieść sukces w każdej branży. Dlaczego więc zabiera się do organizowania nielegalnych rozgrywek pokera na wysokie stawki? To pytanie tkwi w centrum filmowej biografii Molly Bloom, postaci autentycznej. Historię napisał i wyreżyserował Aaron Sorkin, twórca seriali „Prezydencki poker" i „Newsroom", scenarzysta m.in. „The Social Network". W roli głównej błyszczy Jessica Chastain, dobrze wypada grający jej prawnika Idris Elba, ciekawe są spostrzeżenia na temat natury hazardu oraz kulis funkcjonowania świata prawdziwych celebrytów i prawdziwych bogaczy. Jednak nieustanne kreowanie Molly na ofiarę męskiej opresji chyba bardziej oddala nas od prawdy, choć oczywiście jest bardzo na czasie i ładnie wygląda na ekranie. Zwłaszcza kiedy w sojusz z „księżniczką pokera" wchodzą króliczki „Playboya".

★★★★★★

REŻ. AARON SORKIN
„GRA O WSZYSTKO" („MOLLY'S GAME")
USA 2017, MONOLITH

wyst. Jessica Chastain, Idris Elba, Kevin Costner

CO MOŻE MAŁY CZŁOWIEK

Zaczyna się pysznie, bo od czarnej satyry: skandynawscy naukowcy zatroskani o przyszłość ludzkości opracowują rewolucyjny wynalazek – zmniejszają chętnych do rozmiarów Tomcia Palucha. Korzyści są oczywiste: teraz jedna krowa będzie mogła wykarmić tysiące chętnych, no i jaka oszczędność na wszystkim innym. Ochotników do życia w mikrospołecznościach przybywa, bo dolary zarobione w dużym świecie mają o wiele większą siłę nabywczą w małym. Pomniejszony Paul Safranek (Matt Damon) szybko odkrywa jednak, że samotność, społeczne nierówności i poczucie braku sensu życia są takie same niezależnie od rozmiarów. Całość robi wrażenie, jakby Payne, reżyser przecież wytrawny („Bezdroża", „Spadkobiercy"), po wpadnięciu na nośny pomysł kompletnie nie wiedział, co z nim dalej zrobić. Pazur satyry znika, a film zamienia się w pogadankę edukacyjną. ©℗ ***recenzuje Piotr Gociek***

★★★★★★

REŻ. ALEXANDER PAYNE
„POMNIEJSZENIE" („DOWNSIZING")
USA 2017, IMPERIAL

wyst. Matt Damon, Christoph Waltz, Hong Chau, Kristen Wiig

GRA TYGODNIA: „FAR CRY 5: LOST ON MARS"

★★★★★★

„Zagubiony na Marsie" to dodatek do wydanej w marcu popularnej strzelanki „Far Cry 5". Podobnie jak w podstawowej wersji również tutaj uświadczymy charakterystycznego czarnego humoru i operowania konwencją rednecków z amerykańskiej prowincji. Jedyna różnica polega na tym, że zamiast gdzieś w Montanie lądujemy przeniesieni w tajemniczy sposób na Czerwonej Planecie. Naszym celem jest powstrzymanie inwazji przypominających kraby obcych. Wszystko odbywa się w entourage'u filmów science fiction z przełomu lat 80. i 90. Są zatem komiksowe rodzaje broni, niewybredne żarty i otwarty świat, czekający na eksplorację. ©℗

Marcin Makowski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *FPS*
- ***Platforma:*** *PC/PS4/XONE*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Ubisoft*
- ***Klasyfikacja PEGI:*** *18*

eprasa.pl 9eadf03530

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Polak z wyboru

Nie będę daleki od prawdy, gdy założę, że na tysiąc Polaków zapytanych, kim był Harro Harring, prawidłowo nie odpowie żaden. Na 10 tys. – może jeden. Tym bardziej potrzebna była taka książka jak dr Krystyny Szayny-Dec, germanistki, która osobie i twórczości tego romantycznego artysty, bojownika o wolność narodów i wielkiego polonofila (!), a nawet – rzec można – patrioty polskiego, poświęciła ponad 10 lat swej naukowej działalności.

Zmieniający paszporty jak rękawiczki i nieustannie przemieszczający się z jednego państwa do drugiego, znający dziewięć języków Harro Paul Harring w istocie był piszącym po niemiecku obywatelem duńskim, a Polakiem – o czym świadczy przybranie przez niego z polska brzmiącego nazwiska Kazimirowicz – z wyboru.

Urodził się w 1798 r. niedaleko Husum, miasteczka leżącego w północnej Fryzji, wówczas należącego do Danii, a obecnie – od roku 1868 – do Niemiec, w obrębie Szlezwika-Holsztynu. Oboje rodzice pochodzili ze starych fryzyjskich rodzin chłopskich. Chłopcu przekazano poglądy wolnościowe i republikańskie, związane z rodzinnym kultem Napoleona, porzuconym jednak, gdy ten ogłosił się cesarzem. Ważnym faktem w tradycji rodzinnej było zastrzelenie w roku 1813 dziadka Harry'ego Harringa (ze strony matki) przez plądrujących okolicę Kozaków z przedniej straży koalicji antynapoleońskiej.

W tym samym roku Harro został konfirmowany, a cztery lata później wyruszył do Kopenhagi, by tam studiować w akademii sztuk. Później, przez lata, swoje nieustanne problemy finansowe minimalizować będzie malowaniem obrazów. Przez pewien czas

FOT. AUSTRIACKA BIBLIOTEKA NARODOWA

nie był zresztą zdecydowany, czy poświęcić się malarstwu czy literaturze. W każdym razie wyspecjalizował się – już na studiach w Dreźnie, gdzie kontynuował naukę – w batalistyce.

Także w Dreźnie, po nawiązaniu kontaktów z radykalnymi ruchami studenckimi, wykrystalizował się jego liberalny i demokratyczny światopogląd. I już w trakcie swej pierwszej podróży, do Wiednia, został zakwalifikowany przez władze jako „niebezpieczny demagog", skądinąd głównie z powodu noszenia zakazanego (!) czarnego ubioru – staroniemieckiego stroju korporacyjnego – i długich włosów.

Następnie pojechał do Grecji, by wziąć udział w toczonych tam walkach o wolność, stamtąd do Włoch, gdzie zaprzyjaźnił się m.in. z Thorvaldsenem (autorem warszawskich pomników Kopernika i księcia Poniatowskiego), by z kolei w Bawarii uzyskać mecenat Ludwika I i wystawić cieszącą się powodzeniem i na innych scenach sztukę „Mainoci". Nie skończyły się jednak jego kłopoty, i zdrowotne, i – znowu – z policją wiedeńską. W Pradze, gdzie zatrzymał się w swych peregrynacjach, zakochał się w arystokratce polskiego pochodzenia, Ludmile Wratislaw. Co strzeliło mu do głowy, by różnice stanowe między nimi wyrównać poprzez służbę w armii carskiej – trudno powiedzieć. Niemniej w 1828 r. pojawił się w Warszawie, gdzie po udanej mistyfikacji udało mu się dostać do korpusu oficerskiego. Niebacznie przy tym zrzekł się obywatelstwa duńskiego. Służba pod rozkazami księcia Konstantego skończyła się z chwilą, gdy stanął przed wyborem: albo kariera „dyplomatyczna", czyli szpiegostwo na rzecz Rosji w Neapolu, albo kazamaty na Syberii. Wybrał trzecie wyjście, pociągające za sobą bardzo poważne konsekwencje – dezercję.

Odtąd był ścigany przez Moskali jako ten, który zna tajemnice funkcjonowania rosyjskiej armii i służby bezpieczeństwa. Strach przed tajnymi agentami z Moskwy towarzyszyć mu będzie do końca życia i przeobrazi się w obsesję, która doprowadzi go do samobójstwa w wieku 72 lat. Wcześniej ten poetycki awanturnik zjedzie obie Ameryki i Australię, walcząc z wszelkimi możliwymi despotyzmami, nie tylko piórem. Przez 34 lata żyć będzie z kulą pistoletową w piersi, która utkwiła tam w wyniku pojedynku. Zyska uznanie Mazziniego, Everetta, Lelewela, młodego Henryka Ibsena, wroga znajdując natomiast w Karolu Marksie, a to dlatego, że zwalczał powstający właśnie komunizm, w którym postrzegał jedynie „bałamutny filozoficzny materializm i ateizm".

Wśród najważniejszych dzieł Harro Harringa Kazimirowicza wyjątkową rolę odgrywają powieść „Polak – o rozpaczy tego narodu pod rządami Rosji" i „Pamiętnik o Polsce pod rosyjskim panowaniem". A ostatni tekst publicystyczny, jaki napisze po angielsku, zatytułuje wymownie: „Do wrogów Polski". ©℗

★★★★☆

KRYSTYNA SZAYNA-DEC „NAJGROŹNIEJSZY AGITATOR SPRAWY POLSKIEJ"
BIAŁY KRUK 2018

eprasa.pl 9eadf03530

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Złapię cię, diable

Ludzie w większości wykazują cechy psychopatyczne i każdy z nas, jeśli zrobi coś złego, niezgodnego z prawem, po prostu chce pozostać bezkarny – tłumaczy Bogdan, jeden z bohaterów książki. – Z mojego doświadczenia wynika jednak, że wśród sprawców zabójstw najczęściej mamy do czynienia z mistrzami pierwszego kroku bokserskiego. Odwagę mają tylko na sam czyn. Później zaczyna się cwaniactwo". Często okazuje się, że to wystarcza. Zbrodnia zostaje nieukarana, sprawca niewykryty, choć wcale nie musi być geniuszem w ukrywaniu swoich śladów. Policjanci ze specjalnej krakowskiej jednostki zwanej potocznie Archiwum X wracają do takich spraw. W przyszłym roku minie 15 lat od utworzenia struktury, o której sukcesach donoszą czasem gazety.

Co jest kluczem do zwycięstwa sprawiedliwości po latach? Sztuka kojarzenia faktów pozornie od siebie bardzo odległych, umiejętność nieszablonowego myślenia i pomoc najnowszych technologii. I cierpliwość, której nie należy mylić z bezczynnością. „My pracujemy jak ludzie na wykopaliskach – rozkłada ręce Bogdan. – Ciągle wracamy do tych samych miejsc, świadków, do przebiegu zdarzeń. Kopiemy, drążymy, rozgrzebujemy jak archeolodzy. Czasami nawet używamy łopat i rękawiczek".

Osią opowieści w książce „Nie ma zbrodni bez kary" (drugiego tytułu w serii „Polskie Archiwum X", pierwszy ukazał się w 2016 r.) jest sprawa Krystyny S., krakowskiej studentki, której szczątki odnaleziono w 1999 r. „Niewinne słowo »szczątki« kryje makabryczną prawdę – z Wisły wyłowiona zostaje ludzka skóra" – przypomina wstęp. Polskie „Milczenie owiec"? Śledztwo wykaże, że nie jest to określenie na wyrost. W kolejnych rozdziałach opowieści o trwającym niemal dwie dekady dochodzeniu (sprawcę zatrzymano w roku 2017) głos zabierają eksperci, którzy na różnych etapach byli włączeni w sprawę. Jest więc okazja poznać inne kryminalne zagadki i zrozumieć specyfikę sprawy zabójstwa Krystyny S.

Nie wszystkie opowieści kończą się dobrze. Sprawa Marka N. (ataki na kobiety) trafiła przed sąd, ale zapadł zaskakująco niski wyrok. „Zrozumiałem, że w polskim wymiarze sprawiedliwości króluje schematyzm. Jeżeli sprawca nie pozostawi śladów wpisujących się w szablon dowodowy, jest uniewinniany, a sam proces nazywany jest poszlakowym. Szablon jest wygodny, bo nie trzeba myśleć, stąd jego popularność" – wyjaśnia Bogdan.

Dlaczego nie jestem zdziwiony? ©℗

★★★★☆☆

PIOTR LITKA, BOGDAN MICHALEC, MARIUSZ NOWAK „POLSKIE ARCHIWUM X. NIE MA ZBRODNI BEZ KARY" WAM 2018

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Odnaleziona po latach powieść niemieckiego pisarza urodzonego w Ełku. Czasy II wojny światowej, front wschodni. Młody niemiecki żołnierz odkrywa bezsens dalszej służby. Czy jednak ucieczka do Rosjan może coś zmienić?

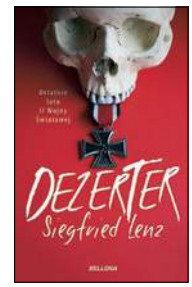

SIEGFRIED LENZ „DEZERTER" BELLONA

Mamy wbudowaną potrzebę współpracy, a jednocześnie także rywalizacji. Czy to nierozwiązywalny konflikt? Kiedy pożyteczne są negocjacje i ustępstwa, a kiedy gra na ostro? Spece od psychologii i zarządzania odpowiadają. Na przykładach.

ADAM GALINSKY, MAURICE SCHWEITZER „PRZYJACIEL I WRÓG" SMAK SŁOWA

Nowa książka autora zajmującej i pouczającej książki „36 forteli" ukazującej chińską psychologię konfliktu. Teraz Plebaniak, mieszkający na Tajwanie, przedstawia własny wybór cytatów i sentencji z literatury chińskiej.

PIOTR PLEBANIAK „STAROŻYTNA MĄDROŚĆ CHIŃSKA" ZYSK I S-KA

Świeżo awansowany inspektor Banks (jest już nadkomisarzem) sprawdza, co kryje się za zarzutami molestowania seksualnego postawionymi sędziwemu celebrycie. Sprawa korzeniami sięga rockandrollowych lat 60. 23. tom popularnej serii. ©℗

poleca Piotr Gociek

PETER ROBINSON „KIEDY UCICHNIE MUZYKA" SONIA DRAGA

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. ***Katarzyna Nosowska „A ja żem jej powiedziała" (Wielka Litera) – wokalistka Hey przedstawia swoje popularne felietony internetowe w wersji drukowanej.***
2. ***Anna Herbich „Dziewczyny z Wołynia" (Znak) – wstrząsające wspomnienia ocalałych z rzezi wołyńskiej. Książka autorki „Do Rzeczy".***
3. ***Remigiusz Mróz „Hashtag" (Czwarta Strona) – nowa powieść najpłodniejszego autora polskich kryminałów. O dziwnych zaginięciach i mocy Internetu.***
4. ***Heather Morris „Tatuażysta z Auschwitz" (Marginesy) – opowieść o Lale Sokołowie, który tatuował więźniom niemieckiego obozu numery na rękach.***
5. ***Olga Tokarczuk „Bieguni" (Wydawnictwo Literackie) – wznowienie powieści autorki „Ksiąg Jakubowych" sprzed 11 lat.***

(Najchętniej kupowane tytuły w księgarni internetowej Bonito.pl)

eprasa.pl 9eadf03530

FOT. ANNA ABAKO/EAST NEWS

Tango z prądem

Bandoneon, a więc instrument typowy dla tanga, przypominający akordeon, a do tego fortepian, gitara basowa, perkusja, a nawet ewi, czyli instrument nowoczesny, elektroniczny, który do ręki bierze czasem na swoich koncertach Maciej Maleńczuk. I u niego się sprawdza, ale żeby do tanga? Żeby z jakąś bezduszną elektroniką do tanga? Czy to może brzmieć, czarować, jak tango powinno? Kompozycje Jerzego Petersburskiego, na czele z evergreenem „To ostatnia niedziela" w wykonaniu Mieczysława Fogga (do słów Zenona Friedwalda) – to jest tango!

To, co prezentuje Warsaw Tango Group, to też jest tango. I użycie instrumentu zasilanego akumulatorkami litowo-jonowymi lub innymi bateriami – „paluszkami", a także innych nieoczywistych wcale nie odziera ich tanga z godności. Nadaje nowe brzmienie, które może się podobać.

Projekt stworzyli: Urszula Borkowska (fortepian/instrumenty programowane), Klaudiusz Baran (bandoneon), Marcin Świderski (saksofony/ewi), Michał Przybyła (gitara basowa), Marcin Słomiński (perkusja). Na płycie „Warszawskie tango elektryczne" zaśpiewała Katarzyna Dąbrowska, dla której śpiew nie jest pierwszym zawodem. Jest nim aktorstwo. Zresztą bywała za nie nagradzana, ostatnio zajmując drugie miejsce w plebiscycie „Telekamery 2018". Co więcej, sprawdza się nie tylko na teatralnej scenie – jako wokalistka także może się podobać, a do kompozycji Warsaw Tango Group jej głos pasuje.

Tango z prądem nie jest polskim wynalazkiem, na świecie sprzedaje się nieźle. Wspomnieć można choćby argentyńsko-francuski zespół Gotan Project, którym zresztą polska grupa się inspiruje. W polskim wydaniu też jest jednak dobrze, słucha się bardzo przyjemnie, no i crème de la crème – czyli występy na żywo, na których można nie tylko słuchać, lecz także podziwiać tancerzy – jest na wyciągnięcie ręki. ©℗

Radosław Wojtas

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Najpopularniejszy debiut w historii

W lipcu 1987 r. ukazała się debiutancka płyta zespołu, który na przełomie dziewiątej i dziesiątej dekady uosabiał istotę muzyki rockowej. Po roku, czyli 30 lat temu, album dotarł na szczyt amerykańskiej listy. Do dziś sprzedano ponad 30 mln egzemplarzy.

Guns N' Roses żyli wedle maksymy: „Sex, drugs & rock'n'roll". Płyta przyniosła pięć wielkich przebojów. Afery, kłótnie, nihilizm, wielkie pieniądze i przytłaczająca swym ogromem sława sprawiły, że już po sześciu latach jedynym oryginalnym członkiem zespołu był Axl Rose. Kolejny album Guns N' Roses wokalista przygotowywał 15 lat!

Zremasterowane wznowienie „Appetite" ukazało się jako box „Locked N' Loaded" (4 CD, 7 LP, Blu-ray, 96-stronnicowa książka, cena 4 tys. zł) oraz Super Deluxe (4 CD + Blu-ray, cena 710 zł). Ja polecam dwukompaktową wersję wzbogaconą o 18 nagrań ze stron B singli, nagrań koncertowych i archiwalnych. Zwłaszcza że kosztuje zaledwie 55 zł.

Piosenki wprawdzie nieco się zestarzały, ale i tak zawarta w nich energia bije na głowę wszystko to, co dziś króluje na listach przebojów. Niestety rock w swej klasycznej formie od dawna przestał interesować masowego odbiorcę. ©℗

★★★★★☆

GUNS N' ROSES „APPETITE FOR DESTRUCTION" GEFFEN

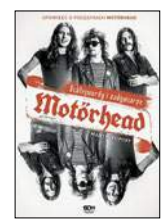

★★★☆☆

MARTIN POPOFF „MOTÖRHEAD – – OCHLEJMORDY I ZADYMIARZE" SQN5

Dla zatwardziałych fanów. Autor skupił się jedynie na dokonaniach najsłynniejszego składu grupy, czyli do roku 1983. Opowieść oparta jest głównie na barwnych wypowiedziach Lemmy'ego, Phila Taylora i Eddiego Clarke'a.

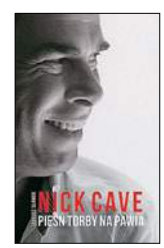

★★★★★☆

NICK CAVE „PIEŚŃ TORBY NA PAWIA" BIURO LITERACKIE

Zapiski wokalisty z wojaży po USA poczynione na samolotowych torbach na pawia. Momentami zabawna kronika podróży balansująca między prozą, poezją i piosenką. Czyta się świetnie dzięki tłumaczeniu Tadeusza Sławka. ©℗

eprasa.pl 9eadf03530

CZYTAJ CO TYDZIEŃ W LEPSZEJ CENIE

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY"

PAKIET KSIĄŻEK PIOTRA GOĆKA „ANALFABET III RP" ORAZ „DEMOKRATOR"

+

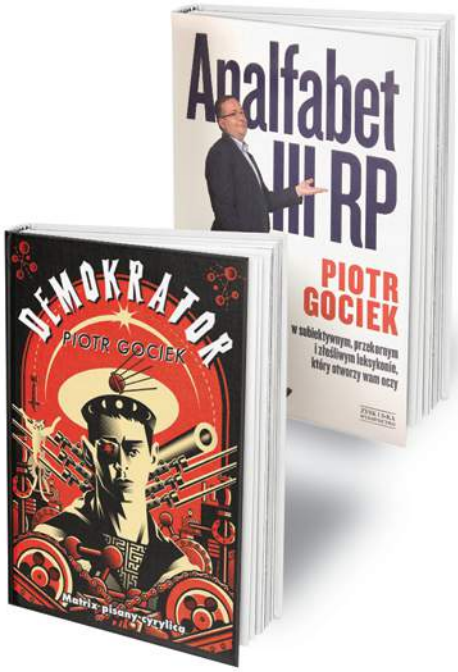

Cena: 151 zł
Oszczędność: 118 zł

MANTA
Polska firma rodzinna

PRENUMERATA ROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY"

+

W PREZENCIE PAKIET DO KUCHNI: SMOOTHIE BLENDER MANTA 350W SBL920 I BLENDER RĘCZNY MANTA 700W HBL931 + POJEMNIK

Cena: 299 zł
Oszczędność: 218 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 9eadf03530

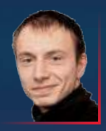

Z Kornelem Morawieckim, marszałkiem seniorem Sejmu, przewodniczącym koła poselskiego Wolni i Solidarni
rozmawia Maciej Pieczyński

Rosja nie prowadzi agresywnej polityki

FOT. PAWEŁ WIŚNIEWSKI/EAST NEWS

MACIEJ PIECZYŃSKI: Dlaczego pan – bohater opozycji antykomunistycznej – sprzeciwia się dekomunizacji?

KORNEL MORAWIECKI: Jestem zdecydowanym zwolennikiem dekomunizacji. Sprzeciwiam się jedynie burzeniu pomników sowieckich, bo to z prawdziwą dekomunizacją nie ma nic wspólnego.

Przecież to są pomniki sowieckiej okupacji.

Armia Czerwona uratowała nas przed zagładą biologiczną. Niemcy chcieli Polaków unicestwić, Rosjanie – „tylko" zniewolić. To jednak zasadnicza różnica. Przecież sami nie pokonaliśmy Hitlera – spod niemieckiej okupacji wyzwolili nas Sowieci. Oczywiście, przynieśli nową okupację…

Siergiej Markow, polityk Jednej Rosji, doradca Putina, w rozmowie ze mną określił sowiecką okupację Polski mianem „pozytywnej okupacji".

Żadna okupacja nie jest pozytywna. Żaden naród, a już naród polski na pewno, nie zasługuje na to, by jego prawo do wolności było podważane. Okupacja sowiecka była bardzo zła, przez dziesięciolecia nie mogliśmy mówić prawdy. Zmowa milczenia panowała nawet w sprawie ludobójstwa wołyńskiego, mimo że przecież Sowieci walczyli z banderowcami.

W wywiadzie dla rosyjskiej agencji informacyjnej RIA Novosti ubolewał pan, że polskie media i polscy politycy nastawiają Polaków przeciwko Rosjanom…

W tej samej rozmowie zaznaczyłem, że również rosyjskie władze i rosyjskie media nastawiają Rosjan przeciwko Polakom. Tę krzywdę wyrządzamy sobie nawzajem. To przykre, że nieporozumienie psuje relacje z dwoma największymi narodami w regionie.

To nieporozumienie nie pojawiło się wczoraj. Przez kilkaset lat regularnie bywaliśmy ofiarami rosyjskiej agresji.

Proszę spojrzeć na ostatnie ćwierćwiecze. Czy my się sami wyzwoliliśmy spod sowieckiej okupacji? A może Ukraińcy wyzwolili się sami? ZSRS rozpadł się praktycznie bez jednego wystrzału. Proszę pokazać mi drugi taki przypadek w historii, kiedy wielkie imperium bez walki pozwoliło się odłączyć zniewolonym narodom! Czy to Solidarność obaliła Związek Sowiecki?! Wolne żarty. Nawet nie miała takiego zamiaru. Oczywiście, komuniści sami dostrzegli korzyść w transformacji ustrojowej, faktem jednak jest, że pozwolili ciemiężonym narodom odzyskać wolność.

Teraz Władimir Putin odbudowuje jednak imperium. Nie obawia się pan agresywnej polityki Rosji?

Rosja nie prowadzi agresywnej polityki.

Jak to? A wojna na Ukrainie?

To w pewnym sensie wojna domowa, zderzenie dwóch racji.

Po stronie jednej z nich interweniuje Rosja.

A my wspieramy drugą stronę. Nawet jeśli nie bezpośrednio, to wysyłamy tam sprzęt.

Kto jednak pierwszy rzucił kamieniem? Przecież to nie Ukraina napadła na Rosję.

eprasa.pl 9eadf03530

Na Krymie kamieniem rzucili Rosjanie, ale wcześniej w Kijowie obalono demokratycznie wybranego prezydenta Janukowycza, który na prorosyjskim wschodzie i południu kraju miał ogromne poparcie. Oczywiście, odbieranie sąsiedniemu państwu jego terytorium to łamanie prawa międzynarodowego, ale oprócz tego jest też prawo ludów do samostanowienia. Krym został przejęty przez Rosjan bez walki. Ukraińskie wojsko przeszło na stronę Moskwy. Mieszkańcy Krymu wyrazili swoją wolę w referendum.

Które było nielegalne.

Nielegalne, bo Kijów się nie zgodził. Moim zdaniem było ono jednak demokratyczne. Chociaż pewności nie ma, bo nie było tam ani europejskich obserwatorów, ani polskich…

Poza Mateuszem P., który teraz jest sądzony za szpiegostwo na rzecz Rosji. Tak czy inaczej wojna na Ukrainie to nie pierwszy konflikt wywołany przez Rosję Putina. Wcześniej była wojna w Gruzji, jeszcze wcześniej pacyfikacja Czeczenii. Putin po prostu używa siły militarnej do prowadzenia polityki…

Co do Gruzji, to właściwie nie wiadomo, kto tę wojnę zaczął. Rosjanie zagarnęli Abchazję i Osetię Południową,

eprasa.pl 9eadf03530

które miały przyznany przez ONZ specjalny status. Nie zabrali ani piędzi pozostałych ziemi gruzińskich.

Jednak siłą naruszyli integralność terytorialną sąsiedniego państwa.

Przepraszam, ale czy myśmy – jako Zachód – nie użyli siły w Libii czy Iraku?! Przecież pierwszą bezprawną korektą granic w powojennej Europie było utworzenie Kosowa!

To prawda, ale z polskiego punktu widzenia najważniejsze jest to, co dzieje się w naszym regionie. A tu agresywną politykę prowadzi akurat Rosja, z którą sąsiadujemy.

Rosja nie ma żadnego interesu w tym, żeby użyć siły militarnej przeciwko Polsce. Rosjanie od czterech lat bronią się rękami i nogami, żeby tylko nie zająć Doniecka, to cóż dopiero mówić o agresji na Polskę!

W rozmowie z RIA Novosti stwierdził pan, że Polska jest „naturalnym pomostem" między Rosją a Zachodem i że ten pomost jest trwalszy niż omijające Polskę gazociągi na dnie Bałtyku. Jednak właśnie powstanie Nord Stream 1 i planowana budowa Nord Stream 2 to najmocniejsze dowody na to, że Rosja w interesach z Zachodem nie potrzebuje polskiego pośrednictwa.

Gazociąg Północy to efekt fatalnej polityki wschodniej Warszawy. Rosjanie chcieli przeprowadzić drugą nitkę Jamalu przez Polskę. Myśmy się na to nie zgodzili, bo gazociąg miał iść nie przez Ukrainę, tylko przez Białoruś. Gdybyśmy nie postawili interesów Kijowa ponad naszymi, Rosjanie nie musieliby się dogadywać z Niemcami. A teraz będziemy przepłacać za amerykański gaz. Brak poprawnych relacji z Rosją stale nam szkodzi. Chińczycy, którzy jeszcze rok temu zamierzali budować swój jedwabny szlak do Europy przez Polskę (przeładunkowy hub pod Łodzią), dogadują się z Rosjanami i Niemcami, by to Kaliningrad stał się głównym węzłem przesyłowym na Zachód.

Jak widać, Rosjanie świetnie sobie bez nas i wbrew nam radzą. Po co mieliby chcieć uczciwej współpracy z Polską?

Polacy w ogóle są potrzebni światu. Pomogliśmy Rosjanom obalić komunizm.

Tym bardziej więc na Kremlu mogą się obawiać, że będziemy chcieli pomóc w obaleniu czy choćby zatrzymaniu Putina.

Nie trzeba obalać Putina. To demokratycznie wybrany prezydent.

Hitler też doszedł do władzy w rezultacie demokratycznych wyborów.

Nie można ich porównywać. Hitler miał inne cele…

Agresywne, imperialne cele. To ich łączy. Hitler zaczął od aneksji Austrii, rozbioru Czechosłowacji… Putin rozpętał wojnę w Czeczenii, Gruzji, na Ukrainie… W każdym z tych konfliktów to Rosja była agresorem, nie odwrotnie.

Powtarzam: w 1991 r. Rosja pozwoliła na odzyskanie niepodległości byłym republikom upadającego ZSRS.

Utworzenie państwa związkowego z Białorusią i działania wobec Gruzji czy Ukrainy pokazują, że Moskwa dąży do odbudowy imperium. Nie obawia się pan, że zechce również odzyskać wpływ na dawnych satelitów, w tym na Polskę?

Chciałbym, żebyśmy sami decydowali o swojej polityce. Moskwa nie ma interesu w militarnej agresji na Polskę, ale oczywiście boję się, że Niemcy zdominują nas gospodarczo, a Rosjanie – politycznie. Dlatego musimy prowadzić odważną i odpowiedzialną politykę zagraniczną. Niestety, na relacje z Rosją nie mamy żadnego pomysłu. Ukraińcom natomiast pozwoliliśmy stawiać pomniki gloryfikujące morderców.

Rosjanie od czterech lat bronią się rękami i nogami, żeby tylko nie zająć Doniecka, to cóż dopiero mówić o agresji na Polskę!

Rosjanie też stawiają pomniki Armii Czerwonej – również mordercom Polaków. A nawet wymagają od nas, byśmy sami je stawiali.

Kult Armii Czerwonej to kult pogromców faszyzmu, nie ma wymiaru antypolskiego.

Tak jak kult Bandery to kult antykomunistycznego podziemia.

Na Ukrainie czci się SS-Galizien! Nie przypominam sobie, by w analogiczny sposób Rosjanie chełpili się współpracą z Hitlerem.

W rozmowie z rosyjskim dziennikarzem ubolewał pan nad tym, że pański syn w exposé pominął relacje z Rosją i że nie pogratulował Putinowi reelekcji…

To był błąd pana premiera.

Próbował pan przekonać syna do swoich racji?

Oczywiście. Na ten temat rozmawiamy od dawna. Pan premier, podobnie jak prezes Kaczyński, tłumaczy mi, że Rosjanie chcą sobie Polskę podporządkować…

Pan w to jednak nie wierzy.

A dlaczego miałbym swojemu synowi nie wierzyć? Tym bardziej premierowi! Ależ wierzę. Jedno drugiemu nie przeczy. Jeśli Rosja chce nas sobie podporządkować, to tym bardziej powinniśmy starać się utrzymać z nią jak najlepsze relacje, by nie dopuścić do konfliktu. Tymczasem nasza polityka zagraniczna sprowadza się niestety do odgrywania roli marionetki Waszyngtonu.

Pańskim zdaniem zbliżenie z Rosją wzmocniłoby Polskę na arenie międzynarodowej. W jaki sposób?

Europa traci swoją moc. Mogłaby ją odzyskać, gdyby połączyła się z Rosją. Jeśli do tego nie dojdzie, to wielki potencjał Syberii z czasem wpadnie w ręce Chin. Tylko w połączeniu z Rosją i jej ogromnym potencjałem Europa może stać się światową potęgą – w sensie duchowym, gospodarczym, militarnym. Tylko taki sojusz zapobiegnie ostatecznie groźbie kolejnej wojny światowej z udziałem broni jądrowej, która doprowadziłaby do zniszczenia podstaw cywilizacji.

Jest pan zwolennikiem unii eurazjatyckiej od Lizbony do Władywostoku?

Tak, ale to powinna być po prostu Unia Europejska z Rosją w składzie.

Przecież to zupełnie różne światy.

Wspólnym mianownikiem są korzenie, kultura chrześcijańska.

Trudno porównywać laicko-katolicką Europę do prawosławnej Rosji. Po jednej stronie demokracja, liberalizm, tolerancja, po drugiej – wielowiekowa tradycja rządów silnej ręki, dla Zachodu nieakceptowalna.

Oczywiście, na rosyjską mentalność wpłynęły stulecia niewoli tatarskiej. Dzisiaj jednak w Rosji panuje demokracja, odbywają się wolne wybory… W czym rosyjska demokracja istotnie odbiega od europejskich standardów?!

eprasa.pl 9eadf03530

W tym chociażby, że główny rywal urzędującego prezydenta trafił za kratki tuż przed wyborami...

Tak czy inaczej werbalnie Rosja opowiada się za demokracją. To nie jest kraj muzułmański. Typowo zachodnia liberalna demokracja panowała w Rosji za Jelcyna i doprowadziła ten kraj do wielkiego kryzysu społeczno-gospodarczego. Co to za demokracja, w której rządzi pieniądz?! Czy ludziom Zachodu odpowiada taki model rządzenia?

Co dobrego może Rosja zaoferować Zachodowi pod względem wartości, niezależnie od gospodarki?

Wschód jest bardziej solidarny, przyjazny ludziom...

Chyba że ci ludzie działają w antyputinowskiej opozycji – wtedy już nie jest taki przyjazny.

Proszę pamiętać, że w Rosji wciąż można mówić, co się chce. Prężnie funkcjonuje chociażby stowarzyszenie Memoriał, które i nam pomaga odkrywać prawdę o komunistycznych zbrodniach. To właśnie dzięki historykom Memoriału dowiedzieliśmy się prawdy o operacji polskiej, sowieckim ludobójstwie Polaków (1937–1938). Rosjanie w mniejszym stopniu utożsamiają się z ideologią komunistyczną niż Ukraińcy z banderyzmem.

Stwierdził pan, że ewentualne spotkanie Duda-Putin pomogłoby w odzyskaniu wraku tupolewa. Sam pan jednak przyznaje, że Rosjanom nie opłaca się oddawać szczątków prezydenckiego samolotu, bo za ich pomocą mogą wpływać na naszą politykę wewnętrzną. W jaki więc sposób Duda mógłby nakłonić Putina do zwrotu wraku?

Mimo wszystko nie przywiązywałbym takiej wagi do szczątków tupolewa. I tak niczego nowego o tej katastrofie się nie dowiemy. Nie róbmy z już rozkradzionego wraku tupolewa jakiejś narodowej relikwii.

Przecież obóz rządzący właśnie to robi. Smoleńsk wciąż jest punktem honoru dla polityków PiS. Nie ma pan wrażenia, że gdyby tę sprawę w jakiś sposób ostatecznie zamknięto, relacje polsko-rosyjskie uległyby poprawie jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki?

Wrak tupolewa naprawdę nie jest kluczową sprawą w naszych wzajemnych relacjach. Natomiast jeżeli chodzi o ewentualne spotkanie prezydenta Dudy z prezydentem Putinem, to na pewno już sam fakt spotkania przybliżyłby nas do rozwiązania wzajemnych problemów. Moim zdaniem jednak nie powinni rozmawiać o wraku, tylko o geopolityce. Być może polski prezydent powinien przejąć inicjatywę i przedyskutować z Putinem ewentualność przeprowadzenia uczciwego referendum na Krymie? Oczywiście, w ten sposób narazilibyśmy się Ukrainie i USA, ale przecież i tak Rosja już nigdy z półwyspu nie zrezygnuje, ktoś więc musi ten węzeł przeciąć. Moglibyśmy wykazać się inicjatywą.

Konsekwencje wizerunkowe byłyby dla nas katastrofalne. A do tego zero gwarancji, że w zamian cokolwiek od Rosji uzyskamy.

Uzyskamy polepszenie relacji z Rosją, a to jest nam bardzo potrzebne zarówno pod względem gospodarczym, jak i politycznym. A jeśli to jest zbyt ryzykowne, to powinniśmy chociażby przestać burzyć pomniki sowieckich żołnierzy. Już to byłby wielki gest wobec Rosji.

Nie boi się pan, że Rosjanie tego gestu nie docenią? I zamiast palca wezmą całą rękę, uznając symbolicznie moralną wyższość nad nami?

Czy zauważył pan, jak w 2006 r., na początku prezydentury Lecha Kaczyńskiego, Władimir Putin wykonał przyjazny gest wobec Polski. Podczas jednej z konferencji prasowych stwierdził, że jest pełen podziwu i szacunku dla narodu polskiego za jego umiłowanie wolności, którego owocem była Solidarność. Te słowa były wielką zmianą w porównaniu z poprzednimi latami. Pomyślałem wówczas, że nareszcie mamy prezydenta, który cieszy się autentycznym szacunkiem na Kremlu. Nie to co komsomolec Kwaśniewski, którego Rosjanie nazywali swoim „poputczikiem", nie to co agent Wałęsa. To był wyraźny gest, że Putin chce nawiązać kontakt z nową władzą, że chce podjąć konstruktywny dialog z Lechem Kaczyńskim. Rozmawiałem wówczas na ten temat z Adamem Lipińskim i próbowałem go przekonać, że trzeba odpowiedzieć jakimś równie symbolicznym gestem. Proponowałem, by polski premier czy prezydent publicznie docenili rosyjskie ofiary poniesione w bohaterskiej walce z faszyzmem. Nie wiem, czy Adam przekazał tę moją propozycję dalej, ale faktem jest, że żaden gest ze strony polskiej nie został wykonany. Wielka szkoda.

Na początku prezydentury Lecha Kaczyńskiego Władimir Putin wykonał przyjazny gest wobec Polski

Stanisław Stremidłowski z rosyjskiej agencji informacyjnej Regnum zaproponował, by Polska i Rosja opracowały własną „doktrynę Monroego". W skrócie – byśmy podzielili się strefami wpływów na obszarze dawnej Rzeczypospolitej i dawnego Imperium Rosyjskiego. To bardziej zawoalowana wersja wysuniętej przez Żyrinowskiego propozycji rozbioru Ukrainy. Co pan na to?

To byłoby nierozsądne. Nie chodzi o budowanie regionalnych mocarstw ani o podziały stref wpływów. Moja wizja jest zupełnie inna: powinniśmy zjednoczyć Europę w jednej wielkiej przestrzeni gospodarczo-kulturowej. Szczególnie że dotychczasowa formuła integracji wyczerpuje się, potrzebna jest więc nowa jakość...

Czyli powinniśmy uznać dyktat Moskwy zamiast Brukseli?

Nie. Absolutnie nie. Nie chodzi o to, by Brukselę podporządkować Moskwie czy na odwrót. To ma być prawdziwa jedność. Rosja powinna przyciągnąć do współpracy narody byłego ZSRS, natomiast Polska powinna zachęcić do tworzenia tej przestrzeni państwa Europy Zachodniej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

O Rosji na łamach „Do Rzeczy":

- **Tomasz Kwaśnicki** – „Słoń w salonie" – 23 lipca 2018 r.
- **Andrzej Talaga** – „O Rosji realnie" – 9 lipca 2018 r.
- **Piotr Semka** – „Rosja – mroczny obiekt pożądania" – 25 czerwca 2018 r.
- **Stanisław Żaryn** – „Atakowani po kryjomu" – 25 czerwca 2018 r.
- **Rafał A. Ziemkiewicz** – „Kwadratura Rosji i Niemiec" – 11 czerwca 2018 r.
- **Tomasz Kwaśnicki** – „Ameryka nie kocha Polski" – 21 maja 2018 r.
- **Piotr Gursztyn** – „Kreml nie chce zgody" – 12 września 2016 r.

eprasa.pl 9eadf03530

Paweł Lisicki

Komu przeszkadza Benedykt XVI

Emerytowany papież rozważa podstawę dialogu chrześcijańsko-żydowskiego. Czy krytykuje też Jana Pawła II?

Być może nigdy jeszcze nie zdarzyło się tak, żeby długi i trudny teologiczny tekst wywołał tak szybką i powszechną reakcję. I to do tego w mediach co się zowie masowych. W tym przypadku chodzi o lipcowy artykuł Josepha Ratzingera, emerytowanego papieża Benedykta XVI, zamieszczony na łamach międzynarodowego czasopisma teologicznego „Communio" pod – z punktu widzenia zwykłych czytelników – dość enigmatycznym i niewinnym tytułem: „Łaska i powołanie bez skruchy". Tekst liczy dwadzieścia stron. Stanowi, z formalnego punktu widzenia, komentarz do prac watykańskiej komisji zajmującej się dialogiem z judaizmem, na której czele stoi niemiecki kardynał Kurt Koch. To właśnie on namówił emerytowanego papieża do publikacji. I tym samym przyczynił się, nieświadomie zapewne, do rozpętania prawdziwej burzy.

OTWARCIE DROGI DLA ANTYSEMITYZMU

Wprawdzie szaleje ona na razie na łamach najważniejszych niemieckich gazet – sążniste artykuły i polemiki ukazały się we „Frankfurter Allgemeine Zeitung", „Neue Zürcher Zeitung" oraz „Die Zeit", a także na dużych portalach internetowych – można być jednak pewnym, że wkrótce spór przeniesie się również poza granice krajów używających języka niemieckiego. Nic dziwnego. Wszystko wskazuje bowiem na to, że Joseph Ratzinger bardzo wyraźnie zakwestionował obowiązującą od kilkudziesięciu lat zasadę dialogu chrześcijańsko-żydowskiego, zgodnie z którą przymierze Boga z Izraelem nigdy nie zostało odwołane. Chociaż większość tekstu Benedykta XVI nie odbiega od tonu wielu watykańskich i papieskich wypowiedzi dotyczących judaizmu z ostatnich lat, to jednak jego zakończenie stanowi ogromne zaskoczenie. Można je bowiem, i tak zrobili krytycy, odczytać jako jawną polemikę z naukami Jana Pawła II.

Do tej pory tekst Benedykta XVI najmocniej zaatakował berliński rabin Walter Homolka, według którego artykuł papieża można uznać za otwarcie drogi dla antysemityzmu. W przemówieniu wygłoszonym w Monachium z okazji 70-lecia Towarzystwa Współpracy Chrześcijańsko-Żydowskiej Homolka stwierdził, że w artykule buduje się tożsamość chrześcijańską kosztem żydowskiej: „Kto opisuje judaizm w sposób, w jaki to zrobił [Benedykt XVI], przyczynia się do powstania fundamentu dla nowego antysemityzmu na chrześcijańskiej podstawie". Również inni dialogiści okazują zaniepokojenie, rozczarowanie i niechęć. Według Gregora Marii Hoffa, profesora teologii z Salzburga i jednocześnie konsultora watykańskiej komisji do dialogu z judaizmem, Benedykt XVI relatywizuje przesłanie Soboru Watykańskiego II i otwiera drogę do nowego antyjudaizmu. W podobnym duchu skrytykował papieża prowincjał jezuitów w Szwajcarii, Christian Rutishauser, według którego tekst uderza w zasady nauki Kościoła na temat judaizmu, wprowadza niepotrzebny zamęt i podważa osiągnięcia dialogu z Żydami.

NIGDY NIEODWOŁANE PRZYMIERZE

Nie da się zrozumieć tych tak ostrych reakcji, jeśli nie zna się kontekstu całej debaty katolicko-żydowskiej. W pewnym sensie najważniejszym jej punktem, chciałoby się powiedzieć – szczytem i ukoronowaniem, była deklaracja Jana Pawła II skierowana do Żydów w Moguncji 17 listopada 1980 r. Mówił tam, że „pierwszy wymiar" dialogu chrześcijaństwa z judaizmem polega na „spotkaniu między ludem Bożym nigdy przez Boga nieodwołanego Starego

eprasa.pl 9eadf03530

FOT. MONDADORI PORTFOLIO/GETTY IMAGES

Przymierza (Rz 11, 29) i [ludem] Nowego Przymierza".

Mimo że wypowiedź ta miała charakter okolicznościowy, zawarte w niej sformułowanie stało się szybko swoistym kamieniem węgielnym nowych relacji z judaizmem. Wraz ze słynnym cytatem z mowy wygłoszonej przez Jana Pawła II w rzymskiej synagodze w 1986 r., gdzie zwracał się do Żydów jako do „naszych starszych braci w wierze" i gdzie mówił, że „religia żydowska nie jest dla nas czymś »zewnętrznym«, lecz w pewnym stopniu należy do »wnętrza« naszej religii", uformowała nowe podejście Kościoła i miała kluczowy wpływ na uznanie przez przedstawicieli Kościoła historycznej odpowiedzialności za Holocaust.

Te dwie rzeczy idą w parze już od czasów prac soborowych. Z jednej strony Kościół uznaje swoje historyczne winy przynajmniej za antyjudaizm i w efekcie antysemityzm, z drugiej systematycznie dowartościowuje religię żydowską i Żydów.

Właśnie dlatego słowa o „nigdy nieodwołanym przez Boga przymierzu" można było uznać za swoisty przewrót. Można je było odczytać, i tak zostały powszechnie przyjęte, za deklarację równowartości religii żydowskiej z chrześcijańską. Jak wielkie miały znaczenie nie tylko dla uczestników spotkań międzyreligijnych, pokazuje fakt, że przestały być one częścią okolicznościowych wystąpień, a stały się fragmentem katechizmu Kościoła katolickiego: „Stary Testament jest nieodłączną częścią Pisma Świętego. Jego księgi są natchnione przez Boga i zachowują trwałą wartość, ponieważ Stare Przymierze nigdy nie zostało odwołane" (art. 121). Tyle tylko że niezależnie od entuzjazmu, jaki sformułowanie to wzbudziło w kręgach zwolenników dialogu, i niezależnie od lawiny pochwał dla wypowiadającego je wówczas w 1980 r. papieża, zawiera ono wyjątkowo wiele niejasności. Ba, z punktu widzenia zarówno historycznego, jak i logicznego wydaje się ono trudne do obrony.

KŁOPOT Z NOWYM TESTAMENTEM

Z punktu widzenia historycznego oczywistą rzeczą jest, że wszelkie znane nam dzisiaj przekazy wyraźnie mówią o tym, że zarówno sam Jezus, jak i jego uczniowie w pierwszej kolejności zwracali się z posłaniem religijnym do ludu Starego Przymierza, a więc do Żydów. Co więcej, zwracali się do nich, domagając się przyjęcia nowej wiary i uznając, że nieposłuszeństwo tożsame jest z utratą Bożej łaski. Sam Pan Jezus mówił, że […] „został posłany tylko do owiec, które zginęły z domu Izraela" (Mt 15, 24). Brak przyjęcia tego posłania ściąga Boży gniew. Ewangelia Mateusza wyraźnie opisuje wysłanie Dwunastu, którzy mieli iść z nauką „do owiec, które poginęły z domu Izraela". Jak miała wyglądać ta misja? „Wchodząc do domu, przywitajcie go pozdrowieniem. Jeśli dom na to zasługuje, niech zstąpi na niego pokój wasz; jeśli zaś nie zasługuje, niech pokój wasz powróci do was! Gdyby was gdzie nie chciano przyjąć i nie chciano słuchać słów waszych, wychodząc z takiego domu albo miasta, strząśnijcie proch z nóg waszych! Zaprawdę, powiadam wam: Ziemi sodomskiej i gomorejskiej lżej będzie w dzień sądu niż temu miastu" (Mt 10, 13-15).

Tak samo jednoznaczne są słowa skierowane przez Piotra w jego pierwszym wystąpieniu do Żydów po zesłaniu Ducha Świętego w Jerozolimie. Gdy ci pytają go i innych apostołów: „Cóż mamy czynić, bracia?", ten odpowiada wyraźnie: „Nawróćcie się – powiedział do nich Piotr – i niech każdy z was ochrzci się w imię Jezusa Chrystusa na odpuszczenie grzechów waszych, a weźmiecie w darze Ducha Świętego" (Dz 2, 37-39).

Całe Dzieje Apostolskie pokazują, że w pierwszej mierze apostołowie kierowali się do ludu Starego Przymierza i że pozostawanie w Starym Przymierzu bez przyjęcia Nowego było traktowane przez nich jako jaskrawy przejaw nieposłuszeństwa wobec Boga! To samo mówił św. Paweł w swoich listach, w tym w najdłuższym i najważniejszym – do Rzymian. Jego słowa o tym, że Bóg nie zapomniał swego przymierza, to w żadnej mierze nie jest przejaw uznania dla

eprasa.pl 9eadf03530

niewiary i usprawiedliwienie ślepoty. Mimo tego, że lud Starego Przymierza odrzucił w większości posłanie Boże, Bóg zachował wierność – powołał do życia nowy Izrael, Kościół, i obiecał, że u kresu czasów również Żydzi nawrócą się na wiarę w Chrystusa. Wierność Staremu Przymierzu bez uznania Chrystusa jest według Pawła „przestępstwem, ślepotą, upadkiem, buntem". Bóg nie odrzucił swego ludu, bo wśród Żydów są również ci, którzy przyjęli Nowe Przymierze: „Czyż Bóg odrzucił lud swój? Żadną miarą! I ja przecież jestem Izraelitą, potomkiem Abrahama, z pokolenia Beniamina."! Ja – Paweł, który uwierzyłem w Chrystusa i dałem się ochrzcić!

Nie mniej poważne są trudności logiczne. Gdyby przyjąć, że przynależność do Starego Przymierza wystarczy do zbawienia, wówczas chrześcijaństwo traciłoby swój uniwersalizm. Wówczas słuszność posłania religijnego zależałaby od krwi, pochodzenia, narodowości czy rasy. Okazałoby się, że Żyd ze względu na swoje pochodzenie ma inne obowiązki religijne niż nie-Żyd, tak jakby nie potrzebował on chrześcijańskiego posłania. A co zrobić z Żydami, obecnie jest to przecież zdecydowana większość, którzy religii przodków nie wyznają? Wyszłoby też na to, że zachowanie Starego Przymierza nie musi pociągać za sobą uznania dla Nowego. Byłoby to dokładnie coś odwrotnego do tego, czego Kościół wcześniej zawsze nauczał: Stare Przymierze spełnia się i dokonuje w Nowym, bo Jezus był mesjaszem przepowiedzianym w Starym.

ZNACZNY STOPIEŃ NIEDOKŁADNOŚCI

Mimo tych zarzutów słowa o „nigdy nieodwołanym Starym Przymierzu" stały się częścią niemal powszechnie obowiązującej, praktycznie relatywistycznej doktryny. I to właśnie ich znaczeniem zajął się Benedykt XVI. Stwierdził wprawdzie, że „obie tezy – że Izrael nie został zastąpiony przez Kościół, a Przymierze nie zostało odwołane – są co do zasady słuszne", ale dodał od razu, że „są one w znacznym stopniu niedokładne i należy je rozważyć krytycznie". To się nazywa zaskoczenie! To, co wydawało się oczywiste i co od 1980 r. stało się przez niemal 40 lat zdobyczą dialogu chrześcijańsko-żydowskiego i podstawą nieustannych kajań się i przeprosin katolików, okazuje się „w znacznym stopniu niedokładne"!

Najważniejsze twierdzenia Benedykta XVI pojawiają się pod koniec tekstu, w czwartym podrozdziale, gdzie krytyczny namysł prowadzi go do podważenia powszechnego w posoborowym Kościele rozumienia sensu dialogu. Doskonale tę nowość rozumowania Ratzingera wychwycił autor „FAZ", który pisze, że według Ratzingera „formuła polskiego papieża" nie obowiązuje, gdyż nie opisuje ona właściwie sensu odmowy posłuszeństwa ze strony wyznawców judaizmu. „Tak, miłość Boga jest niezniszczalna. Ale do historii Przymierza między Bogiem a ludźmi należy też ludzkie odrzucenie, zerwanie przymierza i jego wewnętrzne konsekwencje: zniszczenie świątyni, rozproszenie Izraela, wezwanie do pokuty, które czyni człowieka na nowo zdolnym do wejścia w przymierze" – pisze Benedykt XVI. W tym przypadku nie ma wątpliwości, że emerytowany papież ma na myśli Nowe Przymierze, „we krwi Jezusa", które to nadaje Staremu przymierzu z Synaju [zawartemu z ludem żydowskim] „nową i na zawsze ważną postać". Nie ma tu mowy o pozostawaniu w Starym Przymierzu, jakby wraz z przyjściem Chrystusa nic się nie wydarzyło, jakby dwa przymierza – z Żydami i w krwi Chrystusa – miały taką samą wartość. Nie. To pierwsze prowadzi do drugiego. To pierwsze, z punktu widzenia zbawienia, nie wystarcza.

Nie ma mowy o pozostawaniu w Starym Przymierzu, jakby wraz z przyjściem Chrystusa nic się nie wydarzyło, jakby dwa przymierza miały taką samą wartość. Nie. To pierwsze prowadzi do drugiego

DLACZEGO DOPIERO TERAZ

Cztery rzeczy wydają się godne uwagi tak w samym tekście emerytowanego papieża, jak i w nerwowych reakcjach na niego. W artykule musi uderzać to, że pierwszy raz od czasów Soboru, a więc od dokumentu „Nostra aetate", papież pisze o tym, że brak wiary w Chrystusa ze strony Żydów był nieposłuszeństwem, zerwaniem Przymierza, że pociągał za sobą historycznie dającą się uchwycić karę – zburzenie świątyni i rozproszenie. To obraz znacznie bliższy rozważaniom św. Augustyna niż współczesnym, posoborowym teologom.

Po drugie, Benedykt nie uległ presji holokaustianistów. Zgodnie z ich rozumieniem (pokazałem to dokładnie w książce „Krew na naszych rękach?") współcześni chrześcijanie nie mają prawa pisać o niewierności Izraela, nie wolno im też przedstawiać religii żydowskiej w krytycznym świetle. Skoro, jak uważają, chrześcijanie przyczynili się do antysemityzmu, a antysemityzm stał się źródłem największej zbrodni w dziejach, to dzisiaj chrześcijanie nie mają prawa krytykować Żydów i ich religii. Każda taka próba musi zostać przez holokaustianistów – a to oni opanowali większość stowarzyszeń i instytucji zajmujących się dialogiem, niezależnie od wyznaniowej przynależności – uznana za podważenie status quo i za „otwieranie drzwi do nowego Holokaustu".

Po trzecie, co wprost wynika z tego, co tu napisałem, można się teraz spodziewać kolejnej fali presji na ponad 90-letniego emerytowanego papieża. Już teraz wielu publicystów i teologów twierdzi, że tekst w ogóle nie powinien się ukazać, że był zbyteczny, że przeznaczono go na użytek wewnętrzny watykańskiej komisji, że błąd popełniła redakcja „Communio", publikując go bez właściwej redakcji, czyli takiej, która pozbawiłaby artykuł ostrza i sensu. Poczekamy, zobaczymy.

I wreszcie pytanie ostatnie, może najważniejsze. Dlaczego Joseph Ratzinger dopiero teraz zabrał w taki sposób głos w tej sprawie? Dlaczego te jego rozważania nie znalazły się właśnie w samym Katechizmie w czasie, kiedy to był przecież prefektem Kongregacji Nauki Wiary? Aż się prosiło, żeby wtedy zareagować, żeby wtedy wytłumaczyć, jak to uczynił obecnie, że nie wolno rozumieć formuły o „nigdy nieodwołanym przymierzu" w taki sposób, jakby obok Nowego Przymierza istniało równoległe wobec niego, równoważne i równowartościowe Stare Przymierze z Żydami? Dlaczego nie opublikował takich „krytycznych rozważań" w czasie, kiedy przez osiem lat, między rokiem 2005 a 2013, zasiadał na stolicy Piotra? Czy naprawdę jest już tak źle, że na krytykę dialogu chrześcijańsko-żydowskiego można sobie pozwolić dopiero na emeryturze u schyłku życia?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9eadf03530

WOJCIECH KUJAWA

HISTORIA EWY I JERZEGO STOLARSKICH

A miało być tak pięknie...

eprasa.pl 9eadf03530

Ksiądz Mieczysław Mielecki udziela ślubu Ewie Piaszczyńskiej i Jerzemu Stolarskiemu, 28 sierpnia 1944 r. FOT. AIPN

A miało być tak pięknie...

Ewa z domu Piaszczyńska i Jerzy Stolarscy należeli do generacji młodzieży urodzonej i dorastającej w niepodległej Rzeczypospolitej, do pokolenia, które „dojrzewało w blasku wolności". Jerzy urodził się 15 kwietnia 1921 r., a dwa lata później, 30 maja, na świat przyszła Ewa. Pochodzili ze stosunkowo zamożnych warszawskich rodzin. Niemiecki ród Mannów, z którego wywodziła się Ewa, z dziada pradziada był właścicielem fabryki narzędzi chirurgicznych Alfons Mann, a ojciec Jerzego – Edward – odnosił sukcesy w bankowości.

Pierwszych kilkanaście lat życia upłynęło im beztrosko. Uczęszczali do najlepszych stołecznych szkół średnich: Ewa – do Państwowego Gimnazjum i Liceum im. Królowej Jadwigi, Jerzy – do Państwowego Gimnazjum i Liceum im. Adama Mickiewicza. U progu dorosłości zamierzali kontynuować naukę na studiach wyższych. Jednak wybuch II wojny światowej brutalnie zweryfikował ich życiowe plany i całkowicie zmienił dotychczasowe postrzeganie otaczającego ich świata.

We wrześniu 1939 r., zgodnie z wartościami wyniesionymi z domów rodzinnych, szkół i harcerstwa, oboje włączyli się w organizację pomocy zarówno dla żołnierzy Wojska Polskiego, jak i uchodźców z zachodniej części kraju. Na początku lat 40. zostali zaprzysiężeni w 3. Batalionie Pancernym Armii Krajowej „Golski" oraz rozpoczęli współpracę z Delegaturą Rządu na Kraj.

Ewa i Jerzy poznali się prawdopodobnie w 1937 r. na lekcjach tańca. Początkowo traktowali siebie wyłącznie po koleżeńsku. Ich uczucia rozkwitły dopiero w warunkach konspiracyjnych, w trudnym wojennym okresie. Nieustępliwe starania Jerzego przyniosły upragniony przez niego rezultat i 15 czerwca 1944 r. młodzi ogłosili swoje zaręczyny. Na koniec dnia pisał do narzeczonej: „Nie mogę spać, nie mogę leżeć, głowa mi płonie i serce wali. Dzisiaj! Co za cudny dzień! Jest za parę minut północ – za chwilę skończy się dzień, nasz dzień – zaręczyny [...]. Świat jest piękny! Ewo – kocham Ciebie". Ślub planowali dopiero po odzyskaniu wolności, lecz wojna zweryfikowała życiowe decyzje.

1 sierpnia wyznaczono im różne punkty zborne. Nadeszły długie dni – pełne niepewności, lęku i oczekiwania. Dopiero w połowie miesiąca odnaleźli się w rejonie Politechniki Warszawskiej. W grudniu 1944 r. Ewa w liście do Jerzego tak wspominała moment ich spotkania:

eprasa.pl 9eadf03530

„Było to przed blisko pół rokiem – sierpień, szesnasty, środa […]. Do rana, do ostatniej chwili, nie jestem pewna, czy on wróci. Około 6.30 idę do Adama [Konopczyńskiego]. Nie mam odwagi zapukać, myślę, że chyba nie przyszli wcale. Nasłuchuję pod drzwiami, czy nie słychać ich głosów […]. Z głębi korytarza, z otwartych drzwi pokoju jadalnego wyskakuje najmilszy mój. Padamy sobie w ramiona […] i tulimy się bez pamięci". Dotychczasowe przeżycia oraz niepewność jutra przyspieszyły datę ślubu. Po uzyskaniu zgody ich dowódcy i naczelnego kapelana AK 28 sierpnia, w budynku Wydziału Architektury PW, stanęli na ślubym kobiercu. „Weszliśmy na korytarz eleganckim marszem pod rękę – pisała panna młoda. – Cała ceremonia odbyła się b[ardzo] uroczyście […]. Byłam b[ardzo] wzruszona, że mogę najdroższemu w obliczu Boga, kapelana i świadków wypowiedzieć słowa przysięgi małżeńskiej: Ja, Ewa Zofia, biorę sobie Ciebie Jerzego Tadeusza za męża i ślubuję Ci miłość i wiarę małżeńską, i to, że Cię nie opuszczę aż do śmierci. Potem wzruszający moment, gdy kapłan mówi: »Wszystkich tu obecnych biorę na świadków, że małżeństwo to w obliczu Boga zostało zawarte« itd. Najbardziej byłam wzruszona na końcu tej ceremonii, kiedy kapelan odszedł od ołtarza, nam szepnęła Dorota, byśmy się trochę pomodlili – wtedy uklękliśmy i mnie ścisnęło za gardło, że o to po raz pierwszy modlę się do Boga, by mi mojego męża zachował".

Nie było im dane długo cieszyć się z rozpoczęcia wspólnego życia. Po kapitulacji powstania oboje trafili do stalagów, najpierw do tego samego – XB Sandbostel, lecz już 18 grudnia Ewę wywieziono do Stalagu VI C Oberlangen. Jerzy zanotował w dzienniku: „Od wczesnego ranka wypatruję przez druty w kierunku bramy. Chłopców z kawą nie dopuścili. Nie ma żadnych wiadomości. Wreszcie widzę ruszającą kolumnę, wychodzą z boku na główną ulicę – gdzieś, w którejś czwórce, maszeruje moja najdroższa, jedyna na świecie Ewuśka. Wytężam wzrok – idą, idą. Boże, strzeż! Boże, prowadź! Mario, chroń ją i oszczędzaj. Gardło ściśnięte, łzy cisną się do oczu. Wyjechała…".

W obozach przebywali do zakończenia wojny. Po wyzwoleniu mieli nadzieję, że będą mogli prowadzić spokojne, wspólne życie. Jednak ich czas spędzony razem ponownie okazał się bardzo krótki. W maju 1945 r. Ewa i Jerzy spotkali się w Oberlangen, a już miesiąc później ona wyjechała do Wielkiej Brytanii na przeszkolenie w Pomocniczej Lotniczej Służbie Kobiet. W tym czasie Jerzy wstąpił w szeregi II Korpusu we Włoszech. Kolejny raz przyszło im na papier przelewać swoją miłość i tęsknotę. W pierwszą rocznicę ślubu Jerzy pisał do żony: „I oto […] święto nasze, największe w roku, musimy spędzać rozłączeni o setki kilometrów od siebie. Doskonale zdaje sobie sprawę z tego, co czujesz w tym dniu, jak bardzo tęsknisz i marzysz. Może Bóg pozwoli, że w przyszłym roku będziemy już rocznicę naszą obchodzili razem". Jego marzenie tym razem szczęśliwie szybko się ziściło.

W lipcu 1946 r. wraz z żołnierzami gen. Władysława Andersa znalazł się w Wielkiej Brytanii, gdzie czekała na niego Ewa. Odtąd, o ile pozwalały obowiązki, każdego dnia dzielili ze sobą smutki i radości. Stanęli teraz przed dylematem, który dręczył wszystkich żołnierzy PSZ na Zachodzie: wracać do zniewolonego kraju czy pozostać na obczyźnie. Na ich decyzji o powrocie zaważyło kilka czynników. Najważniejsze okazały się sprawy rodzinne. W Polsce mama Jerzego – Janina – w tym czasie pochowała męża i sama borykała się z trudami powojennego dnia codziennego. Jerzy, który z oczywistych względów nie mógł wziąć udziału w ostatniej drodze ojca, w kwietniu 1947 r. rozżalony pisał do teściów: „O samych Świętach [Wielkanocnych] i związanych z nimi tradycjach staraliśmy się zapomnieć. Trudno mi było się pogodzić z myślą, że Matka moja jest zupełnie sama w domu, a że od dłuższego czasu nie mieliśmy wiadomości od niej, więc i niepokoiłem się bardzo". Miesiąc później, na statku z repatriantami „Eastern Prince", Ewa i Jerzy przybili do nabrzeża w Gdyni.

Ewa i Jerzy Stolarscy w drugą rocznicę ślubu, Belford, sierpień 1946 r. FOT. AIPN

W kraju mogli cieszyć się względną stabilizacją życiową. Nareszcie zamieszkali razem – w domu rodzinnym Jerzego w podwarszawskim Bukowcu – znaleźli satysfakcjonującą pracę, a uciążliwe dojazdy do stolicy osłodziło kupno starego motocykla, którego pieszczotliwie nazwali Kubą.

Złowrogie echa przeszłości odezwały się dwa lata później. W poniedziałkowy wieczór, 28 lutego 1949 r., do drzwi zapukali funkcjonariusze UB. Przewieziono ich do MBP przy ul. Koszykowej w Warszawie, a po kilku dniach – do więzienia mokotowskiego. Zarzucono im m.in. pomaganie gestapo w likwidowaniu działaczy komunistycznych, co oczywiście było ewidentną nieprawdą. Ewa przez całe dochodzenie starała się chronić Jerzego i nie obciążać go swoimi zeznaniami. „Mimo ciężkiego śledztwa nie była wtedy załamana – wspominała jej towarzyszka niedoli Teodora Żukowska. – Najgorszą chwilę na Mokotowie przeżyła, gdy w czasie śledztwa zorientowała się, że Jurek był w pokoju obok. Przez otwarte okno poznała jego głos, który echem odbijał się od ściany »piekiełka« […]. Śledczy bił ją z całych sił, a ona zaciskała zęby, żeby nie wydać z siebie żadnego głosu. Zdawała sobie sprawę, że chcą go jej krzykiem zaszantażować". W grudniu 1950 r., po blisko dwóch latach brutalnych przesłuchań, Ewa usłyszała wyrok 15 lat pozbawienia wolności. Pół roku później znalazła się w centralnym więzieniu dla kobiet w Fordonie koło Bydgoszczy.

Od momentu aresztowania w lutym 1949 r. nie miała żadnych wieści o mężu. Tymczasem osadzono go w celi razem z więźniem cierpiącym na gruźlicę, którą szybko się zaraził. 30 lipca 1950 r. Jerzy zmarł wskutek rozsianej prosówkowej gruźlicy płuc i zapalenia opon mózgowych. Rodzina, mimo że wiedziała o jego śmierci, nie miała odwagi przekazać Ewie tej tragicznej wiadomości. Doskonale zdawała sobie sprawę, jak ciężko zniesie śmierć męża. Dopiero w grudniu 1951 r., dzięki usilnym zabiegom, Ewa została oficjalnie poinformowana przez władze więzienne o zgonie Jerzego. Tydzień później z Fordonu pisała do teściowej: „Teraz wiem już wszystko, wiem, że ukochany nasz jest wolny, wolny na zawsze […]. Łączę się z Tobą w bólu, ale musisz

eprasa.pl 9eadf03530

wiedzieć, że dla mnie on nie umarł, żyć będzie w mojej myśli, w sercu i w duszy tak długo, jak ja żyć będę. W Tobie czcić będę i kochać matkę tego, który był moim szczęściem. I Tobie przysięgam, że nie opuszczę Cię aż do śmierci, tak jak jemu przysięgałam w dniu ślubu. Mamusiu, proszę pamiętaj, że masz we mnie córkę, staraj się przeżyć i doczekać mojego powrotu". Niestety, Janina nie doczekała wyjścia synowej na wolność – zmarła w 1955 r. Nie była to jednak jedyna tragedia, która dotknęła Ewę podczas jej pobytu w więzieniu. W tym czasie odszedł również jej ojciec Edmund. „Myślał o Tobie bardzo dużo, lecz wyraźnie obawiał się mówić na Twój temat. Było to zbyt bolesne! Śmierć Jurka odczuł bardzo głęboko i stracił swój humor, pogodę ducha i wyraźnie załamał się. […] Było nam obojgu coraz ciężej i coraz trudniej pogodzić się z losem […]. Bardzo jestem o Ciebie niespokojna, za dużo ciosów spada na Ciebie, a przecież trzeba wytrwać" – pisała po jego śmierci mama Ewy – Maria Piaszczyńska.

W sierpniu 1952 r. Ewę przewieziono do oddziału o zaostrzonym rygorze więzienia w Inowrocławiu. Kilka miesięcy spędziła w izolatce, odcięta od jakichkolwiek informacji ze świata zewnętrznego, książek, a przede wszystkim kontaktów z rodziną. Po trzech latach powróciła do Fordonu, skąd wyszła w maju 1956 r. Pierwsze miesiące na wolności były niezwykle trudne. Wspomniana już Teodora Żukowska podawała, że „była chora fizycznie i psychicznie, niezdolna do życia. […] Była jak rekonwalescentka, która po długiej chorobie powoli wraca do zdrowia. Jeszcze przez kilka lat po wyjściu z więzienia truchlała na odgłos dzwonka do drzwi, traciła głowę, gdy ją coś zaskakiwało, nawet jeśli to było radosne zdarzenie. Nie wolno było także w jej obecności wymawiać imienia Jurka".

Na wolności Ewa nie miała już serca do nauk ścisłych, o których przecież marzyła od młodzieńczych lat, jeszcze z Jerzym. Bez niego i rodzinnej fabryki, która została znacjonalizowana, nie widziała sensu podążania tą ścieżką kariery. W 1965 r. ukończyła bibliotekoznawstwo, z którym związała całe swoje życie zawodowe. Życia prywatnego natomiast już sobie nie ułożyła: nigdy więcej nie wyszła za mąż, nie miała dzieci. Do swojej śmierci w 2007 r. celebrowała pamięć Jerzego.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wojciech Kujawa

Autor jest absolwentem Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. i pracownikiem Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej w Warszawie.

Zdjęcie sygnalityczne Ewy Stolarskiej wykonane w MBP, Warszawa, 1949 r. FOT. AIPN

Zdjęcie sygnalityczne Jerzego Stolarskiego wykonane w MBP, Warszawa, 1949 r. FOT. AIPN

Album Wojciecha Kujawy „A miało być tak pięknie… Historia Ewy i Jerzego Stolarskich" ukaże się na początku sierpnia 2018 r. nakładem Instytutu Pamięci Narodowej. Jest to wyjątkowa publikacja, która przedstawia biografie Ewy i Jerzego Stolarskich – przedstawicieli pokolenia urodzonego w latach 20. w niepodległej Polsce, którego plany i marzenia skomplikowały, a z czasem także zrujnowały, wydarzenia wojenne i powojenne. Ta wzruszająca, osobista historia pokazuje wielką odwagę, miłość i wolę życia, ale również ogromną tragedię młodych ludzi. Losy Stolarskich jak w soczewce skupiają doświadczenia i przeżycia wielu polskich rodzin.

Publikacja została przygotowana głównie na podstawie przyjętych do zasobu Archiwum IPN – w ramach projektu Archiwum Pełne Pamięci – dokumentów i fotografii przechowywanych przez długie lata w domowym archiwum. Niewątpliwie skłania to do refleksji, ile jeszcze nieodkrytych kart historii kryją zapomniane szuflady w mieszkaniach milionów Polaków.

eprasa.pl 9eadf03530

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Pochwała Rumunii

Wbrew obiegowym opiniom o Polakach nie wyssałem antysemityzmu z mlekiem matki. Natomiast faktem jest, że z dziecinnych lat wyniosłem niechęć zmieszaną z poczuciem wyższości wobec Rumunii i Rumunów.

Wszystko przez to, że w moim rodzinnym mieście – Otwocku – mianem Rumunii określało się pobliski Karczew, który uchodził za zabitą dechami wiochę. Mieszkańcy Karczewa to byli Rumuni. O Karczewie-Rumunii opowiadano sobie wiele dowcipów, których kanwą było zazwyczaj istnienie niemiło pachnących zakładów przetwórstwa drobiowego. To był taki nasz lokalny Wąchock, nad którym pastwiliśmy się tym zacieklej, im bardziej ich Mazur Karczew gromił nasz OKS Otwock.

W roku 1986 jechałem do Grecji przez Rumunię. W tych czasach rumuńskie dzieci żebrały o słodycze, a biseptol był handlowym hitem w kraju pozbawionym absolutnie wszystkiego. Kiedy jednak w małej wsi od naszej przyczepy odpadło koło i wydawało się, że nasza wyprawa jest zakończona, natychmiast otoczono nas opieką. Raz, dwa znalazł się jakiś spawacz, który za kilka paczek papierosów Kent przymocował koło do ośki, a nas w tym czasie goszczono arbuzami i mamałygą. To było dobre wspomnienie.

Drugi raz pojechałem do Rumunii w 2006 r. już jako dorosły człowiek i bez przyczepy (uff!). Z poboczy zniknęły hasła wychwalające socjalizm, ale czasem znikały też same drogi. W knajpach dość regularnie nas oszukiwano, toteż w końcu czmychnęliśmy do Serbii. Ale uroda kraju była olśniewająca.

W zeszłym roku poleciałem do Kluż-Napoka (rum. Cluj-Napoca) – wyrazy szacunku dla LOT za świetne połączenie – i wypożyczyłem tam samochód. Nikt nigdzie nie próbował mnie oszukać. Drogi były zadbane. Żebrzące dzieci wyrosły i zaczęły pracować. Wszędzie witała mnie dobra angielszczyzna (co np. na Węgrzech jest rzadkością). Wsie były zadbane i bezpieczne. Domowa palinka ze śliwek rozkosznie wypalała gardło.

I teraz znowu jestem w Rumunii. Jakoś mnie tu ciągnie. Aż miło popatrzeć, w jakim błyskawicznym tempie rozwija się ten kraj. Energia aż buzuje. Cywilizacyjny skok nie oznacza tu jednak odcięcia się od własnej tradycji. Wieś nie wstydzi się tego, że jest wsią, i nie stara się udawać miasta. Drewniane chaty buduje się wciąż według tego samego wzoru, podobnie cerkwie – tyle że jest to teraz wymuskane i zadbane. Ludzie w Maramuresz chodzą w strojach ludowych i takich śmiesznych małych kapelusikach, ale one są jednak mniej śmieszne niż czapki bejsbolówki.

Rumunia jest skazana na turystyczny sukces. Nie dość, że tu pięknie, to jeszcze tanio. Warto przyjechać, zanim nastolatki z Birmingham zaczną w gospodach organizować swoje wieczory kawalerskie. Na razie jest pusto i gospodarze w nocy robią dżem na rano. Chociaż licho wie, ile to jeszcze potrwa. ©℗

MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Wąż a sprawa polska

No i nareszcie! Parlamentarzyści wyjeżdżają na wakacje, zatem czeka nas miesiąc spokoju i wypoczynku. Miejsce debat i protestów zajmą na jakiś czas wiadomości o ciekawostkach przyrodniczych – yeti, potwór z Loch Ness, Trójkąt Bermudzki.

Nie będziemy gorsi, obecnie cały kraj szuka pytona tygrysiego, sześciometrowego gada, który, podobno, czai się w chaszczach gdzieś nad Wisłą. Pesymiści twierdzą, że to samica, gotowa się rozmnożyć, wskutek czego niewykluczone, że jesienią setki dusicieli ruszą w Polskę, dezorganizując pracę wielu obwodowych komisji przy wyborach samorządowych. Wyobrażają sobie państwo to polowanie – władza rzuci przeciw wężom Wojska Obrony Terytorialnej, opozycja oddziały szturmowe KOD i Obywateli RP.

Pojawienie się pytona wskazuje na możliwość wybuchu nowej gigantomachii

Dobrze, że trwają wakacje sejmowe, bo łatwo sobie wyobrazić te spory na temat, kto winien? Władza wyjaśniłaby, że węża wyhodowało osiem ciężkich lat rządów koalicji PO-PiS, a sam gad upasł się na przekrętach VAT-owskich, opozycja zaś twierdziłaby, że jest to dzieło narodowej ksenofobii i PiS-owskiej propagandy, co wszystko wyolbrzymia, nie dziw więc, że wyolbrzymiła także węża. Klub Kukiz oświadczyłby, że rzekoma wylinka to makatka maskownicza, pod którą ukrywał się pluton małych zielonych ludzików z kraju ościennego. A PSL zażądałoby w trybie natychmiastowym dopłat bezpośrednich dla rolników, których może poszkodować wielki gad. Z Torunia popłynęłyby wezwania o zbiorową pokutę, nie od dziś wiadomo, kim jest wąż i co robi w naszym raju.

Badacze mitów i legend twierdzą, że pojawienie się pytona wskazuje na możliwość wybuchu nowej gigantomachii. W pewnym sensie potwierdza to widzenie pewnej emerytki spod Konstancina, której we śnie objawił się gigantyczny wąż o twarzy pani sędzi Gersdorf i z długim ogonem zakończonym kitką Mateusza Kijowskiego. ©℗

eprasa.pl 9eadf03530

Na pierwszym planie gen. Jan Podhorski, żołnierz Narodowych Sił Zbrojnych, powstaniec warszawski ps. Zygzak. W Powstaniu Warszawskim walczył w szeregach pułku NSZ im. gen. Władysława Sikorskiego. Urodzony w wielkopolskim Budzyniu, mieszka w Poznaniu. Skończył właśnie 96 lat FOT. PIOTR GRZYBOWSKI/SE/EAST NEWS

Odsiecz z Wielkopolski

Wojciech Wybranowski

Wysiedlani ze swoich posiadłości, domów w całym Kraju Warty, uciekający do Generalnego Gubernatorstwa przed aresztowaniami i egzekucjami Wielkopolanie w sierpniu 1944 r. – niczym ich ojcowie w 1918 r. – chwycili za broń na ulicach Warszawy w boju o Niepodległą

10 września 1939 r. wczesnym przedpołudniem pierwsze niemieckie wojska – w tym oddział rozpoznawczy 148. Pułku Grenzschutzu – docierają pod Poznań. Już wiedzą, że polskie wojska opuściły stolicę Wielkopolski, zostali w niej tylko cywile, wśród nich liczna mniejszość niemiecka owacyjnie witająca wkraczających najeźdźców. Wielu z tych „niemieckich sąsiadów", nie mogąc wybaczyć Wielkopolanom zwycięskiego powstania, które w grudniu 1918 r. wybuchło w Poznaniu, a które poskutkowało powrotem ziem wielkopolskich do Polski, już w pierwszych dniach nowej okupacji będzie przygotowywać listy proskrypcyjne zawierające nazwiska uczestników powstania wielkopolskiego, rodzin ziemiańskich, inteligencji, polskich społeczników i księży.

12 września 1939 r. do Poznania wkraczają esesmani Einsatzgruppe VI, a dwa dni później nad Wartę przybywa Arthur Greiser, niemiecki naczelnik Kraju Warty. Miesiąc później na terenie Fortu VII w Poznaniu powstaje pierwszy na ziemiach okupowanej Polski niemiecki obóz koncentracyjny KL Posen [zamordowano w nim ok. 20 tys. osób – przede wszystkim Wielkopolan – przyp. red.], a w mieście i regionie zaczynają się prześladowania, aresztowania oraz wywózki osób uznanych za zagrożenie dla III Rzeszy. Tylko do połowy marca 1941 r. Niemcy z utworzonego m.in. na ziemiach Wielkopolski Kraju Warty przesiedlili do GG ponad 280 tys. Polaków i Żydów; wielu z nich walczyło później w Lubelskiem i Świętokrzyskiem w oddziałach AK i NSZ. Niejeden z tych, którzy trafili do Warszawy i jej okolic, chwycił za broń w Powstaniu Warszawskim.

FYRAJ, SZWABIE, ZEZ STOLICY

W czerwcu poznaniacy uhonorowali – nadaniem jego imienia jednemu z miejskich skwerów – wybitnego chirurga dr. Józefa Granatowicza, twórcę i pierwszego dyrektora poznańskiego Szpitala Miejskiego im. Franciszka Raszei. W trakcie robotniczego powstania w Czerwcu '56, kierując tą placówką, udzielał pomocy poznaniakom rannym w walkach z komunistyczną władzą. Wielu z nich uratował przed aresztowaniem, polecając szpitalnemu personelowi fałszowanie kart chorób przyjętych na oddział chirurgiczny z ranami postrzałowymi.

Jednak niewielu dziś wie, że dr Józef Granatowicz w 1944 r. w ogarniętej powstaniem stolicy bohaterską interwencją

eprasa.pl 9eadf03530

ocalił życie co najmniej kilkudziesięciu warszawiaków. – Ojciec urodził się w Moguncji, ale po wojnie polsko-bolszewickiej, w której walczył jako ochotnik, przeniósł się do Poznania i zaczął pracować w Klinice Chirurgicznej Uniwersytetu Poznańskiego. We wrześniu 1939 r. wywiózł z niej transport radu, by pierwiastek nie dostał się w ręce niemieckie, i przez Puszczę Kampinoską przewiózł go do dowództwa obrony stolicy – dzieli się z nami wspomnieniami o wojennych losach dr. Józefa Granatowicza jego syn Stefan Granatowicz. Dodaje: – Wrócił jeszcze do Poznania, ale tam już poszukiwało go gestapo, więc uciekł do Krakowa, a kilka miesięcy później znów trafił do Warszawy.

W okupowanej stolicy poznański chirurg pracował w szpitalu Omega przy Al. Jerozolimskich, ściśle współpracując przy tym z polskim podziemiem. Do znamiennego w skutkach wydarzenia doszło w ostatnich dniach powstania. Odpoczywający po przeprowadzonej operacji dr Józef Granatowicz miał, słysząc niemieckie krzyki, wołania personelu i osób cywilnych ustawionych pod murem na podwórzu, podbiec do dowodzącego niemieckim oddziałem oficera, żądając natychmiastowego przerwania przygotowań do rozstrzelania.

– Niemiec zdębiał na widok Polaka w zakrwawionym fartuchu, który zaczął wydzierać się na niego płynną niemczyzną. Zaczął ojca przepytywać, skąd aż tak dobrze zna niemiecki, i od słowa do słowa okazało się, że ów oficer podobnie jak mój tata urodził się w Mainz, mieszkał w bliskim sąsiedztwie i chodził do tej samej szkoły – opowiada Stefan Granatowicz. – Koniec końców Niemiec nie tylko zrezygnował z egzekucji zatrzymanych już ludzi, lecz także jeszcze pomógł w ewakuacji rannych, personelu i wyposażenia szpitala do Brwinowa.

Zadecydowały względy sentymentalne, poczucie pewnej wspólnoty byłych mieszkańców niemieckiego miasta czy też brawurowa odwaga dr. Granatowicza? Trudno przesądzać, jedno jest pewne – sytuacja, gdy Niemcy okazywali litość wobec rannych pacjentów i pomagających im lekarzy, była zdarzeniem wyjątkowym. Najczęściej litości dla rannych, szacunku dla symbolu czerwonego krzyża żołdakom pacyfikującym dogorywającą stolicę brakowało.

– Kierownictwo szpitala na rogu ulic Tynieckiej i Goszczyńskiego, do którego trafiali ranni powstańcy, w pewnym momencie doszło do wniosku, że prawdopodobnie szpital jest źle oznakowany, bo Niemcy ciągle masowo kierowali w niego ostrzał artyleryjski. Wobec tego głównie z prześcieradeł zrobiono ogromne flagi z dużym czerwonym krzyżem, rozłożono je na dachu, na trawnikach – wspomina w rozmowie z „Do Rzeczy" Wanda Grzeszkowiak-Tycner ps. Radziejowska, sanitariuszka w Powstaniu Warszawskim. Na chwilę milknie, głos zaczyna się jej łamać. – Niestety, to był właściwie pierwszy krok do zagłady szpitala, ponieważ ostrzały lotniczy i artyleryjski stały się dokładniejsze. Pod koniec sierpnia szpital został całkowicie zniszczony – mówi cicho.

Wanda Grzeszkowiak-Tycner, córka powstańca wielkopolskiego, urodziła się w 1926 r. w Poznaniu. Tam chodziła do szkoły. Do stolicy wraz z rodziną trafiła krótko przed wybuchem wojny. Powód? Ojciec, doświadczony wojskowy, dostał powołanie do pułku stacjonującego w Warszawie. Nastoletnia poznanianka szybko związała się z polską konspiracją, trafiła do I Zgrupowania 1. Rejonu V Obwodu Mokotów Okręgu AK, czyli 1. Pułku Szwoleżerów.

– W naszej jednostce było ok. 400 chłopców, w pewnym momencie otrzymali zadanie zdobycia przedwojennych koszar szwoleżerów, które mieściły się przy ul. Szwoleżerów. Niewykonalne zadanie, dlatego że zajmowała je niestety świetnie wyszkolona kawaleria SS, w dodatku mająca na stanie ciężkie karabiny maszynowe – opowiada pani Wanda. – Strasznie dużo chłopców poległo, wielu było rannych, musieliśmy się wycofać.

TEJ SZCZUNY, ZA BROŃ!

– Powstańcze walki na ulicach Warszawy to coś, czego ani słowami nie da się w pełni opisać, ani nigdy nie da się zapomnieć. Wracają w snach, wracają wraz z kolejnymi odchodzącymi kolegami – przyznaje w rozmowie z „Do Rzeczy" gen. bryg. Jan Podhorski „Zygzak". – Tak jak wraca do mnie wspomnienie umierającej, na pół spalonej kobiety leżącej na ul. Mazowieckiej, po wybuchu pocisku wystrzelonego z niemieckiej wyrzutni zwanej „krową". Chciałem jej pomóc, odsunął mnie lekarz, mówiąc: „Ona jeszcze żyje, ale już jest martwa".

Popularny zwłaszcza w młodym pokoleniu Podhorski jest jednym z wielu Wielkopolan przelewających krew w powstańczej Warszawie. Urodzony w Budzyniu i pobierający nauki w wielkopolskich Rakoniewicach koło Wolsztyna, we wrześniu 1939 r. znalazł się w plutonie zwiadu 1. Poznańskiego Pułku Obrony

eprasa.pl 9eadf03530

Narodowej wyłapującego m.in. dywersantów zrzucanych z samolotów. Później, po ucieczce z niemieckiej niewoli i licznych perypetiach, walczył w szeregach konspiracyjnych Narodowych Sił Zbrojnych. Do Warszawy trafił w zasadzie przypadkiem – w końcu lipca 1944 r. miał zaliczać egzamin końcowy w podchorążówce Narodowych Sił Zbrojnych i kurs specjalny dywersyjny z przeznaczeniem dla grupy, która miała znaleźć się w Borach Tucholskich. Egzaminów się nie doczekał, zamiast nich przyszły wybuch powstania i krwawe uliczne boje, w których „Zygzak" walczył jako żołnierz zgrupowania Pułku NSZ im. gen. Władysława Sikorskiego. Brał udział m.in. w walkach o kościół Świętego Krzyża. – Atak zaczął się o czwartej przed świtem. Nasz oddział działał po prawej stronie od ul. Świętokrzyskiej, zaatakowaliśmy komendę policji i uwolniliśmy polskich policjantów – wspomina w rozmowie z „Do Rzeczy" gen. Podhorski.

Po zakończeniu wojny Podhorski włączył się w tworzenie konspiracyjnej Młodzieży Wszechpolskiej, uczestniczył też w pierwszym studenckim strajku w Poznaniu w 1946 r. W grudniu 1946 r. zatrzymał go UB. Po okrutnym śledztwie został skazany na siedem lat więzienia, z czego odsiedział trzy.

97-letni dziś Marek Wieniawa-Bronisz ps. Oskaro, urodzony w rodzinie ziemiańskiej w podpoznańskiej wsi Otoczna, od roku poważnie choruje, nie wstaje z łóżka, a wojenne losy wspomina bardzo niechętnie. – Dla męża był to bardzo trudny czas. Wraz z rodziną musiał opuścić rodzinną posiadłość, tułać się po Polsce, Niemcy zamordowali jego brata. Trafił do Lublina, gdzie związał się z konspiracją, ale po tym, jak Niemcy zaczęli się nim interesować, przeniósł się do Warszawy – tłumaczy Stefania Kowalczyk-Bronisz, żona „Oskaro".

W stolicy Marek Wieniawa-Bronisz za pośrednictwem kolegi z pracy trafił do Narodowych Sił Zbrojnych. W powstaniu walczył w 1. Kompanii „Warszawianka" I Batalionu Zgrupowania „Chrobry II" na terenie Śródmieścia.

W szeregach Zgrupowania „Chrobry II" walczył też urodzony w policyjnej rodzinie w Stęszewie w powiecie poznańskim Zdzisław Głowacki ps. Kosa. Po wybuchu wojny, krótko przed zajęciem Wielkopolski przez wojska niemieckie, wraz z bliskimi trafił na Kresy Wschodnie. Wrócił do wielkopolskiego Kostrzyna, jednak gdy Niemcy zaczęli przeprowadzać masowe deportacje i egzekucje polskich rodzin, wyjechał do Warszawy. Tam się włączył w konspiracyjną działalność Narodowych Sił Zbrojnych i później Państwowego Korpusu Bezpieczeństwa. W powstaniu został ciężko ranny. – Bohaterem nie byłem. Akurat bohater, że na ochotnika poszedłem. Nic nie zdziałałem jeszcze – mówił po latach w wywiadzie dla Muzeum Powstania Warszawskiego.

Wraz z nimi w Śródmieściu Północnym o Warszawę bił się też urodzony w Nowej Wilejce dr Jan Gozdawa-Gołębiowski ps. Dziryt. Krótko przed wybuchem wojny wraz z rodzicami przeniósł się do Poznania, gdzie uczył się w renomowanym Gimnazjum im. Bergera, wstąpił też do harcerskiej Czarnej Trzynastki Wielkopolskiej Chorągwi ZHP. To w niej nauczył się strzelać i celnie rzucać granatem.

– Poznań, tak jak cała Wielkopolska, żył bardzo aktywnie przed wojną. Moim jedynym zmartwieniem przed wojną było to, że wojna się skończy bez mojego udziału – wspominał po latach.

Los chciał inaczej. Już w październiku 1939 r., po prawie miesięcznym przebijaniu się z rodziną do okupowanej stolicy, znalazł się w Warszawie, gdzie – by zarobić na życie – imał się różnych zajęć: od ulicznego handlu papierosami do pracy w charakterze niewykwalifikowanego robotnika kolejowego. Na tajnych kompletach zrobił maturę i został żołnierzem Związku Walki Zbrojnej. W Powstaniu Warszawskim Jan Gozdawa-Gołębiowski walczył w kompanii „Koszta" (czyli Kompanii Ochrony Sztabu Obszaru Warszawskiego Armii Krajowej). Uczestniczył w walce i zdobyciu budynku PAST-y. Po latach wspominał, że jego pluton szturmowy w boju o PAST-ę miał nacierać od ul. Próżnej. Był chytry plan. Do środka, wraz z kolegami, mieli dostać się przez wyłom zrobiony materiałem wybuchowym podłożonym w jednym z prywatnych lokali w oficynie budynku przylegającego do PAST-y.

– Widocznie ładunek źle był obliczony, bo nie tylko zrobił wyłom, lecz także ścianę całą obsunął, tak że do wyłomu musieliśmy po drabinie wchodzić sznureczkiem. Niemcy byli zaszokowani tym wybuchem. Walczyliśmy, często dochodziło do walki wręcz, w kłębach dymu. Krztusiliśmy się. Niemcy w takich samych warunkach walczyli, więc myśmy wołali: „Hans! Komm zu mir!". Jak podbiegał, to myśmy serią go kosili – opowiadał „Dziryt".

Doktor Jan Gozdawa-Gołębiowski po wojnie wydał wiele opracowań przybliżających młodym ludziom czasy II wojny światowej, po upadku komuny współuczestniczył w tworzeniu Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej, a w latach 1991–1992 był dyrektorem Zespołu Weryfikacji do spraw Pozbawiania Uprawnień w Urzędzie do spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych. Zmarł w styczniu 2013 r.

MŁODZI ODKRYWAJĄ...

– Udało mi się ustalić nazwiska ponad 400 Wielkopolan, którzy czynnie walczyli z wrogiem na ulicach stolicy. Historycy szacują, i są to ostrożne dane, że łącznie w Powstaniu Warszawskim – czy to z bronią w ręku, czy w inny sposób – wzięło udział co najmniej 800 osób pochodzących z Poznania i regionu – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy" gen. Jan Podhorski ps. Zygzak, żołnierz AK-NSZ.

Wśród Wielkopolan walczących w Powstaniu Warszawskim są tacy, których historia jest powszechnie znana, a oni sami stali się dla młodego pokolenia ikonami patriotyzmu i niezłomności. Wśród nich pochodzący z niewielkiej miejscowości pod Gnieznem płk Adam Borys ps. Pług, absolwent Uniwersytetu Poznańskiego, wybitny żołnierz Podziemnego Państwa Polskiego. Adam Borys był twórcą „Agatu", przekształconego później w „Pegaz" – specjalnego oddziału do walki z gestapo, mającego na swoim koncie m.in. likwidację kata Warszawy Franza Kutschery. „Pegaz" przeformowano w batalion „Parasol", którego Borys został pierwszym dowódcą. W trakcie krwawych powstańczych walk na Woli „Pług" odniósł ciężkie rany. Nikomu, przynajmniej w Wielkopolsce, nie trzeba przypominać o poznaniaku Henryku Czapczyku ps. Mirski, legendarnym piłkarzu Warty i Lecha, wcześniej – w trakcie Powstania Warszawskiego – dowódcy oddziału szturmowego w batalionie „Miłosz".

Historię innych dopiero po latach odkrywa młode pokolenie, doszukując się nieznanych wcześniej dokumentów, zapomnianych rodzinnych relacji.

– W powstaniu walczyło mnóstwo ludzi wysiedlonych z Kresów Wschodnich, z Kaszub, z Wielkopolski, uciekinierów ze Śląska. Teraz ich dzieci, wnuki mieszkające poza Warszawą zaczynają odkrywać przeszłość swoich bliskich, chcą ją odkrywać, dzielić się nią – konkluduje Wanda Grzeszkowiak-Tycner ps. Radziejowska.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

W artykule wykorzystano materiały Muzeum Powstania Warszawskiego i Archiwum Historii Mówionej MPW. Za udzieloną pomoc serdecznie dziękuję pracownikom muzeum.

eprasa.pl 9eadf03530

XXVIII Forum Ekonomiczne

4-6 WRZEŚNIA 2018, KRYNICA-ZDRÓJ

Województwo Małopolskie
Główny Partner
Forum Ekonomicznego

EUROPA WSPÓLNYCH WARTOŚCI CZY EUROPA WSPÓLNYCH INTERESÓW?

Najważniejsza konferencja organizowana od ponad 25 lat w Europie Środkowo-Wschodniej.

Ponad 3500 gości - liderów świata polityki i biznesu z ponad 60 krajów z Europy, Azji i USA.

Ponad 150 debat - makroekonomia, biznes i zarządzanie, energetyka, innowacje.

Najbardziej znane miejsce spotkań elit gospodarczych w tej części Europy.

Znajdź nas na Facebooku!

- www.forum-ekonomiczne.pl
- kontakt: forum@isw.org.pl

eprasa.pl 9eadf03530

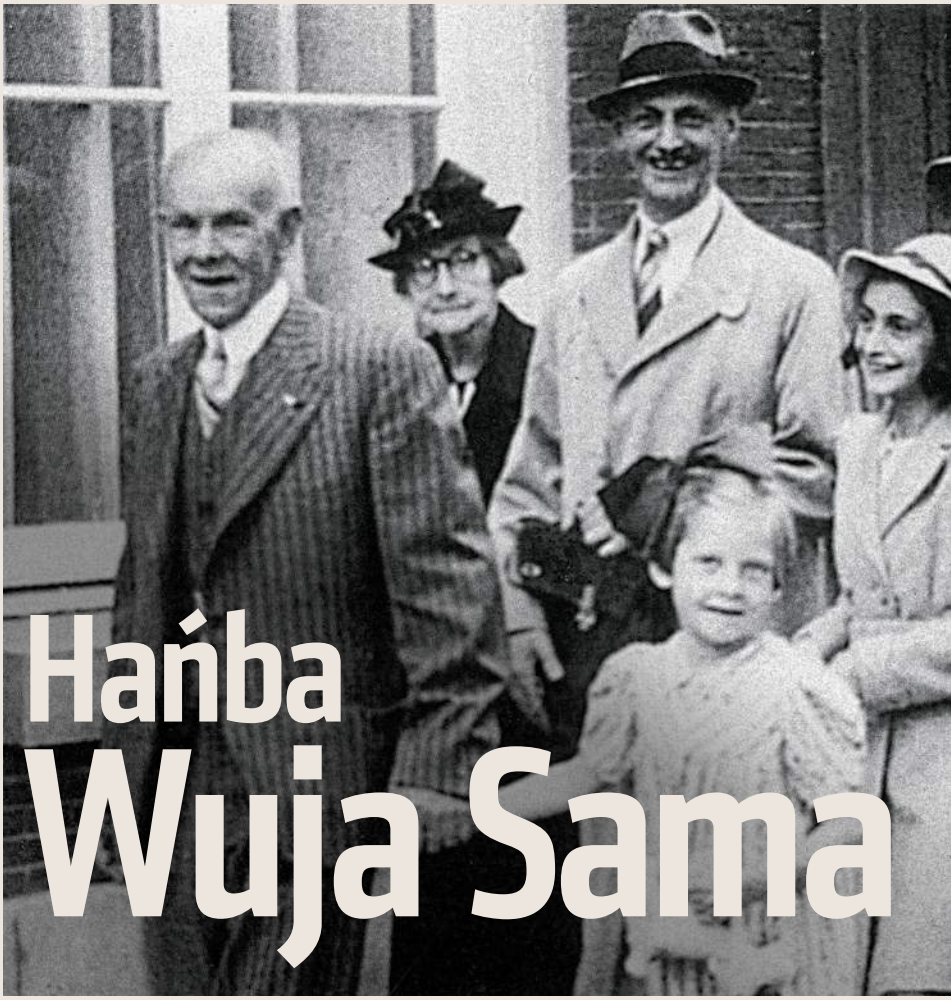

Hańba Wuja Sama

Piotr Włoczyk

Nowe ustalenia w sprawie tragedii rodziny Anne Frank przypominają, jak niewiele zrobiła Ameryka w czasie wojny, by pomóc Żydom

W dniu 13 stycznia 1944 r. na biurko Henry'ego Morgenthau Jr., sekretarza skarbu USA, trafił dokument „Osobisty raport dla sekretarza w sprawie przyzwolenia tego rządu na mordowanie Żydów". Przygotowali go urzędnicy resortu skarbu, którzy z przerażeniem odkryli, że Departament Stanu od lat torpeduje próby pomocy europejskim Żydom – takie jak przesyłanie im środków finansowych przez amerykańskie organizacje żydowskie – a także utrudnia nagłaśnianie informacji o Zagładzie.

Morgenthau, sam z pochodzenia Żyd, przekazał raport Rooseveltowi. Ten, wobec nieustępliwości sekretarza skarbu, zezwolił na ustanowienie Rady do spraw Uchodźców Wojennych. Dopiero za jej pośrednictwem Waszyngton naprawdę zaczął pomagać Żydom. Był to już jednak rok 1944. Do tego czasu Ameryka zrobiła wiele, żeby przegapić najlepszy czas na udzielenie pomocy europejskim Żydom.

IMIGRACJA A ŻYDZI

O poprzednich latach, kiedy istniała dla nich realna szansa na ratunek, przypomina opublikowany właśnie raport: „Niemieckie bomby i amerykańscy biurokraci. Jak odcięto drogi ucieczki z Europy". Z wielką uwagą powinni go przeczytać wszyscy ci Amerykanie, którzy twierdzą, że w czasie wojny Polacy nie zdali egzaminu z człowieczeństwa wobec tragedii Żydów.

Raport przygotowany został przez historyków z Anne Frank House w Amsterdamie oraz United States Holocaust Memorial Museum w Waszyngtonie.

Oczywiście to Anne Frank, autorka słynnego dziennika, jest najbardziej znaną bohaterką tej historii, ale ona sama w raporcie pojawia się jedynie w tle. Głównym bohaterem tej opowieści jest jej ojciec Otto Frank, który na wszelkie możliwe sposoby próbował wyrwać swoją rodzinę z niemieckich kleszczy i zabrać ją do bezpiecznej Ameryki. Jego wysiłki robią tym większe wrażenie, im więcej przeszkód piętrzyło się na jego drodze. Na czele z niechęcią Amerykanów do wpuszczania żydowskich uchodźców.

Otto Frank już na początku rządów Hitlera wywiózł swoją rodzinę z Niemiec, a w 1938 r. rozpoczął starania o wyjazd do Ameryki, w której mieszkała część najbliższej rodziny jego żony.

W Ameryce obowiązywało jednak niezwykle restrykcyjne prawo Johnson-Reed Act z 1924 r., które zakończyło masową imigrację do USA. Przewidywało ono coroczne kwoty imigracyjne dla obywateli poszczególnych państw. W przypadku osób urodzonych w Niemczech było to maksymalnie 26 tys. imigrantów rocznie. Ameryka ani myślała o zrobieniu wyjątku dla prześladowanych Żydów. Więcej – mimo olbrzymich potrzeb (w czerwcu 1938 r. było 139 tys. chętnych do ucieczki z Niemiec, a rok później już 309 tys.) amerykańskie konsulaty nie wykorzystywały w pełni nawet dozwolonego limitu wiz imigracyjnych.

Tę obawę przed obcymi tłumaczyć można do pewnego stopnia tym, że Ameryka wciąż odczuwała skutki wielkiego kryzysu. Zwykli Amerykanie nie chcieli dodatkowych konkurentów na i bez tego zapchanym rynku pracy.

Dużą niechęć było jednak widać nie tylko do imigrantów zarobkowych. Stosunek Amerykanów do kwestii uchodźców dobrze obrazuje sondaż z 1938 r. przeprowadzony na zlecenie magazynu „Fortune". Na pytanie: „Jakie jest twoje stanowisko w sprawie zezwolenia na przyjazd do USA niemieckim, austriackim oraz innym uchodźcom politycznym?" 67 proc. Amerykanów odpowiedziało, że nie należy ich wpuszczać.

Z dzisiejszej perspektywy szokujące wręcz dla wielu Amerykanów mogą być wyniki sondażu Gallupa przeprowadzonego rok później. Na pytanie: „Czy Ameryka powinna przyjąć 10 tys. dzieci-uchodźców z Niemiec, w większości pochodzenia żydowskiego?" 61 proc. respondentów opowiedziało się przeciw. Dodajmy, że sondaż został przeprowadzony dwa miesiące po nocy kryształowej.

HUMANITARYZM USA

Otto Frank dwa lata czekał na rozpatrzenie swojego podania. Niestety, w maju

eprasa.pl 9eadf03530

Anne Frank i jej ojciec Otto Frank (w centrum) w Amsterdamie w lipcu 1941 r.
FOT. THE GRANGER COLLECTION/FORUM

1940 r. zebrane przez rodzinę Frank dokumenty potrzebne do wyrobienia wiz do Ameryki spłonęły wraz z całym konsulatem USA w Rotterdamie w wyniku bombardowania.

Rok później Otto Frank postanowił wykorzystać pomoc wpływowego przyjaciela z USA, Nathana Strausa Jr. (był przyjacielem Eleanor Roosevelt) , który kierował federalną agencją ds. mieszkalnictwa. I napisał do niego list.

W tym samym roku jednak USA wprowadziły jeszcze większe restrykcje w procesie aplikacyjnym, tłumacząc to koniecznością zabezpieczenia się przed potencjalnymi żydowskimi szpiegami i sabotażystami, którzy – jak tłumaczył to Roosevelt – mogą pod przymusem pracować dla Niemców.

„Bezpieczeństwo narodowe wzięło górę nad kwestiami humanitarnymi. Te zmiany sprawiły, że Otto Frank napisał do Strausa pod koniec czerwca, iż wszystkie ich wysiłki są na nic" – czytamy w omawianym raporcie.

Wreszcie w lipcu 1941 r. Niemcy i USA zamknęły swoje konsulaty w obu krajach. W praktyce oznaczało to koniec marzeń o ucieczce. Rok później Frankowie zaczęli się ukrywać. Po pewnym czasie dołączyła do nich żydowska rodzina van Pelsów. 4 sierpnia 1944 r. gestapo odkryło ich kryjówkę dzięki informacji od holenderskiego donosiciela. Z całej tej grupy jedynie Otto Frank cudem przeżył wojnę. Zmarł w 1980 r. w wieku 91 lat.

„Konkluzją raportu musi być to, że starania zarówno rodziny Franków, jak i van Pelsów nie były skuteczne z uwagi na gwałtownie rosnącą liczbę aplikacji przypadającą na niewielką liczbę miejsc na listach kwotowych; niechęć ze strony prezydenta, Departamentu Stanu i Kongresu (a także społeczeństwa amerykańskiego), by otworzyć się na imigrację ponad limity ustanowione przez prawa kwotowe z 1924 r., a nawet by wypełnić te kwoty; a także, ostatecznie, wpływ wojny na możliwość ucieczki" – piszą autorzy raportu.

ANTYSEMICKO I ANTYIMIGRANCKO

Bierność Ameryki wobec tragicznego losu Żydów została już dobrze opisana w literaturze fachowej. Można jednak wątpić, czy ustalenia te przebiły się szerzej do amerykańskiej opinii publicznej. Jedną z ważniejszych pozycji w tym temacie jest bestsellerowa książka „Pozostawieni swemu losowi. Ameryka wobec Holocaustu 1941–1945" autorstwa amerykańskiego historyka Holokaustu Davida S. Wymana.

„Niemieckie panowanie nad większością obszaru Europy sprawiło, że najbardziej nawet zdecydowana akcja aliantów nie zdołałaby ocalić więcej niż jednej trzeciej tych, których skazano na eksterminację – pisze Wyman w swojej książce. – Ale poważne zaangażowanie się w akcję ratowania ofiar z pewnością uratowałoby życie setkom tysięcy tych ludzi, i to bez narażania na uszczerbek wojennego potencjału państw sprzymierzonych. Dokumenty dowodzą wyraźnie, że taką kampanię można by podjąć tylko w przypadku, gdyby zainicjowały ją Stany Zjednoczone. Ameryka zaś nie uczyniła w tej sprawie nic, aż po finalną fazę wojny, a nawet wtedy, kiedy z sukcesem podjęto takie działania, wyniki ich były nader ograniczone".

Wyman ostro skrytykował w swojej książce podejście amerykańskiego społeczeństwa do tragedii europejskich Żydów, pisząc: „Nastawienia antysemickie i antyimigranckie szeroko rozpowszechnione [były] w tym czasie w społeczeństwie amerykańskim i w Kongresie".

Oczywiście Ameryka nie była wyjątkiem, jeżeli chodzi o bierność wobec losu Żydów. Nastawienie światowej opinii publicznej wobec prześladowania Żydów dobrze pokazały efekty konferencji w Évian, którą zwołano w lipcu 1938 r. z inicjatywy Roosevelta. Udział wzięły w niej 32 kraje, ale żaden z nich nie zaoferował żydowskim uciekinierom realnej pomocy. Bodaj najbardziej brutalnie postawił sprawę przedstawiciel Australii, który powiedział, że jego kraj „nie ma żadnych realnych problemów rasowych i nie ma ochoty zmieniać tej sytuacji". Po konferencji „Völkischer Beobachter" napisał z nieskrywaną satysfakcją: „Nikt ich nie chce". Niemcy poczuli, że cały świat jest obojętny na los Żydów.

Rok później mogli się tylko utwierdzić w tym przekonaniu, obserwując los pasażerów statku „St. Louis", który wypłynął z Hamburga 13 maja 1939 r. Na jego pokładzie znajdowało się ponad 900 żydowskich uchodźców. Większość z nich miała już promesy wizowe do USA, na Kubie pasażerowie chcieli przeczekać zakończenie procesu imigracyjnego. Okazało się to jednak niemożliwe. Najpierw przepędzili ich Kubańczycy, a następnie odepchnęły ich USA i Kanada. 17 czerwca „St. Louis" zawinął do Antwerpii. Anglia, Francja, Holandia i Belgia przyjęły wprawdzie uciekinierów z tego statku, ale szacuje się, że ok. 250 z nich zginęło w Holokauście.

Wylicza się, że ustanowiona dzięki staraniom sekretarza Henry'ego Morgenthau Jr. Rada do spraw Uchodźców Wojennych pomogła uratować do 200 tys. Żydów. To właśnie m.in. ta organizacja stała za akcją pomocową na Węgrzech kierowaną przez Raoula Wallenberga. Jak jednak podkreśla Wyman, rada „wyposażona została w nader ograniczone kompetencje i zupełnie niedostateczne środki finansowe. Roosevelt i jego administracja niemal zupełnie z nią nie współpracowali".

„W roku 1944 amerykański Departament Wojny odrzucił kilka apeli o zbombardowanie komór gazowych w Oświęcimiu i linii kolejowych wiodących do obozu, tłumacząc, że akcje takie wyłączyłyby znaczną część sił lotniczych z działań na innych, decydujących dla przebiegu wojny terenach – pisze Wyman. – Ale niewiele miesięcy po tej wymówce dokonano kilku zmasowanych nalotów bombowych na cele przemysłowe odległe od Oświęcimia o niecałe 90 kilometrów".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9eadf03530

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Chłopiec na wojnie

Zapłaciliśmy za ten szturm wysoką cenę: batalion stracił zdolność bojową i został wysłany na odpoczynek. Garstka wciąż zdolnych do walki żołnierzy dołączyła do powstańców broniących Reduty Matki Boskiej. Zaledwie 12 dni wcześniej batalion złożony z 200 ludzi zaatakował gmach centrali telefonicznej, znany później jako Reduta Nałęcza. Z tej grupy pozostało teraz piętnastu ludzi zdolnych do walki". A reszta? Polegli, zostali ciężko ranni, zaginęli. Najlepsi synowie ojczyzny. Kwiat naszej młodzieży… Rzuceni przez dowództwo do walki, której – mimo swojego wielkiego zapału i odwagi – nie mogli wygrać. Bardzo ciężko się czyta wspomnienia Bohdana Hryniewicza, który jako nastolatek był łącznikiem w jednym z powstańczych oddziałów.

Rozpętało się piekło – pisze Hryniewicz. – Atak skończył się, zanim zdążył się na dobre zacząć. Ulica przed nami znajdowała się pod ciągłym ostrzałem karabinów, wokół wybuchały pociski moździerzowe, a niebo rozświetlały race, wystrzeliwane przez Niemców. Wycofaliśmy się do pałacu. Około dwudziestu ludzi z oddziałów szturmowych w naszej grupie zostało zabitych, w tym sześciu z naszego oddziału. O wiele więcej zostało rannych, w tym większość naszych dowódców. Straty wynosiły około 50 procent". 50 procent! To nie był szturm, to była masakra. Podobnie wyglądała zresztą przytłaczająca większość akcji zaczepnych podejmowanych przez powstańcze oddziały. Czyż jednak mogło być inaczej, skoro przeciwnik dysponował tak ogromną przewagą? Autora „Chłopięcej wojny" podczas Powstania dotknęła osobista tragedia. W walkach poległ jego brat Andrzej, również służący jako łącznik. Skonał w szpitalu po amputacji obu nóg i ręki.

Książka Bohdana Hryniewicza jest niezwykle poruszająca. A autor to postać nietuzinkowa. Odznaczony Krzyżem Walecznych, po kapitulacji Powstania opuścił miasto wraz z ludnością cywilną. Nie chciał żyć w „komunistycznym raju" i już w 1946 r. uciekł na Zachód. Po upadku komunizmu został konsulem honorowym Polski w San Juan. ©℗

★★★★★★

BOHDAN HRYNIEWICZ „CHŁOPIĘCA WOJNA. PAMIĘTNIK Z POWSTANIA WARSZAWSKIEGO" BELLONA 2018

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Bilans Powstania

Zawsze zastanawiało mnie, dlaczego czcząc pamięć Powstania Warszawskiego, milczymy o ludziach odpowiedzialnych za śmierć miasta. Nie mam tutaj na myśli hitlerowców, ale dowództwo AK, które wypowiedziało posłuszeństwo „starym sklerotykom z Londynu". Czyli Bora-Komorowskiego, Okulickiego, Chruściela i Pełczyńskiego, których uznano za bohaterów zamiast postawić przed sądem polowym.

> **Bilans strat jak jeden do stu, to była rzeź, a nie wojna**

Powstanie Warszawskie było przecież jedną z największych katastrof w dziejach narodu polskiego. Niemal całkowitemu zniszczeniu uległa lewobrzeżna Warszawa, a z zabytkowej zabudowy Śródmieścia i Starego Miasta ocalało zaledwie 3 proc. budynków! To nie wszystko, ostatecznie mury można odbudować, ważniejsze były inne straty. „Płonęły biblioteki oraz archiwa – tłumaczył prof. Paweł Wieczorkiewicz. – Jest jedna rzecz, o której rzadko się mówi. Wcześniej do Warszawy zwożono z terenu mnóstwo prywatnych zbiorów – wspaniałe kolekcje obrazów, stare księgi – bo sądzono, że w mieście są bezpieczniejsze niż w małych miasteczkach i dworach. Szczególnie że nadchodziła armia sowiecka, która niczego nie szanowała".

Z dorobku pokoleń pozostał popiół, a co nie spłonęło, to zostało zrabowane, by więcej już do kraju nie powrócić. Przerażająco prezentuje się bilans strat osobowych w powstaniu. Zginęło od 105 do 130 tys. mieszkańców stolicy (do dziś nie ustalono dokładnej liczby!). W walkach poległo 17 tys. powstańców, a dalsze 15 tys. poszło do niewoli (znaczny ich procent nigdy do kraju nie powrócił). Praktycznie zniknęło całe najbardziej patriotycznie nastawione pokolenie warszawiaków i stolica już nigdy nie miała być tym samym miastem co przed sierpniem 1944 r. Tymczasem po stronie niemieckiej zginęło 1570 żołnierzy i oficerów, a 7,5 tys. zostało rannych. Bilans strat jak jeden do stu, to była rzeź, a nie wojna. Każdy dowódca, który uszedłby z życiem po takiej klęsce, stanąłby przed plutonem egzekucyjnym. A Bora-Komorowskiego i jego kamratów czci się jak bohaterów…

„Pozostała tylko legenda – podsumowywał żołnierz powstania i historyk Jan Ciechanowski – i długie szeregi żołnierskich grobów na Cmentarzu Powązkowskim. Leży tam pokotem kwiat warszawskiej młodzieży, kwiat Armii Krajowej. Leży batalion za batalionem, kompania za kompanią, pluton za plutonem". Patriotyczne legendy są wprawdzie konieczne dla każdego narodu, ale tym razem cena była zbyt wysoka. Ludzie ci zresztą poświęcili życie na darmo, ich ofiara okazała się zbędna, bo Polska straciła niepodległość, stając się częścią sowieckiego imperium. ©℗

eprasa.pl 9eadf03530

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

WYWIAD Z „TARZANEM", BOHATEREM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

Marcin Bartnicki – **Ludowe Wojsko Patologii**
Jarosław Kapsa – **Zgnoić „kota"**
Piotr Zychowicz – **Żydowska agentka gestapo**
Spór o powstanie – **Janusz Korwin-Mikke kontra Tadeusz Płużański**
Rafał A. Ziemkiewicz – **Antysemityzm klasowy**
Sławomir Cenckiewicz – **Agenci tajnych służb PRL**
Paweł Szulc – **Mroczne tajemnice brata Hermaszewskiego**
Marek Gałęzowski – **Rozwadowski kontra Piłsudski**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 9eadf03530

Soros prawicy?

FOT. SEAN GALLUP/GETTY IMAGES

epresso.pl/ead/03530

Tomasz P. Terlikowski

Europejskie elity mają nowego wroga publicznego. Steve Bannon zapowiedział zjednoczenie europejskiej populistycznej prawicy i doprowadzenie do rozpadu UE

Bannon nie zostawia najmniejszych wątpliwości – jego celem jest wzmocnienie europejskiej populistycznej i alternatywnej prawicy tak, by stała się ona po wyborach do europarlamentu w 2019 r. trzecią siłą polityczną i by jej przedstawiciele z różnych krajów przejęli przynajmniej trzecią część mandatów. To nie wszystko. W dalszej perspektywie ma zamiar stać się George'em Sorosem prawej strony sceny politycznej w Unii Europejskiej i dzięki pieniądzom, wpływom, a także skuteczności medialnej, którą udowodnił, stając się jednym z architektów sukcesu politycznego Donalda Trumpa, doprowadzić do rozpadu tworu, który sam określa mianem upadłego czy martwego, ale który uznaje za największe zagrożenie dla przyszłości cywilizacji zachodniej.

– Bannon nienawidzi Unii Europejskiej – twierdzi Ben Shapiro, były współpracownik Bannona z alterprawicowego portalu Breitbart. – On uważa ją za najważniejszy instrument globalizacji i sprzeciwia się jej jako narzędziu rozkładu cywilizacji zachodniej – dodawał w rozmowie z „Politico". To dlatego Bannon wspierał kampanię na rzecz brexitu i dlatego zamierza wspierać obecnie antyglobalistyczne i antymainstreamowe partie i organizacje polityczne w Europie.

FRONTALNY ATAK NA UE

Europejscy, a zwłaszcza niemieccy politycy nie pozostali obojętni na te plany. Niemiecka FDP uznała zapowiedzi Bannona za „frontalny atak na Unię Europejską i europejskie wartości", a polityk SPD Michael Roth wręcz uznał, że konieczna jest obecnie „walka na dobre argumenty, na szczerość i prawdę", Bannon bowiem za pomocą populistycznych kampanii „chciałby rzucić Europę na kolana".

Nieco tylko ostrożniejsza pozostaje niemiecka umiarkowana prawica. Florian Hahn z bawarskiej CSU uznał, że zapowiedzi amerykańskiego potentata należy traktować poważnie, a Europa powinna się bronić przed jego działaniami.

I nawet jeśli niemieccy politycy trochę panikują, to nie ulega wątpliwości, że on sam rzeczywiście prezentuje wartości, które wprawdzie są europejskie, ale niewątpliwie aż bije z nich niechęć do obecnie rządzącej Unią Europejską kliki politycznej. Bannon nie ukrywa, że wspierał Nigela Farage'a i że poważa niechętne obecnemu establishmentowi unijnemu partie Francji, Węgier, Niemiec i Polski (przy wszystkich, niekiedy bardzo głębokich, różnicach między nimi, które niekoniecznie widać ze Stanów Zjednoczonych). – Historia jest po naszej stronie i zaprowadzi nas ku zwycięstwu – mówił podczas konwencji Frontu Narodowego Marine Le Pen. – Jesteście częścią ruchu większego niż ten tutaj, ten we Włoszech, ten w Polsce, większego niż ten na Węgrzech – zapewniał i zachęcał do budowania narodowej, konserwatywnej, prawicowej kontrpropozycji dla obecnych, zniewolonych przez wielki kapitał władz Unii Europejskiej. – Współczesna polityka nie może być określona przez podział na prawicę i lewicę. Od kryzysu finansowego w 2008 r. banki i państwa wspierają się wzajemnie i chronią nawzajem siebie, a nie zwyczajnych ludzi – podkreślał podczas spotkania z politykami Frontu Narodowego. A w jednym ze swoich tekstów uzupełniał, że współczesny kapitalizm jest w głębokim kryzysie, ogranicza bowiem dystrybucję zysków do niewielkiej grupy „kolesiów", nie pozwala zaś się bogacić szerokim rzeszom ludzi.

Wzorem działania dla Bannona mają być przy tym najskuteczniejsi liderzy opinii, a może lepiej powiedzieć polityczni manipulatorzy, których fundacje do niedawna skutecznie narzucały linię nie tylko całej Unii, lecz także poszczególnym jej krajom. Zakładana przez niego organizacja non profit o wdzięcznej, bo niewiele mówiącej nazwie – Ruch – ma być odpowiedzią na działania liberalno-lewicowej Open Society Foundation. – Soros jest genialny – stwierdza Bannon i dodaje: – Jest genialny, ale zły. I dlatego zamierza przejąć metody jego działania i także finansować wszystkie bliskie sobie projekty, ale całkowicie zmienić kierunek działania, tak by zamiast Europy liberalno-lewicowej budować Europę tradycjonalistyczno-narodową. A jako że w tworzeniu konkurencyjnej – medialnej i politycznej – wobec liberałów opcji Bannon okazał się już skuteczny w Stanach Zjednoczonych, to unijni biurokraci mogą się go obawiać.

KTO „SPIEPRZYŁ AMERYKĘ"?

Jakie są źródła takich poglądów Bannona? On sam wspomina, że wywodzi się z katolickiej irlandzkiej rodziny, która zawsze głosowała na demokratów. – Wywodzę się z rodziny niebieskich kołnierzyków, irlandzkich katolików, wspierających Kennedy'ego i związki zawodowe demokratów – opowiadał agencji Bloomberg.

Droga życiowa, którą wybrał wówczas Bannon, była typowa dla wielu katolików amerykańskich z niższej klasy średniej. Po ukończeniu szkoły katolickiej studiował planowanie miast i architekturę. Po uzyskaniu tytułu licencjata zaciągnął się do marynarki, gdzie nie tylko został oficerem, lecz także ukończył wyższe studia, najpierw na wydziale bezpieczeństwa narodowego Georgetown University. Jego poglądy polityczne zaczęły się kształtować właśnie podczas służby w US Navy, a konkretniej po kolejnych błędach Jimmy'ego Cartera w polityce wobec Iranu. – Wcześniej polityka mnie nie interesowała, jednak gdy zobaczyłem, jak wiele rzeczy spieprzył Carter, stałem się wielkim zwolennikiem Reagana. Nadal nim jestem – wspominał.

Jednocześnie ze zmianą rodzinnie umotywowanych poglądów politycznych Bannon zmienił także kierunek kariery. W 1983 r., po siedmiu latach służby w wojsku, zrzucił mundur i rozpoczął studia na Harvard Business School, gdzie dwa lata później uzyskał tytuł MBA. W tym samym roku zaczął pracować dla funduszu Goldman Sachs, najpierw w Nowym Jorku, a później w Los Angeles, gdzie zetknął się bliżej z biznesem rozrywkowym, który stał się jego pasją już w latach 90., gdy założył własną firmę specjalizującą się w finansowaniu projektów medialnych. W tym czasie też kształtowało się, przynajmniej według jego własnych słów, jego całkowite

eprasa.pl 9eadf03530

odrzucenie polityki prowadzonej przez amerykański establishment, i to zarówno ten należący do Partii Demokratycznej, jak i Republikańskiej. – Tym, co nastawiło mnie przeciwko całemu establishmentowi, było dostrzeżenie, że Bush spieprzył tak samo dużo rzeczy jak Carter. Cały kraj był w ruinie – wyjaśniał.

Gospodarczym nacjonalistą i przeciwnikiem „kapitalizmu kolesiów" Bannon stał się po tym, gdy jego ojciec stracił 100 tys. dol. po sprzedaży swoich akcji firmy AT&T, w której przez lata pracował. – Jedyne, co posiadał mój ojciec, to maleńki domek i te akcje, które miał po dziesiątkach lat pracy w tej firmie – mówił Bannon i ubolewał, że choć wina przedsiębiorców była ewidentna, to nikt nigdy nie poniósł za to konsekwencji, a władza zamiast wspierać zwykłych obywateli zajmowała się ochroną wielkich biznesmenów.

ZEN, KATOLICYZM I TRZY ROZWODY

Zmiany w poglądach politycznych nie były jedynymi, które określiły życiorys Bannona. Choć nominalnie pozostaje katolikiem, w młodości praktykował także zen, a intelektualnie fascynuje się z jednej strony Andrew Jacksonem czy Alexandrem Hamiltonem, z drugiej zachwala zasadę pomocniczości papieża Piusa XI, wyrażoną w encyklice „Quadragesimo anno", znajdując w dokumencie tym uzasadnienie dla domagającej się możliwie najmniejszych ingerencji władz federalnych w politykę stanów Tea Party.

Nie bez znaczenia dla niego jest jednak także tradycjonalizm René Guénona, który propaguje społeczną skuteczność duchowych idei przekazywanych przez pierwotne tradycje religijne, takie jak wedanta, buddyzm, sufizm i średniowieczne chrześcijaństwo. Bannon nie stronił również od propagowania rosyjskiej wersji tradycjonalizmu, czyli euroazjatyzmu Aleksandra Dugina.

Tradycjonalizm, jego zdaniem, jest jedyną sensowną odpowiedzią na postępujący kryzys Zachodu. – Sądzę, że świat, szczególnie judeochrześcijański Zachód, znajduje się w kryzysie – mówił i zapewniał, że jego działania mają być odpowiedzią na ten postępujący kryzys. Jego deklaracje religijno-cywilizacyjne niekoniecznie idą jednak w parze z życiem osobistym. Bannon był trzykrotnie żonaty. Z pierwszą żoną Cathleen Suzanne Houff, z którą ma córkę Maureen, rozwiódł się jeszcze w latach 80. W 1995 r. zawarł kolejny związek małżeński – z byłą inwestorką bankową Mary Louise Piccard (z nią ma dwie córki). To małżeństwo nie przetrwało nawet dwóch lat, a zakończyło się w atmosferze skandalu, żona oskarżyła bowiem Bannona o przemoc domową. Sprawa została później przez nią wycofana.

Bannon zawarł też trzecie małżeństwo – z Diane Clohesy – w 2005 r. I też dwa lata później byli już po rozwodzie.

Burzliwe życie osobiste nie przeszkadzało mu jednak w stopniowym przesuwaniu się na prawo. W roku 2004 Bannon został scenarzystą, reżyserem i producentem dokumentu „In the Face of Evil: Reagan's War in Word and Deed", który był panegirykiem na cześć Ronalda Reagana. Osiem lat później wraz z Peterem Schweizerem utworzył Government Accountability Institute, organizację śledczą, która ujawniała przypadki nieuczciwości u polityków.

Na początku XXI w. Bannon zaprzyjaźnił się z Andrew Breitbartem, który założył jedną z najważniejszych antyestablishmentowych stron internetowych w USA. Po jego śmierci w roku 2012 sam został redaktorem naczelnym Breitbart.com i nie tylko przesunął ją w kierunku alterprawicy, lecz także uczynił z niej w pełni profesjonalny projekt medialny, który pomógł zjednoczyć się dotąd podzielonym amerykańskim zwolennikom prawicy.

To jego wsparcie, ale także cierpliwe budowanie poparcia – już jako szefa kampanii – dla Donalda Trumpa w środowiskach alterprawicowych, choć też wśród zwyczajnych Amerykanów, którzy mieli dość ulegania islamizmowi czy politycznej poprawności, pomogło politykowi wygrać wybory. Przywódca odwdzięczył się Bannonowi stanowiskiem starszego doradcy i szefa strategów Białego Domu, a później powołaniem go do Rady Bezpieczeństwa Narodowego.

Przez pół roku Bannon był jednym z najbardziej wpływowych członków gabinetu Trumpa, ale ostatecznie przegrał walkę o wpływy z zięciem prezydenta Jaredem Kushnerem i został zdymisjonowany 18 sierpnia 2017 r. Wrócił do pracy w Breitbart.com. Jednak i stamtąd musiał odejść w styczniu tego roku, gdy uznano, że to on jest jednym z głównych informatorów autora wrogiej Trumpowi książki Michaela Wolffa „Ogień i furia. Biały Dom Trumpa".

CZY TO SIĘ UDA?

Nie ma wątpliwości, że Bannon potrafi być skutecznym liderem opinii, kimś, kto kreuje wzory zachowań i trafnie odczytuje emocje społeczne, a także potrafi organizować pieniądze na wsparcie bliskich sobie projektów politycznych. Czy jednak oznacza to, że może on zostać mesjaszem europejskiej, antyestablishmentowej prawicy? Wydaje się, że nie.

Po pierwsze, w swoim myśleniu Bannon pozostaje za bardzo amerykański. Nie rozumie podziałów wewnątrz Europy i nie jest świadomy, że choć zachodnia populistyczna prawica chętnie odwołuje się do autorytetu czy wsparcia Putina, to już w Europie centralnej (a bez wsparcia Polski czy Węgier projekt Bannona jest skazany na porażkę) aluzje proputinowskie (nawet jeśli dementowane w innych wypowiedziach) nie cieszą się specjalną sympatią. Nic nie wskazuje też na to, by PiS czy węgierski Fidesz miały najmniejsze powody, by uwiarygadniać działania Bannona. Współpraca z nim mogłaby im tylko zaszkodzić. A jeśli zdecyduje się on na współpracę z węgierskimi czy polskimi nacjonalistami, to raczej nie będzie współpracował z rządzącą w tych krajach prawicą.

I tak jego projekt zjednoczenia prawicy w Europie rozpadnie się albo osiągnie jeden tylko skutek – wzmocni destrukcyjne działania Moskwy. Państwu Putina od dawna zależy bowiem na budowaniu ruchu prawicowego, który będzie rozsadzał Unię i działał tym samym nie tyle na rzecz wartości konserwatywnych, ile Moskwy.

Steve Bannon w swoim myśleniu pozostaje za bardzo amerykański. Nie rozumie podziałów wewnątrz Europy ani nie jest świadomy, że aluzje proputinowskie nie cieszą się specjalną sympatią

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

CZYTAJ TEŻ ROZMOWĘ Z MATTHEW TYRMANDEM „W STYLU BANNONA" NA STRONIE 96

eprasa.pl 9eadf03530

100% polski produkt

JUŻ NIEBAWEM RUSZA

III EDYCJA KONKURSU

KTÓRY WYWOŁAŁ OGÓLNOPOLSKĄ, POWSZECHNĄ MODĘ NA WSZYSTKO CO JEST W 100% POLSKIE!

NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA, KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY

PATRONAT HONOROWY

MINISTERSTWO PRZEDSIĘBIORCZOŚCI I TECHNOLOGII

MINISTERSTWO INWESTYCJI I ROZWOJU

Minister Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej
PATRONAT HONOROWY

Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego

FUNDACJA FIRMY RODZINNE

PARTNERZY

ORLEN

PHN

GRUPA CEDROB

Poczta Polska

arp

LANDESKRONE

LUBOMIRSKICH

PARTNER MERYTORYCZNY

pwc

eprasa.pl 9eadf03530

FOT. AP/EAST NEWS

Maciej Pieczyński

Oleg Sencow kontynuuje głodówkę w kolonii karnej pod wdzięczną nazwą Biały Niedźwiedź. Jak ukraiński reżyser stał się „terrorystą”?

Sencow, więzień Putina

Federalna Służba Bezprawia (FSB – Federalna Służba Bezpieczeństwa) w waszym kraju potrafi szyć sprawy bardzo grubymi nićmi. Jestem pewien, że […] dostanę 20 lat. Dlatego że taki wyrok mi zapowiedzieli jeszcze przed oficjalnym zatrzymaniem […], moim adwokatom ciągle powtarzają, że czeka mnie bardzo ciężkie i ciekawe życie w łagrze, jeśli w ogóle tam dojadę. Ale ja już nie boję się gróźb, aluzji. I ten wyrok – 20 lat – nie jest mi straszny. A to dlatego, że ja wiem, że epoka rządów krwawego karzełka w waszym kraju skończy się wcześniej” – tymi słowami zwrócił się do Rosjan Oleg Sencow podczas sądowej rozprawy. W jednym miał rację – dostał wyrok 20 lat więzienia za terroryzm. Czy jego drugie „proroctwo” się spełni, jeszcze nie wiadomo. Faktem jednak jest, że po pierwsze, jak z dumą przyznał jego obrońca Dmitrij Dinze, Sencow to jedyny człowiek, który zza krat odważył się zaatakować słownie Władimira Putina, po drugie – nie tylko nie załamał się, ale po trzech latach odsiadki podjął bardzo ryzykowną walkę w imieniu towarzyszy niedoli. W maju ogłosił głodówkę, żądając uwolnienia wszystkich ukraińskich więźniów politycznych, przetrzymywanych w Rosji. Co jakiś czas światowe media obiegają kolejne informacje o pogarszaniu się stanu jego zdrowia.

BRONIĆ PRAWDY

„Dziękuję bardzo za list i dobre słowa! Cieszę się, że moje opowiadania spodobały się braciom Polakom […]. Dziękuję wszystkim Polakom za to, że wspieracie nas Ukraińców w tych trudnych chwilach. Bracia postępują właśnie tak, bracia nie okradają bezczelnie sąsiada, korzystając z sytuacji. Mam nadzieję, że znów odwiedzę Polskę” – tak osadzony w rosyjskim więzieniu ukraiński reżyser zareagował na wiadomość o wsparciu ze strony polskich aktorów. W ramach akcji Andrzej Seweryn, Edyta Olszówka, Andrzej Chyra, Agata Kulesza czy Daniel Olbrychski czytali przetłumaczone specjalnie na tę okazję teksty Olega Sencowa. Nagrania odczytów publikował w Internecie portal Culture.pl. W liście do redakcji serwisu Sencow dziękował „Zwłaszcza Danielowi Olbrychskiemu – wspaniałemu aktorowi, który, jak wiem, już niejeden rok mnie wspiera”. W kampanię na rzecz uwolnienia ukraińskiego reżysera od samego początku zaangażowało się międzynarodowe środowisko twórców kina – solidarność wyraził m.in. Pedro Almodóvar. Sencow został uznany za honorowego jurora festiwali filmowych w Sofii, Motovun, Wenecji i Warszawie. Apele o uwolnienie Sencowa napływają z całego zachodniego świata. Tymczasem prokremlowskie media kpią z uwięzionego. Jeden z blogerów ponuro zażartował, że Sencow jest bardziej terrorystą niż reżyserem. A to dlatego, że ma za sobą tylko jeden wyreżyserowany film („Gamer” – autobio-

eprasa.pl 9eadf03530

graficzna opowieść o młodym chłopaku, zafascynowanym grami komputerowymi; drugiego filmu Sencow nie dokończył, ponieważ zaangażował się na Majdanie) i aż dwa zamachy terrorystyczne. Rosjanie wyśmiewają zaangażowanie świata kina w obronę twórcy, który znany jest przede wszystkim z tego, że jest więźniem. – Oleg patrzy dziś śmierci w oczy. Znając go, od samego początku byłem przekonany, że nie poprosi o łaskę. Jest bardzo uparty. To dobry i prosty, w najlepszym tego słowa znaczeniu, człowiek, którego życie nauczyło, by stawiać na swoim i bronić prawdy, a więc tej wartości, której tak bardzo brakuje w dzisiejszej Rosji – mówi „Do Rzeczy” Aleksiej Miedwiediew, rosyjski krytyk filmowy, znajomy Sencowa, zaangażowany w próby jego uwolnienia. – Rozmawiałem oficjalnie i nieoficjalnie z wieloma ludźmi, którzy mają dostęp do prezydenta Putina, sondując możliwość ułaskawienia Olega. Wszyscy mówili to samo: „Proces decyzyjny jest w toku”. Być może więc uwolnienie Olega to kwestia czasu. Ale jest też taka możliwość, że to tylko zasłona dymna. Tak czy inaczej, wciąż potrzebny jest nacisk społeczny – dodaje Miedwiediew.

WYMUSZONE ZEZNANIA

Oleg Sencow przebywa w kolonii karnej o wiele mówiącej nazwie Biały Niedźwiedź w Labytnangi, tuż za kołem podbiegunowym, w zachodniej Syberii. Wcześniej był więziony w Jakucku, Czelabińsku, Rostowie, Moskwie, Symferopolu. Ukraińscy dziennikarze wyliczyli, że w kajdanach, pokonując kolejne etapy tej współczesnej katorgi, Sencow i sądzony wraz z nim Ołeksandr Kolczenko objechali łącznie niemal połowę drogi dookoła świata. Oprócz ich dwóch w tej samej sprawie przed rosyjskim sądem stanęli Jewgienij Afanasjew i Aleksiej Czirnij. Wszyscy zostali zatrzymani na okupowanym Krymie w maju 2014 r. Według rosyjskich śledczych mieli przygotowywać na półwyspie „zamachy terrorystyczne” – w tym atak na siedzibę putinowskiej partii Jedna Rosja czy wysadzenie pomnika Lenina. Jedyne „kompromaty”, jakie w mieszkaniu Sencowa podczas przeszukania znaleźli funkcjonariusze FSB, to… płyty z filmami „Zwyczajny faszyzm” oraz „Historia III Rzeszy”. Te „dowody” miały świadczyć, że reżyser jest członkiem uważanego za faszystowski Prawego Sektora. I to pomimo że pierwszy z wymienionych filmów to antyfaszystowski obraz sowieckiej propagandy. Ta organizacja ukraińskich nacjonalistów jest oficjalnie zakazana na terenie Federacji Rosyjskiej. A więc – z perspektywy Moskwy – również na Krymie. Kwestia przynależności półwyspu od początku miała bardzo istotne prawne znaczenie dla całej sprawy. Wraz z aneksją okupanci uznali mieszkańców Krymu za obywateli FR – i właśnie jako obywatele FR stanęli przed sądem oskarżeni, mimo iż nigdy tego obywatelstwa nie przyjmowali. Sencow prawie całe życie spędził na Krymie, ale zawsze – także podczas procesu – podkreślał, że jest Ukraińcem, choć rosyjskojęzycznym. Kolczence śledczy niejednokrotnie proponowali, by zrzekł się rosyjskiego obywatelstwa. To była prowokacja – zrzekając się, mieszkaniec Krymu automatycznie potwierdziłby, że wraz z aneksją półwyspu jego mieszkańcy stali się Rosjanami. Kolczenko nie dał się przekonać. Decydującą rolę w śledztwie odegrali Czirnij i Afanasjew. Obaj obciążyli Sencowa. Według ich wersji to właśnie Sencow kierował ich grupą. Jednak Afanasjew nieoczekiwanie dla wszystkich odwołał swoje zeznania. Publicznie wyznał, że były one wymuszone torturami. O szczegółach opowiedział mediom Aleksander Popkow, adwokat. Według tej wersji oskarżonemu założono maskę przeciwgazową i wstrzyknęli „jakąś ciecz”, wywołując mdłości. Afanasjew miał się dusić własnymi wymiocinami. Był też rażony prądem. Sencow również był torturowany – śledczy dusili go reklamówką niemal do utraty przytomności. Do winy się jednak nie przyznał. Skazany został na podstawie zeznań Afanasjewa i Czirnija, mimo iż pierwszy z nich zeznania odwołał. Wszystko zaczęło się od Czirnija. Zgłosił się do Aleksandra Pirogowa, studenta chemii, by ten przygotował ładunek wybuchowy. Pirogow doniósł na niego do FSB. Prawdziwym inicjatorem całej akcji był więc Czirnij, który jednak najprawdopodobniej podjął współpracę z FSB, by uzyskać jak najmniejszy wyrok.

SĄD OKUPANTÓW

Dlaczego właśnie Sencow? Dlaczego w organizację aktów terroru został wrobiony reżyser filmowy? – Nie ma w tym żadnego sprytnego zamysłu. Podczas okupacji Krymu Sencow, jak i wielu aktywnych ludzi, próbował bez użycia przemocy zatrzymać agresję „zielonych ludzików”. Organizował pokojowe demonstracje, tworzył i rozwieszał plakaty. Jego opór był pozbawiony agresji, powiedziałabym, że był nawet twórczy. Właśnie dlatego Amnesty International uznało go za więźnia sumienia – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy” Ołeksandra Matwijczuk, ukraińska obrończyni praw człowieka.

Prawy Sektor oficjalnie zaprzeczył, by Sencow był członkiem tej organizacji. Faktem jest natomiast, że reżyser był działaczem opozycyjnym. Gdy jesienią 2013 r. wybuchły protesty na Majdanie, Sencow przerwał zdjęcia do swojego najnowszego filmu „Nosorożec” i wyjechał do Kijowa. Zaangażował się w działalność Automajdanu. Gdy Rosjanie zajęli jego rodzinny Krym, zaangażował się w pomoc dla ukraińskich żołnierzy, blokowanych w jednostkach przez okupantów. Sencow pozostawił w domu dwoje dzieci. Opiekuje się nimi matka reżysera. Oprócz aresztu spotkała go również rodzinna tragedia – gdy Olega zatrzymano, jego żona wyjechała do Kijowa z kochankiem. Historia Sencowa jest też charakterystycznym przykładem skomplikowanych losów mieszkańców południowej i wschodniej Ukrainy. On sam od początku twardo walczył najpierw z Janukowyczem, następnie z rosyjską agresją na Krymie, mimo swojego rosyjskiego pochodzenia. Natomiast jego siostra Galina znalazła się niejako po drugiej stronie barykady – jej mąż jest oficerem FSB. – Oleg nie ma do niej żalu. W liście do matki napisał, że kocha Galię. Oni zawsze byli bardzo zżyci ze sobą – mówi „Do Rzeczy” Natalia Kapłan, kuzynka Sencowa, mocno zaangażowana w akcję na rzecz jego uwolnienia. – Z kolei Galia, jeśli o coś ma do Olega pretensje, to o to, że nie wyjechał z Krymu, nie uniknął aresztowania, choć miał taką możliwość – dodaje.

O Sencowie wiele mówi jego przemówienie tuż po ogłoszeniu wyroku. Reżyser zaznaczył w nim, że nie będzie nikogo o nic prosić: „Sąd okupantów z definicji nie może być sprawiedliwy” – stwierdził. I cytując słowa Michaiła Bułhakowa z powieści „Mistrz i Małgorzata”, nawiązując do wymuszonych na torturach zeznań, na podstawie których został skazany, dodał: „Tchórzostwo jest najstraszniejszym grzechem na ziemi […]. Gdy zakładają ci reklamówkę na głowę, trochę biją, a po półgodzinie jesteś gotów, by odciąć się od własnych poglądów, przyznać się do wszystkiego, byle tylko przestali bić… Nie wiem, ile warte są poglądy, jeśli nie jest się gotowym za nie pocierpieć albo umrzeć”.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9eadf03530

eprasa.pl 9eadf03530

FOT. WIKIPEDIA

FACEBOOK KONTRA RUBENSOWSKIE DAMY

Gdy w ubiegłym tygodniu wspomnieliśmy napominanie nadawców przez FIFA, by nie pokazywać zbliżeń na ładne panie na trybunach, z ironią dodaliśmy, że niebawem w muzeach będzie zakrywać się akty. Długo nie trwało. Flamandzka Izba Turystyczna wysłała oficjalny protest do Facebooka, który usunął zdjęcia dzieł Rubensa. Muzealnicy z Belgii przypominają, że portal Zuckerberga poszedł dalej niż przedstawiciele Kościoła, którzy w XVII w. prosili artystę o domalowanie przepasek na biodrach.

IZRAEL TYLKO DLA ŻYDÓW

Jest taki kraj, w którym awanturę wzbudziła polska ustawa dotycząca w skrócie tego, by nie można było Polaków bezpodstawnie oskarżać o zbrodnie dokonane przez nazistów z Niemiec. I ten sam kraj przyjął właśnie ustawę o sile porównywalnej z konstytucją, w której zapisał, że Izrael jest państwem narodu żydowskiego. Można sobie tylko wyobrazić, co by się działo, gdyby polski parlament przyjął ustawę, w której zapisałby, że Polska jest tylko dla Polaków...

WŁOSKI POLITYK ODPŁYNĄŁ

Wybrany do włoskiej Izby Deputowanych znany żeglarz Andrea Mura (Ruch Pięciu Gwiazd) brał udział w ośmiu z 220 głosowań. Jak więc wyliczył parlamentarzysta Ugo Cappellacci – Mura był nieobecny na 96 proc. posiedzeń włoskiej izby. Żeglarz w mediach odpowiedział, że i tak jest lepszy od wielu parlamentarzystów, którzy „chodzą od izby do izby i tylko robią selfie", bo on przynajmniej pływa na jachcie.

LODY MAJONEZOWE

W nowoczesnym świecie nie do końca wystarczy przygotować coś dobrego do zjedzenia, żeby ludzie to kupili. Musi być przecież „coś nowego", żeby klienci chcieli tego spróbować. Czasem idzie to jednak zbyt daleko, o czym przekonała się – na razie w sieci – szkocka cukiernia Ice w Falkirk. Na Instagramie pochwaliła się klientom nowym smakiem lodów: majonezowym. Internauci zachwyceni nie byli. Nie ma doniesień o doznaniach tych, którzy jednak postanowili lodów spróbować.

DEKRET ANTYKOMAROWY

We francuskiej miejscowości Briollay po czerwcowej powodzi mieszkańcy zmagają się z plagą komarów. Domagali się m.in. działania od władz samorządowych. Burmistrz wydał dekret przeciw komarom. Jak tłumaczył prasie, chciał w ten – jego zdaniem zabawny – sposób pokazać mieszkańcom, że niewiele może w tej sprawie zrobić. Żeby tylko tego nie przeczytali włodarze polskich miast, bo będziemy mieli lawinę miejscowych rozporządzeń. ©℗ ***Łukasz Zboralski***

PIECZEŃ RZYMSKA

Koszmarne wypadki przy pracy

PIOTR KOWALCZUK Z RZYMU

Lata temu kolega z polskiej sekcji BBC w Londynie robił cotygodniowy program o sprawach międzynarodowych. Przemęczać się nie lubił, więc zamiast poszukać w depeszach BBC czy Reutersa, sięgnął po depesze PAP, które miały tę zaletę, że nie trzeba było ich tłumaczyć, ale miał pecha. Ściągnięte depesze (z powodu awarii w redakcji PAP) pochodziły z poprzedniego roku. Omówił więc sytuację na frontach wojen, które już dawno się skończyły. Szyderczy chichot niósł się po redakcji przez długie tygodnie.

Z okazji przyjęcia przez Sejm nowelizacji ustawy o Sądzie Najwyższym Onet przytoczył 21 lipca br. depeszę Katolickiej Agencji Informacyjnej o bardzo krytycznej i ostrej reakcji „L'Osservatore Romano". Jako korespondent Polskiego Radia w Rzymie struchlałem, bo najwyraźniej komentarz watykańskiego dziennika mi umknął.

W oczekiwaniu na przykry telefon z Warszawy zajrzałem raz jeszcze do „L'Osservatore Romano". Ale oprócz krótkiej notki niczego innego na ten temat nie znalazłem. Po chwili buszowania w Internecie żona wykryła prawdę: przytoczona przez Onet depesza KAI pochodziła z lipca ubiegłego roku i dotyczyła ustawy w jej pierwotnej formie.

Onet wieczorem przyznał się do pomyłki, ale co nie do wiary, „fałszywkę", nie sprawdzając, powtórzyły największe polskie portale informacyjne, często z ostrymi, odredakcyjnymi komentarzami. A dostarczają one informacji (?) milionom polskich internautów. Gdy wpadka wyszła na jaw, zamiast przeprosić, redaktorzy zabrali się do zacierania śladów, co mówi o tych ludziach i portalach wszystko.

A inny mój kolega z BBC ciągle powtarzał: „Ja wiem, że »Pana Tadeusza« napisał Słowacki, ale zawsze sprawdzam". ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 9eadf03530

Czas czołgów

Pod względem liczby czołgów polskie Siły Zbrojne ustępują w NATO jedynie Stanom Zjednoczonym, Grecji i Turcji. Dzięki wartej ok. 2,5 mld zł kompleksowej modernizacji istotnej części z nich Polska zyska nowoczesny oręż, który wciąż odgrywa rolę na współczesnym polu bitwy

Wśród czołgów, które znajdują się w wyposażeniu polskiej armii, ok. 250 to zakupione w latach 2002–2003 i 2013 od Bundeswehry niemieckie maszyny Leopard 2 w wersjach 2A4 i 2A5. Pozostałe to PT-91 Twardy i bazujące na radzieckiej konstrukcji T-72M1.

Wyprodukowane w latach 80. XX w. Leopardy 2A4 wymagały modernizacji. Umowa w tej sprawie została podpisana w grudniu 2015 r. przez Inspektorat Uzbrojenia oraz konsorcjum Polskiej Grupy Zbrojeniowej i wchodzących w jej skład Zakładów Mechanicznych Bumar-Łabędy. Kontrakt objął modernizację 128 czołgów do standardu Leopard 2PL i wart był 2,415 mld zł. Podpisany w czerwcu 2018 r. aneks rozszerzył zakres umowy o pozostałych 14 czołgów Leopard 2A4.

OD CELOWNIKA PO ARMATĘ

Główne obszary modernizacji to m.in. zwiększenie odporności balistycznej wieży, wymiana układu stabilizacji armaty i napędów wieży z hydraulicznych na elektryczne, modernizacja przyrządów obserwacyjno-celowniczych, zwiększenie możliwości ogniowych poprzez umożliwienie wykorzystania nowych typów i rodzajów amunicji, poprawa bezpieczeństwa załogi, montaż systemu zarządzania polem walki (BMS) i montaż pomocniczego zespołu prądotwórczego.

Po realizacji umowy flota polskich czołgów Leopard 2 zostanie zunifikowana do dwóch wersji: Leopard 2PL (w 10. Brygadzie Kawalerii Pancernej w Świętoszowie oraz jedna kompania w 1. Warszawskiej Brygadzie Pancernej w Wesołej) oraz Leopard 2A5 (większość wyposażenia 1 BPanc.).

Łączna wartość umowy (wraz z aneksem) na modernizację leopardów to ponad 2,7 mld zł. Jest to więc trzeci pod względem wielkości kontrakt zbrojeniowy zawarty w ostatnich latach, po umowie na pierwszą fazę programu obrony powietrznej WISŁA (2018) oraz kontrakcie na cztery dywizjonowe moduły ogniowe Regina z 96 haubicami Krab (2016).

Liderem programu modernizacji leopardów są Zakłady Mechaniczne Bumar-Łabędy S.A. z Gliwic. Biorą w niej również udział inne przedsiębiorstwa Polskiej Grupy Zbrojeniowej, a także partnerzy zagraniczni.

Zarówno w gliwickich zakładach, jak i u pozostałych krajowych poddostawców poczyniono znaczne inwestycje dające możliwość wykonania kompletnej modernizacji na terenie Polski. Przy współpracy z niemieckim partnerem odbywają się szkolenia z zakresu przebudowy czołgu oraz obsługi realnie poszerzające kompetencje kadry zakładów Bumar-Łabędy.

W Siłach Zbrojnych RP oprócz leopardów 2A4 i 2A5 służą również czołgi T-72M1 i PT91. MON planuje ich modernizację jako rozwiązanie pomostowe do czasu wprowadzenia czołgu nowej generacji. Na razie trwa faza analityczno-koncepcyjna, mająca określić zakres przeprowadzanej modernizacji. PGZ gotowa jest zrealizować zarówno wariant ograniczonej modernizacji obejmującej wybrane elementy pojazdu, jak i pełnej, polegającej na przezbrojeniu czołgów w armaty 120 mm oraz dopancerzeniu pojazdów.

WALKA O PRZYSZŁOŚĆ

Niezależnie od prowadzonych obecnie prac nad modernizacją istniejących konstrukcji europejskie państwa NATO zaczynają prace nad pojazdem nowej generacji. Polska prowadzi rozmowy z wieloma partnerami i sojusznikami na temat współpracy związanej z projektem nowego czołgu podstawowego, którego produkcja miałaby rozpocząć się pod koniec następnej dekady. Polska Grupa Zbrojeniowa widzi w projekcie czołgu nowej generacji szansę dla swojego segmentu pancernego. Doświadczenie i know-how zdobyte przy modernizacji czołgów Leopard 2 może być jednym z argumentów przy negocjacjach o potencjalnym udziale polskiego przemysłu obronnego w tym rozpisanym na wiele lat programie. ©℗

eprasa.pl 9eadf03530

Jacek Przybylski

Najbogatszy człowiek świata

152 mld dol., czyli ponad 550 mld zł. Tyle w zeszłym tygodniu wart był majątek Jeffa Bezosa. Szczupły, łysy 54-latek w pierwszych miesiącach tego roku co sekundę bogacił się o... blisko 12 tys. zł

Fortuna założyciela Amazona – giganta z branży e-commerce – od stycznia wzrosła o ponad 50 mld dol. (równowartość 180 mld zł). Takiego poziomu nie osiągnął nigdy nikt, od kiedy 36 lat temu magazyn „Forbes" zaczął publikować rankingi największych współczesnych bogaczy. Nawet Bill Gates w najlepszych czasach bańki internetowej, czyli pod koniec lat 90. ubiegłego wieku, dysponował majątkiem wycenianym na 100 mld dol., co po uwzględnieniu inflacji daje „tylko" 149 mld dzisiejszych dolarów.

Dla większości ludzi 152 000 000 000 dol. to jednak kwota, której po prostu nie sposób ot tak sobie wyobrazić. Nawet fortuna Donalda Trumpa, przedsiębiorcy i prezydenta USA, jest 50-krotnie mniejsza. Zadanie ułatwić może informacja, że amerykański przedsiębiorca ma zdecydowanie większy majątek niż wynosi PKB całej Chorwacji (50,4 mld dol.). Nie byłoby to jednak szczególne osiągnięcie, bo podobne zdanie jest prawdziwe w odniesieniu do każdej z 10 najbogatszych osób świata. Tylko Bezos może za to powiedzieć, że jest wart więcej niż wynosi PKB Węgier (124,3 mld dol.).

Spore wrażenie robi również stwierdzenie, że w tym roku dziewięciu najbogatszych ludzi świata ma już tyle pieniędzy, ile wynosi skumulowana wartość majątku 4 mld najbiedniejszych mieszkańców globu. Wróćmy jednak do najbogatszego Jeffa świata. W jakim tempie bogaci się szef Amazona?

1 stycznia fortuna Jeffa Bezosa wyceniana była na 99 mld dol., a już 1 maja wynosiła 132 mld dol. To oznacza, że w ciągu 120 dni wzbogacił się o 33 mld dol., czyli średnio o 275 mln dol. dziennie. Gdyby przyjąć, że to zarobek za ośmiogodzinny dzień pracy, to stawka godzinowa najbogatszego człowieka na Ziemi wynosiłaby 34,375 mln dol. Żeby nie psuć sobie nerwów, podzielmy jednak 275 mln dol. na 24 godziny.

eprasa.pl 9eadf03530

Jeff Bezos jest m.in. właścicielem udziałów w produkującej rakiety kosmiczne spółce Blue Origin, której celem jest umożliwienie ludziom prywatnych podróży kosmicznych

FOT. CHUCK BIGGER/ALAMY STOCK PHOTO/BEGW

Wówczas okaże się, że Bezos zarabiał co godzinę jedynie 11,45 mln dol., czyli 190,8 tys. dol. na minutę. Innymi słowy prezes Amazona na sekundę zarabia 3182 dol., czyli niemal 12 tys. zł.

Z RANCZA DO GARAŻU

Człowiek legenda epoki e-commerce, twórca największego na świecie sklepu internetowego, nie zawsze tak dobrze zarabiał. Uosobienie amerykańskiego snu swoje nazwisko zawdzięcza drugiemu mężowi matki, imigrantowi z Kuby. Gdy dorastał na ranczu u dziadka w Teksasie, nikt nie spodziewał się, że chłopak wypasający bydło będzie kiedyś aż tak bogaty.

Niezwykle pracowity absolwent elitarnego Uniwersytetu Princeton – na którym zgłębiał wiedzę dotyczącą inżynierii elektronicznej i informatyki – i wiceprezes D.E. Shaw latem 1994 r. w wieku 30 lat porzucił pracę na Wall Street i wraz z żoną MacKenzie zdecydował, że porzucą dobrze płatne stanowiska i tętniący życiem Nowy Jork i wyprowadzą się w – nie, nie, nie w Bieszczady, ale do położonego na drugim krańcu Stanów Zjednoczonych miasta Seattle.

Cel: zacząć wszystko od nowa i wykorzystać szanse, jakie dawał powstający wówczas dopiero e-handel. Bezos najpierw założył firmę Cadabra, ale nazwę tę szybko zmienił, bo zorientował się, że jego klienci nie potrafią jej poprawnie zapisać. Podobnie jak Steve Jobs czy Bill Gates rozkręcanie wielkiego, globalnego biznesu rozpoczął od sprzedaży książek w garażu. Prawdziwe biuro i magazyn wynajął dopiero w roku 1995 r. Wtedy ruszyła też jego firmowa strona w Internecie. Dzięki promocjom wynoszącym od 10 do 30 proc. firma Bezosa otrzymywała początkowo mniej więcej sześć zamówień dziennie. Nie minął jednak tydzień od momentu, gdy portal Yahoo! opisał witrynę Amazona w rankingu najfajniejszych stron, jak do internetowej księgarni napłynęły zamówienia warte 12 tys. dol. Aby uporać się z nawałem zleceń, przez pierwsze miesiące wszyscy pracownicy w firmie do drugiej, trzeciej w nocy pakowali książki i adresowali przesyłki, klęcząc na betonowej podłodze. Musieli robić to na podłodze, bo pierwsze stoły Bezos kupił dopiero po kilku tygodniach. Po roku za pośrednictwem Amazona można było kupować nie tylko książki, lecz także filmy. Po kilku latach imperium Bezosa kompletnie zmieniło sposób, w jaki Amerykanie myślą o zakupach. Na Amazonie można bowiem nabyć wszystko, od e-czytników przez proszek do prania do „prenumeraty" papieru toaletowego.

Już w 1998 r., tuż po tym, jak na giełdzie papierów wartościowych zadebiutował Amazon, Jeff Bezos pierwszy raz pojawił się na liście najbogatszych. Jego majątek szacowano wówczas jednak „jedynie" na 1,6 mld dol. Rok później trafił na okładkę magazynu „Time". Po pęknięciu bańki internetowej założyciel Amazona postanowił, że firma będzie sprzedawać także zabawki, kosmetyki czy biżuterię. Jednocześnie kierowana przez Bezosa firma sprawiła, że najwięksi potentaci amerykańskiego rynku księgarskiego, tacy jak choćby Borders, musieli ogłosić bankructwo.

Amazon wciąż rozwija stosowane technologie, m.in. te, które pozwalają lepiej poznać klientów na podstawie ich dotychczasowych zakupów. Już w 2014 r. kierowana przez Jeffa Bezosa firma opatentowała rozwiązanie, które pozwala wysyłać paczki do klientów, zanim zdążą złożyć zamówienia. System rodem z „Raportu mniejszości" ma znacząco skrócić czas, który upływa od złożenia zamówienia do dostawy. Jak to niby miałoby działać? Otóż na podstawie ogromnej bazy danych o zachowaniach klientów (np. historii wyszukiwań, czasu spędzonego na stronie danego produktu etc.) Amazon decydowałby o wysłaniu „antycypowanej przesyłki" w rejon zamieszkania potencjalnego klienta. Wówczas wystarczyłoby, że klient w końcu uświadomi sobie, iż chce kupić produkt i… błyskawicznie miałby go u siebie w domu.

eprasa.pl 9eadf03530

Innym sposobem na przyspieszenie dostaw ma być zastąpienie kurierów dronami, co ma pozwolić na dostarczanie towarów nawet w ciągu 30 minut od zamówienia. Pierwszą paczkę Amazon dostarczył w ten sposób już w grudniu 2016 r.

KOSMICZNE MARZENIA

Jednocześnie ostro rosną zarówno przychody spółki – na poziomie niemal 178 mld dol. za cały 2017 r., a tylko w pierwszym kwartale obecnego roku przychody sięgnęły 51 mld dol. po wzroście aż o 43 proc. – jak i zysk operacyjny, który za pierwszy kwartał 2018 r. wyniósł 1,9 mld dol. Lecz chociaż w skład majątku najbogatszego obecnie człowieka na Ziemi wchodzą głównie akcje Amazona, to Bezos nie skupia się wyłącznie na rozwoju sklepu internetowego.

W 2013 r. za 250 mln dol. miliarder kupił udziały w spółce wydającej dziennik „The Washington Post". Żonaty ojciec trzech synów i adoptowanej z Chin córeczki jest również właścicielem udziałów w produkującej rakiety kosmiczne spółce Blue Origin, której celem jest umożliwienie ludziom prywatnych podróży kosmicznych. Według zapowiedzi Bezosa za pierwsze wypady w kosmos trzeba będzie zapłacić tylko od 200 do 300 tys. dol.

Miliarder wizjoner zdążył też już zarobić na trójwymiarowym druku – szef Amazona w 2011 r. znalazł się w grupie inwestorów, którzy wyłożyli 10 mln w rozwój firmy Makerbot, którą w czerwcu 2013 r. sprzedano za ponad 400 mln dol. Bezos zainwestował również w firmę Uber – serwis mający stanowić kontrpropozycję dla taksówek, oraz wiele innych start-upów (był m.in. jednym z pierwszych inwestorów, którzy wyłożyli pieniądze na Google oraz Twittera).

Założyciel największego internetowego sklepu na świecie rozwija też serwis z filmami oraz serialami (Amazon Prime Video). Amazon Web Services oferuje usługi w chmurze. A także inwestuje w odnawialne źródła energii.

Właściciel największego – po Białym Domu – domu w Waszyngtonie zajmuje również coraz wyraźniejsze stanowisko w kwestiach politycznych. I chociaż jego przyjaciele określają go mianem libertarianina, to Bezos finansowo częściej wspiera polityków Partii Demokratycznej niż republikanów. Od kilku miesięcy Jeff Bezos toczy publiczną wojnę

Najbogatszy człowiek świata z żoną Mackenzie

FOT. GEISLER-FOTOPRESS GMBH /ALAMY STOCK PHOTO/BEGW

z Białym Domem. Prezydent Donald Trump nie ukrywa, że nie lubi nie tylko „The Washington Post", lecz także firmy Amazon.

Za szefem Amazona nie przepadają również związkowcy. Wprawdzie imperium Bezosa zatrudnia już ponad pół miliona pracowników, to mediana ich zarobków wynosi zaledwie 28,4 tys. dol. rocznie, czyli dużo, dużo mniej niż w firmach, takich jak: Apple, Facebook czy Google.

Bezos te 28 tys. dol. zarabia w nieco ponad 9 sekund, strajki pracowników domagających się podwyżek w magazynach Amazona w Hiszpanii czy w Niemczech zdają się nie robić na Bezosie większego wrażenia. Skargi płyną również od pracowników koncernu w Polsce, gdzie koncern stworzył ponad 14 tys. stałych miejsc pracy. Minister Elżbieta Rafalska zwróciła się do Głównego Inspektora Pracy o podjęcie działań kontrolnych w centrach logistycznych firmy Amazon działających na terenie naszego kraju.

Praca dla miliardera również nie należy do największych przyjemności: jak ujawnił „The Mirror", pracownicy w Wielkiej Brytanii w godzinach pracy nie mają prawa choć na chwilę usiąść, a ich przerwy na wyjście do łazienki są ściśle limitowane. Miliarder znany jest też z tego, że wyjątkowo ostro krytykuje swoich podwładnych, a jednocześnie bardzo rzadko można od niego usłyszeć jakieś dobre słowo. Być może dlatego w sortowniach Amazona coraz częściej zamiast ludzi pracują roboty.

LEPSZY OD WYROCZNI, GORSZY OD CEZARA

Wahania kursów spółek sprawiają, że wartość majątków najbogatszych zmienia się z dnia na dzień.

Pozycja Jeffa Bezosa w rankingu Bloomberg Billionaires Index wydaje się jednak niezagrożona.

Majątek drugiego najbogatszego człowieka na świecie – legendarnego założyciela Microsoftu Billa Gatesa – szacowany jest na 95,3 mld dol.

Na trzecim miejscu, z majątkiem wartym 85,3 mld dol., znajduje się zaś założyciel Facebooka Mark Zuckerberg, który zepchnął z podium Warrena Buffetta. Słynna „wyrocznia z Omaha" ma już jedynie 82,4 mld dol. – wynika to jednak m.in. z realizacji obietnicy przekazania całego majątku na cele charytatywne (do tej pory Buffett rozdał już ponad 30 mld dol.).

Pierwszą piątkę najbogatszych zamyka pierwszy miliarder spoza Stanów Zjednoczonych – Bernard Arnault to najbogatszy Francuz świata. Na szóstym miejscu znajduje się Hiszpan Amancio Ortega – założyciel firmy Zara – z majątkiem wartym 74 mld dol., a na siódmym Meksykanin Carlos Slim, wyceniany na 61,9 mld dol.

Ambitny i oszczędny Bezos może więc szykować się do rywalizacji o tytuł nie tylko najbogatszego człowieka w historii współczesnej, lecz także jednego z najbogatszych ludzi w historii ludzkości.

Według historyków najbogatszym człowiekiem w historii był twórca i długoletni władca imperium mongolskiego Czyngis-chan. W czołówce znajdują się również m.in. August Cezar – którego osobista fortuna warta była 25–30 proc. całej gospodarki Cesarstwa Rzymskiego i który do swych prywatnych posiadłości zaliczał m.in. Egipt – a także biblijny król Solomon (jego majątek w przeliczeniu na dzisiejsze pieniądze byłby wart grubo ponad 2 bln dol.).

Wysoko w rankingu najbogatszych ludzi w całej historii plasują się też John D. Rockefeller, twórca monopolistycznego Standard Oil Company, którego majątek w chwili śmierci szacowany był na równowartość 2 proc. amerykańskiego PKB, a także szkocki imigrant i potentat przemysłowy Andrew Carnegie, który uzbierał fortunę odpowiadającą 2,1 proc. PKB Stanów Zjednoczonych, po czym w ostatnich latach życia rozdał 90 proc. różnego rodzaju fundacjom charytatywnym i instytucjom edukacyjnym. Do pierwszej dwudziestki najbogatszych ludzi wszech czasów zaliczany jest też były libijski dyktator Muammar Kaddafi, który na tajnych kontach zgromadził ponoć ok. 200 mld dol. Czy Bezos zdoła go pokonać?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9eadf03530

REPUBLIKA

NIE ZWALNIAMY TEMPA!

Premierowe odcinki w każdy

poniedziałek 20:00

tweetup

#TweetupRepublika

ZADAWAJ PYTANIA NA ŻYWO

Oglądaj Telewizję Republika również na: www.telewizjarepublika.pl

eprasa.pl 9eadf03530

Z wiceministrem inwestycji i rozwoju Arturem Soboniem
rozmawia Stefan Sękowski

Kowalski będzie w pełni właścicielem

FOT. TOMASZ ADAMOWICZ/GAZETA POLSKA/FORUM

STEFAN SĘKOWSKI: Około 2,5 mln osób ma mieszkania bądź domy na terenach objętych użytkowaniem wieczystym...

ARTUR SOBOŃ: ... a mieszka w nich pewnie 8–10 mln Polaków.

Rząd chce, by ci użytkownicy stali się teraz właścicielami tych terenów. Co tak naprawdę się zmieni?

Od 1 stycznia 2019 r. będą właścicielami nie tylko swojego mieszkania czy domu, lecz także gruntu, który jest związany z tym mieszkaniem czy domem. Obecne prawo jest reliktem poprzedniej epoki, powstawało po to, by realizować budownictwo mieszkaniowe w PRL. Nikt jednak wówczas nie wyodrębniał w zabudowie wielorodzinnej własnych mieszkań. Gdy mamy własne mieszkanie i grunt, który nie jest nasz, jest to sytuacja mało komfortowa. Nie wiadomo, co się stanie, gdy skończy się użytkowanie wieczyste.

Co się stanie?

Od 1 stycznia 2019 r. każdy będzie właścicielem i nie będzie musiał odpowiadać sobie na to nieco surrealistyczne pytanie.

Po wejściu w życie ustawy będzie uiszczał opłatę przez 20 lat. W praktyce więc przez ten okres nic się dla niego nie zmienia.

Tak, poza jedną ważną kwestią. Podstawą wysokości tych 20 rat będzie decyzja z 1 stycznia 2019 r. Nie będzie więc sytuacji, w której wojewoda czy starosta nagle się zorientuje, że nie doszacował wartości nieruchomości i np. teraz trzeba uiścić siedem razy wyższą opłatę roczną. Te 20 rat to cena, jaką płacimy za stabilność dochodów z mienia samorządu, tak aby nie było żadnej możliwości podważenia konstytucyjności tej ustawy. Jest to ważne społecznie, dotyczy dużej grupy obywateli i najgorsze, co mogłoby się stać, to gdyby Trybunał Konstytucyjny mógł to podważyć.

To wystarczająca cena?

Odrobiliśmy lekcję z poprzednich orzeczeń TK, bo Trybunał zajmował się sprawą wielokrotnie. Nie mówił, że przekształcenie jest co do zasady niekonstytucyjne, tylko nakazał zachowanie pewnych ram. Wyodrębniliśmy więc grupę osób o jednorodnej cesze, czyli w tym przypadku właścicieli nieruchomości na cele mieszkaniowe. TK wskazywał też, że trzeba się kierować zasadą proporcjonalności. Te 20 rat odpowiada dochodom, jakie samorząd zyskuje przy przekształceniu na mocy obecnej ustawy. Daliśmy też samorządom pełną swobodę, jeśli chodzi o stosowanie bonifikat dla tych, którzy zdecydują się wykupić prawo własności wcześniej, a także możliwość uaktualnienia opłat jeszcze w tym roku. Przy czym wiemy, jaki to rok...

Wyborczy.

Zakładam, że samorządy będą się kierowały powściągliwością.

Nie ma zagrożenia, że już po wyborach samorządy podwyższą „na zapas" te opłaty, bo przez 20 lat nie będą mogły tego zrobić?

Pokusa zawsze istnieje, ale operacja sama w sobie nie jest prosta, a powściągliwość jesienią 2018 r. będzie większa niż zwykle. Tym bardziej że samorządy będą mogły same ustalać wysokość bonifikat przy wcześniejszym wykupie. Moje środowisko polityczne – PiS – będzie zachęcało do stosowania jak najwyższych bonifikat. Częścią naszego programu będzie, by nie były gorsze niż na gruntach Skarbu Państwa. W tym przypadku będzie to w pierwszym roku 60-procentowa bonifikata.

Już dziś można przekształcić użytkowanie wieczyste we własność. Po co więc zmiany?

Dzisiejsza konstrukcja wymaga aktywności. A czasem i ta aktywność to za mało, bo np. w spółdzielni czy we wspólnocie mieszkaniowej wystarczy liberum veto i grunt pod zabudową wielorodzinną nie zostaje przekształcony. To rozwiązanie spełniło swoją funkcję, ale chcemy objąć

eprasa.pl 9eadf03530

przekształceniem wszystkich. Część właścicieli nieruchomości już przekształca jednak grunty. Może być tak, że im się bardziej opłaca iść tą ścieżką, którą już rozpoczęli. W naszym projekcie jest zapisane, że mogą kontynuować przekształcenie na podstawie już rozpoczętej procedury, a jeśli nie, to 1 stycznia 2019 r. ich działki zostaną przekształcone na zasadach ogólnych.

Na razie mówimy o mieszkaniach. To jest pierwszy krok w stronę całkowitego odejścia od użytkowania wieczystego?

Drugi krok jest dużo trudniejszy. Nie chciałbym zostać uznany za następcę Leszka Balcerowicza w tym sensie, że dokończę prywatyzację, bo ten drugi krok oznaczałby, że np. galerie handlowe czy właściciele fabryk kupionych mniej więcej na początku lat 90. przekształciliby się z użytkowników wieczystych we właścicieli gruntu.

To źle?

Nie mówię, że to źle, ale rzecz trzeba przemyśleć i sprawić, by była społecznie akceptowana. Po pierwsze, musimy mieć pewność, że nie zostanie to uznane za niedozwoloną pomoc publiczną, i tu jest potrzebna notyfikacja z Komisji Europejskiej. Po drugie, w kodeksie cywilnym przydałby się zapis, który pozwala na wykorzystanie nieruchomości samorządowej lub państwowej w określonych celach. Całościowe przekształcenie oznacza też przekształcenie gruntów pod kościołami czy użytkowanych przez Polski Związek Działkowców. Nie da się tego rozwiązać na pstryknięcie palców. Samo przekształcenie „mieszkaniówki" to ogromna operacja. Lepiej rozłożyć to na dwa etapy, także z organizacyjnego punktu widzenia. To wielkie wyzwanie dla sądów, które będą musiały zmiany wpisać do ksiąg wieczystych. A one już dziś są zapchane.

Pierwsze wpływy do Skarbu Państwa z wcześniejszego wykupu pojawią się w ostatnim roku tej kadencji. Chcecie osiągnąć dodatkowy przychód?

Dla naszych następców?

Także dla was w roku wyborczym.

Dochody budżetu państwa z tytułu użytkowania wieczystego to nieco ponad 60 mln zł rocznie…

Ze względu na wcześniejszy wykup może być więcej.

Gdybyśmy przyjęli, że połowa użytkowników wieczystych zdecyduje się wykupić własność w pierwszym roku obowiązywania ustawy i skorzysta z bonifikaty, to do budżetu państwa wpłynie dodatkowe 600 mln zł. To też coś, ale my te dochody i tak uzyskalibyśmy w perspektywie czasu. Zachęcenie Polaków do tego, by jak najszybciej sfinalizowali opłatę przekształceniową, było moim pomysłem. Warto ten temat zamknąć jak najszybciej.

Nabycie prawa do użytkowania wieczystego było tańsze dla dewelopera czy spółdzielni, ponieważ w ich przypadku wystarczyło wnieść opłatę początkową w wysokości 15 proc. wartości nieruchomości. Zakup własności będzie droższy. A to może odbić się na cenach mieszkań.

Generalnie, a w dużych miastach właściwie wyłącznie, opłata za użytkowanie wieczyste rozłożona na lata jest równa wartości nieruchomości. Problemów z użytkowaniem wieczystym jest mnóstwo. Dzisiaj samorządy sprawdzają, na jaki cel użytkowanie było ustanowione. Może się okazać, że kupiliśmy teren, który już w planie zagospodarowania przestrzennego jest przeznaczony na cele mieszkaniowe, ale użytkowanie wieczyste było ustalone na inny cel i deweloper ma kłopot. W Krakowie czy Warszawie takich sytuacji jest bardzo dużo. Jednak jeśli ktoś buduje na terenie objętym użytkowaniem wieczystym, dzięki czemu może budować taniej, to przekształca dopiero w momencie oddania budynku do użytkowania. To tzw. opóźnione przekształcenie. Nie będzie można także ustanawiać nowego użytkowania wieczystego.

Jak pan ocenia realizację programu „Mieszkanie Plus"? Mieszkania na wynajem nie są tanie, zdarza się, że w umowach nie pojawiają się zapisy, iż mieszkania będą w przyszłości własnościowe.

Ważne jest, do czego porównujemy. Biała Podlaska jest dobrym przykładem, bo tam obok siebie są bloki komunalne, bloki budowane w formule spółki celowej z udziałem BGK Nieruchomości i budynki wybudowane przez deweloperów. Czynsz w blokach wybudowanych przez BGKN jest wyższy od tego w mieszkaniu komunalnym, tyle że osoby, które tam mieszkają, nie spełniałyby kryteriów przyznania mieszkania komunalnego. Jeśli jednak za 1 mkw. netto zapłaciliśmy 1860 zł i czynsz wynosi ok. 13 zł za metr, to jest to naprawdę taniej niż na rynku. Te osoby będą mogły – ale nie muszą – stać się w przyszłości właścicielami wynajmowanych mieszkań.

Tylko że w Białej Podlaskiej w umowach wcale nie ma zapisu, iż te mieszkania przejdą kiedyś na własność.

To choroby wieku dziecięcego. Ci ludzie zamieszkali w tych mieszkaniach, ale jeszcze nie ma instrumentu prawnego, który by w pełni zabezpieczał ich interesy. Nie ma jednak żadnych obaw – oni zostaną objęci zarówno najmem instytucjonalnym z dojściem do własności, jak i ustawą o dopłatach. Te instrumenty będą funkcjonowały od 1 stycznia 2019 r.

Oni tych umów jeszcze jednak nie mają, a dopóki nie ma się podpisanej umowy, dopóty różnie może być.

Specustawa mieszkaniowa określająca zasady najmu instytucjonalnego z dojściem do własności została przyjęta przez parlament i czeka na podpis prezydenta [wywiad odbył się 19.07.2018 r. – przyp. red.]. W tej chwili najemcy w Białej Podlaskiej mają podpisaną umowę najmu na 26 lat, a w sierpniu dostaną nową umowę.

Jednak cele „Mieszkania Plus" nie zostały do tej pory zrealizowane…

Pokazujemy, że potrafimy budować taniej, że potrafimy współpracować ze środowiskiem naukowym, z dostawcami nowoczesnych technologii i architektami w różnych modelowych rozwiązaniach. Gotowi jesteśmy budować duże osiedla, które nie tylko będą spełniały funkcję mieszkaniową, lecz także będą miały niezbędną do wygodnego życia infrastrukturę społeczną, zagwarantowaną w koncepcji urbanistyczno-architektonicznej, tak żeby były funkcjonalne i komfortowe. Na pewno nauczyliśmy się współpracować z innymi podmiotami Skarbu Państwa i samorządami. Mówimy jasno, że działamy rynkowo, wspieramy przez np. dopłaty, a nie odgórne regulowanie czynszów. Przez te kilka miesięcy, od kiedy jestem odpowiedzialny za politykę mieszkaniową, przygotowaliśmy wiele ustaw, które pozwolą na zwiększenie podaży terenów i przyspieszenie procedur, bo tego brakuje. Jest całkowicie realne, byśmy w przyszłym roku rozpoczęli realizację 100 tys. mieszkań, w różnej formule. Jeśli chodzi o okres, w którym nie szło tak szybko, jak byśmy chcieli, to niedosyt jest, ale nie uważam tego czasu za zmarnowany, bo wyciągnęliśmy z niego wnioski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Artur Soboń – od 2015 r. poseł PiS, od 2018 r. wiceminister inwestycji i rozwoju.

eprasa.pl 9eadf03530

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Koza w polityce

Po wprost niesłychanym sukcesie, jakim się okazało – od Warszawy przez Jerozolimę do Waszyngtonu – odwołanie kluczowych zmian w ustawie o IPN, wygląda na to, że przyszedł czas na kolejne tego samego rodzaju, choć już nie kalibru, zwycięstwa.

Oto bowiem jednego dnia odtrąbiono nie tylko wycofanie się z ostro forsowanego przez cały ostatni rok zamiaru zlikwidowania w Polsce wszystkich hodowli zwierząt futerkowych, lecz także rezygnację z przepychanego z podobną stanowczością zakazu uboju rytualnego. A zatem aż dwa sukcesy za jednym zamachem. A przecież ledwie dzień wcześniej minister z PiS – tym razem pod presją leśników – zarzucił pomysł włączenia Lasów Państwowych do konsorcjum, razem z BOŚ i NFOŚ, które w ramach rządowego programu „Mieszkanie Plus" miało zbudować na działkach leśnych 42 tys. mieszkań w wielorodzinnych domach z drewna i na dokładkę 1,5 tys. – także z drewna – domów jednorodzinnych.

Czyli w sumie – w dwa dni – trzy wielkie zwycięstwa. I to jednak nie wszystko, boć za nami kilka miesięcy wycofywania się z całej serii zapisów we wcześniej z wielkim mozołem uchwalanych i do upadłego bronionych ustawach sądowniczych (choć w tym przypadku o zakładany sukces trudno, tym bardziej że ostatnie zmiany znów poszły w przeciwnym kierunku). Nie wspominając o takich „drobiazgach" jak wycofanie się z ustaw o podatku od hipermarketów i abonamencie RTV czy mało przytomnych zapisów w ustawie o myślistwie.

Aż strach pomyśleć, jak wielką, ba – kolosalną przyszłość ma ten sposób uprawiania polityki. Można sobie przecież wyobrazić całe mrowie projektów całego mnóstwa ustaw w sprawach, które mogłyby wywoływać nie tylko w Polsce, lecz także na całym świecie, dużo większe poruszenie niż fatalna nowelizacja ustawy o IPN. A potem wycofanie się z tych planów – albo w trakcie prac nad nimi, czy to w Sejmie, czy w Senacie, albo w drodze nowelizowania ustaw już przyjętych (jak przy ustawie o IPN). Lub – to szlak jeszcze nieprzetarty, lecz cóż szkodzi go przetestować – z wykorzystaniem Trybunału Konstytucyjnego. A wszystko po to, by stworzyć wrażenie bycia siłą polityczną w gruncie rzeczy przewidywalną i obliczalną, poważną i stateczną.

No tak, ale to byłaby wyższa szkoła politycznej jazdy – iście makiaweliczna, trudna do zaakceptowania, a tym bardziej pochwalenia, wszelako będąca skutkiem zaplanowanych posunięć politycznych. A w przypadku ostatnich rejterad PiS – można mieć graniczące z pewnością przypuszczenie – o żadnym „efekcie kozy" nie ma mowy. Czyli o użyciu „politycznej kozy", która została jedynie w tym celu – z rozmysłem – wprowadzona, by ją po jakimś czasie usunąć i przez to uzyskać zamierzony efekt. W przypadku ostatnich poczynań PiS to raczej skutek źle pomyślanych, takoż przygotowanych i jeszcze gorzej przeprowadzonych działań. ©℗

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Przyszłość człowieka

Wraz z olbrzymim postępem w dziedzinie sztucznej inteligencji i robotyki nasilają się obawy, że inteligentne roboty zastąpią człowieka na rynku pracy, a ludzi czeka masowe bezrobocie, bieda, a może nawet częściowa eksterminacja. I że nieliczni bogaci, właściciele kapitału i technologii zgotują ten los licznej większości, aby mieć jeszcze więcej pieniędzy i władzy. W przeszłości mieliśmy wiele epizodów automatyzacji, dwa z nich mogą rzucić nieco światła na to, co nas czeka tym razem. To historie konia i czarnego niewolnika.

Koń został wypchnięty z rynku pracy przez postęp technologiczny, co doprowadziło do jego częściowej eksterminacji

Silny wzrost gospodarczy doprowadził do wzrostu populacji koni w USA między 1908 a 1915 r. z 21 do 26 mln, mimo postępu technologicznego w produkcji silników spalinowych i samochodów. Po tym krótkim okresie końskiej prosperity, gdy miasta miały już dość ton końskiego nawozu na ulicach, konie zostały masowo zastąpione pojazdami spalinowymi. Koń został wypchnięty z rynku pracy przez postęp technologiczny, co doprowadziło do jego częściowej eksterminacji.

Cofnijmy się o sto lat. W 1793 r. Amerykanin Eli Whitney wynalazł maszynę, która automatycznie oddzielała włókna bawełny od nasion i mogła zastąpić pracę niewolników na plantacjach. A jednak liczba czarnych mieszkańców Ameryki wzrosła między 1808 a 1860 r. z 400 tys. do 4,4 mln, z czego 3,9 mln to byli czarni niewolnicy w większości pracujący na plantacjach. Okazało się, że w wyniku tej innowacji produkcja bawełny stała się tańsza i silnie wzrósł popyt na niewolniczą pracę na plantacjach.

Zatem mamy dwie historie. W jednej postęp technologiczny prowadzi do spadku populacji pracowników (koni), w drugim przypadku do wzrostu liczby pracowników (czarnych niewolników). Która z tych historii jest lepszą analogią do obecnej sytuacji, gdy sztuczna inteligencja i roboty zastępują ludzi w coraz większej liczbie zawodów.

Koń mógł wykonywać tylko jedno zajęcie – ciągnąć pojazd. Niewolnik zaś, mimo że był niewykształcony, mógł wykonywać wiele prac. Obecnie gospodarka oparta na usługach daje więcej możliwości wykonywania różnych zawodów a system edukacji, w tym tanie kursy online, pozwalają uzupełniać wykształcenie.

Dlatego przyszłość człowieka w czasach sztucznej inteligencji prawdopodobnie będzie bardziej przypominać los czarnych niewolników niż los konia. I pamiętajmy, że w końcu niewolnicy uzyskali wolność. ©℗

Autor pełni funkcję chief ideator w firmie Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

eprasa.pl 9eadf03530

TEST „DO RZECZY": SŁUCHAWKI JABRA ELITE ACTIVE 65T

Świetny dźwięk, bardzo dobra bateria i ciekawy design. To najważniejsze zalety najnowszego modelu bezprzewodowych słuchawek dla aktywnych, wyprodukowanego przez firmę Jabra.

Osoby, które szukają modelu do biegania, jazdy na rowerze czy innych ćwiczeń, ucieszy wiadomość, że model Elite Active 65t jest odporny na kurz, pot oraz silną strugę wody (IP 56). To oznacza, że po bardzo intensywnym treningu można przemyć je pod bieżącą wodą z kranu.

Słuchawki są wygodne. Bardzo dobrze trzymają się też uszu, dzięki czemu nie wypadają nawet podczas wykonywania gwałtownych ćwiczeń. Świetnie wyciszają również hałasy z zewnątrz, jednocześnie nie odcinając użytkownika zupełnie od świata (dzięki czemu w razie czego w porę usłyszymy np., że ktoś na nas trąbi). Jak na słuchawki bezprzewodowe brzmią świetnie: bas jest głęboki, a sopran bardzo wyrazisty. Dzięki temu z przyjemnością można przez nie słuchać zarówno rocka, jak i najnowszych tanecznych przebojów. Dźwięk można dostroić do swojego gustu za pomocą korektora dźwięku w bezpłatnej aplikacji Jabra Sound+. Słuchawki mogą też służyć do prowadzenia rozmów telefonicznych, a także wydawania poleceń za pośrednictwem popularnych asystentów głosowych – Elite Active 65t współpracują zarówno z Alexą, jak i Google Now oraz Siri. Dzięki temu łatwo możemy poprosić asystenta o zaplanowanie nowego spotkania czy odczytanie SMS-a.

W model Active zostały też wbudowane czujniki aktywności. Szkoda jednak, że stosunkowo drogie słuchawki dla aktywnych nie zostały dodatkowo wyposażone w czujnik tętna.

Po stronie plusów trzeba też wpisać Bluetooth 5.0, dzięki czemu bezprzewodowe połączenie z telefonem, tabletem lub komputerem jest wyjątkowo stabilne. Zaletą słuchawek jest też długi czas pracy na baterii: po jednym ładowaniu bateria starcza na pięć godzin, a z kieszonkową stacją ładującą – będącą jednocześnie futerałem – aż do 15 godzin.

Wady? Do ładowania słuchawek wykorzystywany jest stary port microUSB. Lepsza mogłaby też być redukcja szumów podczas rozmów telefonicznych. Łatwiejszy powinien być także sposób otwierania futerału. Cena: 649 zł. ©℗

Jacek Przybylski

ODROBINA ZIMNEJ KAWY

Zaistniała w sieciówkach przed rokiem, by tego lata święcić już triumfy popularności. Parzona na zimno kawa z dodatkiem różnych soków lub aromatów smakowych wydaje się nowym – po sojowej latte – hitem, zwłaszcza wśród pracowników wielkich korporacji. Pytanie, czy chodzi tylko o modę, o dość oryginalny smak „brew coffee", czy może o kolejny pretekst do wyjścia z biurowca?

Jeżeli jednak chodzi o sam, przyznaję, dość oryginalny sposób parzenia (i smak) kawy, to teraz można zrobić ją „na zimno" także w domu, a to dzięki zaparzaczowi BrewCube. Wiadomo, największym dziś problemem z otrzymaniem dobrej „warzonej" na zimno kawy jest to, że esencja powinna moczyć się w lodowatej wodzie przez kilka–kilkanaście godzin, nie za długo ani nie za krótko. Gadżet przypominający standardowe ekspresy do kawy pozwala na przygotowanie „cold brew coffee" na dokładnie określony termin, proces przygotowywania napoju uruchamia się i kończy wtedy, kiedy urządzenie uzna, że otrzymaliśmy taki napój, jaki „zamówiliśmy". Co więcej, producenci urządzenia twierdzą, że napój uzyskany dzięki BrewCube zachowuje świeżość przez dwa tygodnie.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Ekspres do parzenia kawy na zimno kosztuje na Kickstarterze ok. 300 zł, ale dostawa będzie możliwa dopiero w grudniu. W zasadzie wystarczyłoby wtedy wyjść z filiżanką kawy na chwilę na taras, by stała się zimna ...)

ODDYCHAJ I CHUDNIJ

Nie masz dość szaleństwa „zdrowego odżywiania"? Fanatyków, którzy presją (na razie, bo kto wie, co za chwilę wymyśli lewactwo w UE) chcą cię zmusić do jedzenia bezglutenowego chleba, beztłuszczowego boczku i żeberek bez mięsa? Firm, które chcą wyciągnąć od ciebie pieniądze pod pretekstem coachingu żywnościowego? Dietetyków od pudełek z „posiłkami"? Nie masz? To ten gadżet będzie w sam raz dla ciebie. Lumen jest urządzeniem, które w połączeniu z odpowiednią aplikacją mierzy metabolizm w oddechu. Aplikacja na tej podstawie przedstawia codziennie spersonalizowane plany posiłków, które mają pomóc w schudnięciu i wybraniu odpowiedniego treningu. Jak to działa? Dość prosto. Kiedy wydychasz powietrze, kierując je do urządzenia, Lumen za pomocą mikroczujników analizuje znajdujące się w nim gazy, zwłaszcza poziom CO_2. Ich stężenie pozwala ustalić, czy na wytworzenie energii spalanych jest więcej węglowodanów czy tłuszczów.

Urządzenie na portalu Indiegogo kosztuje ok. 800 zł, dostawa w lutym przyszłego roku. ©℗

Wojciech Wybranowski

eprasa.pl 9eadf03530

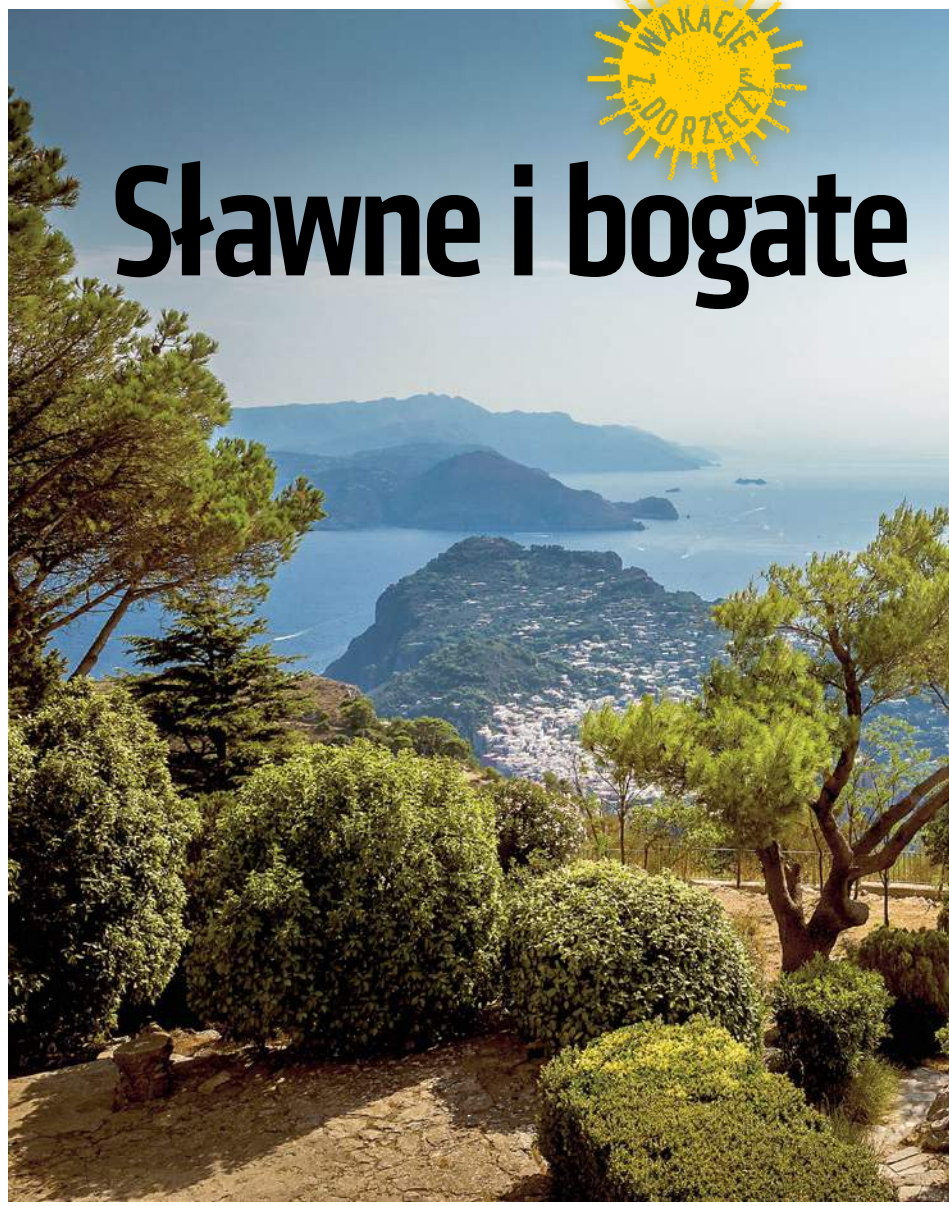

Sławne i bogate

Joanna Bojańczyk

Idealna przystań dla artystów i intelektualistów żądnych inspiracji, widoków i ciepłego klimatu. Celebrytom oferuje glamour, dla zwykłego turysty piękna wyspa Capri jest za droga

Nie było powodu, by nie wierzyć taksówkarzowi, gdy powiedział, że dzień wcześniej wiózł Taylor Swift, a innego dnia modelkę Carę Delevingne (swoją drogą skąd wiedział, jak one wyglądają). Nie było także powodu, by wątpić, że obie naprawdę tu były, tak jak niżej podpisana dwa lata temu.

Chociaż wyspa Capri ma tylko 10 km kw., to stężenie celebrytów na jednostkę powierzchni znacznie przekracza tutaj średnią dla reszty Włoch, które, jak wiadomo, także nie narzekają na brak powodzenia u sław.

MIEJSCE DLA WIELKICH

Niemożliwie błękitne niebo, lazurowa woda Zatoki Neapolitańskiej i cudowne widoki zawsze przyciągały sławnych ludzi. Pionierem był cesarz Oktawian August w 31 r. p.n.e., który uczynił wyspę swoją prywatną posiadłością, a jego następca Tyberiusz, także amator spektakularnych widoków, zbudował 12 willi nazwanych imionami bogów. Do dziś przetrwały tylko ruiny jednej z nich, willi Jowisz.

Po Rzymianach wyspa popadła w zapomnienie. Przypomniano sobie o niej dopiero w drugiej połowie XIX w. Wtedy stała się idealną miejscówką dla artystów poszukujących pięknych widoków, spokoju, ciepłego klimatu i inspiracji dla sztuki. „Grand tour” był modny wśród malarzy, pisarzy, arystokratów, a Italia zawsze znajdowała się na jego trasie. Dla podróżników zbudowano pierwszy na wyspie hotel Pagano.

Na Capri bywali: George Bernard Shaw, Graham Greene, chilijski komunista, laureat Nagrody Nobla Pablo Neruda. Niemiecki magnat stalowy Friedrich Alfred Krupp, zapalony botanik, znawca flory podwodnej, nabył tu posiadłość Ogrody Augusta. Stamtąd wyprawiał się jachtem na naukowe i krajoznawcze wycieczki. Dzisiaj Ogrody Augusta są zamknięte z powodu niebezpiecznie osuwających się skał.

W latach 60. XX w. intelektualistów zastąpiła złota młodzież zwana wówczas „jet set” (odrzutowcami latała wtedy tylko elita) i Capri stało się jednym z ośrodków „dolce vita”. Przyjeżdżali tu „rich and famous”: Brigitte Bardot, Jacqueline Kennedy Onassis. Wdowa po prezydencie i żona greckiego armatora zamawiała sześć par ulubionych białych spodni rybaczek, które zapewne na jej cześć nazwano potem „capri pants”. Obok sałatki caprese jest to najistotniejszy wkład wyspy w cywilizację światową.

GLAMOUR W CZYSTEJ POSTACI

Zwykli niecelebryci przypływają do tutejszego portu rano statkiem z Neapolu i po odstaniu w kolejce do wyciągu w tłumie innych jadą kolejką na górę. Żeby dotrzeć do miasteczka, trzeba pokonać wysokość 500 m. Potem, odbywszy kilka spacerów wąziutkimi i krętymi uliczkami, turyści zwijają się w drogę powrotną. Nie jedzą tu lunchu, ograniczając się do wypicia kawy na Piazzetcie (15 euro). Nawet skromna insalata caprese: pomidor, kawałki mozzarelli di buffalo, parę listków pieprzowej bazylii, kosztuje ok. dwudziestu paru euro. Torta caprese, tutejsza specjalność – czekoladowe ciastko z mielonymi migdałami – to wydatek kilkunastu euro. Capri to jedno z najdroższych miejsc we Włoszech, nawet przyjmując zawyżoną taryfę modnych miejscowości turystycznych. Tylko dla tych, których stać na wynajęcie pokoju w jednym z hoteli albo którzy mają tu własny dom, ceny w butikach Prady, Guc-

eprasa.pl 9eadf03530

Capri

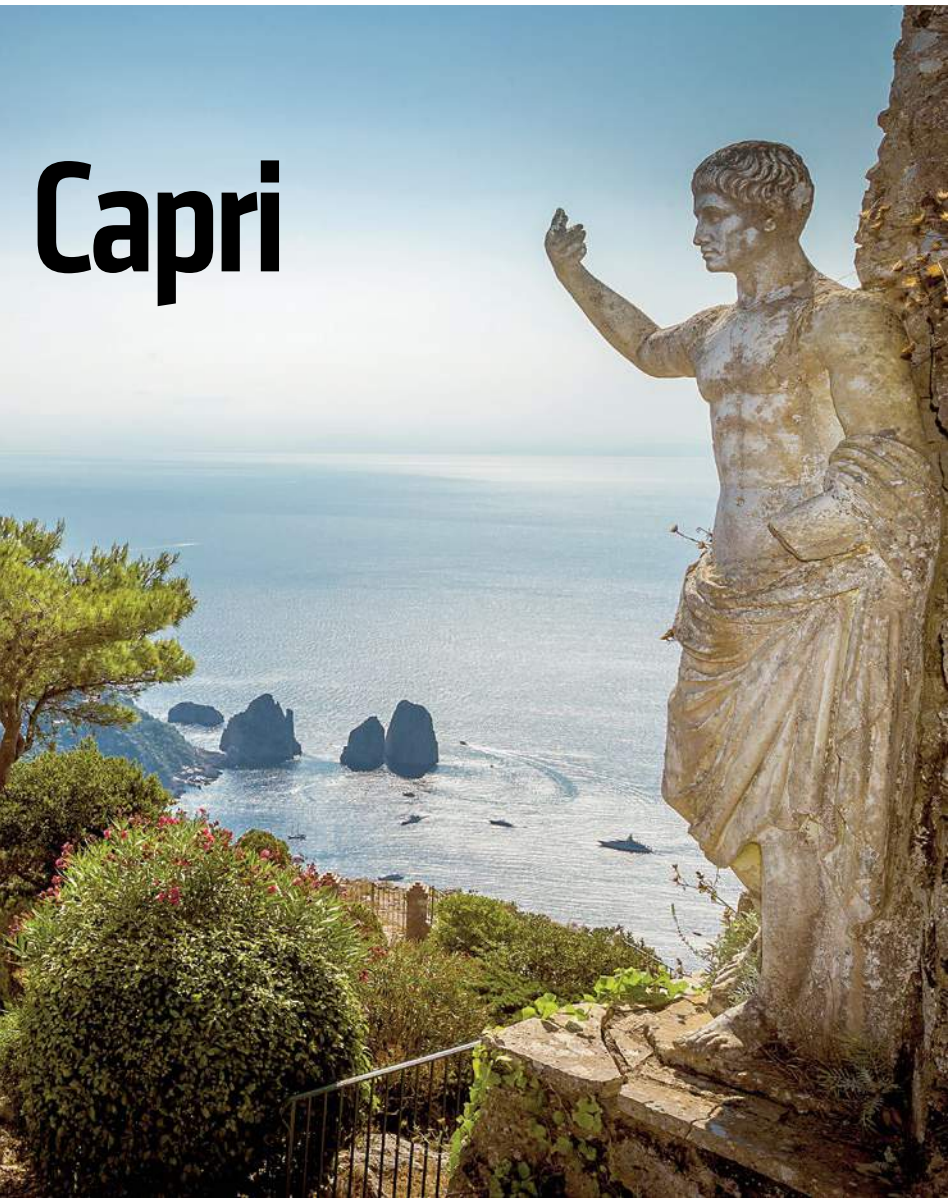

FOT. FOTOLIA

ciego, Tod'sa, Armaniego mogą wydać się przystępne.

Maleńkie Capri to glamour w czystej postaci, choć słabo widoczny na zewnątrz. Turysta wspinający się po wąskich uliczkach nie zobaczy luksusowych domów bogatych ludzi. Zarośnięte są bujną roślinnością, ukryte wśród bugenwilli, oleandrów, figowców, drzew cytrynowych i pomarańczowych. Można się tylko domyślać, jak pięknie jest w tych ogrodach i domach z kamiennymi oraz tynkowanymi na biało fasadami. Gdy chwilę posiedzi się na Piazza Umberto, można popatrzeć na mieszkańców. Czy siedzące przy sąsiednim stoliku opalone blondynki popijające aperol (popularny we Włoszech aperitif: aperol, prosecco, cytryna i lód), ubrane tak, jakby przed chwilą wyszły z zakupów w sklepie Giorgia Armaniego, to lokalsi? Chyba jednak nie, bo gdy zajść w głąb miasteczka, można spotkać starsze kobiety ubrane na czarno, włącznie z chustką i rajstopami. One na pewno są tutejsze.

Bardziej swojskie niż Capri jest sąsiadujące z nim miasteczko Anacapri. Strome klify czyniły je niedostępnym aż do roku 1872. Przedtem trzeba było pokonać 900 stopni, aby wspiąć się na górę.

Ktoś, kto zwiedza Neapol, Sorrento, wspaniałą Costa Amalfiera, nie może pominąć największej tutejszej atrakcji – Lazurowej Groty. Łódką przez łukowatą szczelinę wpływa się głęboko w mrok skalnej jaskini i rzeczywiście woda wydaje się turkusowa. Urok tej wycieczki zakłóca tylko wioślarz, który niestety „umila” czas serenadą… Cisza i plusk wody byłyby dużo przyjemniejsze. Wapienna budowa skał sprzyjała powstawaniu tu jaskiń. Błękitna Grota, Biała Grota, Meravigliosa, a na wschodnim brzegu wyspy Grota Matermania, w starożytności świątynia Tyberiusza poświęcona nimfom. Jednym z najczęściej fotografowanych widoków Capri jest Arco Nature – formacja skalna w kształcie łuku malowniczo wspinająca się ponad morzem.

CAPRI, DALEJ WEZUWIUSZ

Intelektualiści zawsze zachwycali się tą wyspą. Graham Greene, pisarz raczej ciężki i poważny, niezbyt kojarzy się ze słoneczną, luksusową wyspą – a może właśnie żeby odreagować ponure klimaty, za pieniądze zarobione na swoich powieściach kupił tu dom w 1948 r. Przyjeżdżał na Capri przez 40 lat. Willa Il Rosaio była jednym z nielicznych stałych punktów w wędrownym trybie życia Greene'a. Tutaj szukał kotwicy. Odbywał spacery po winnicach, odwiedzał rzymskie ruiny, podziwiał widok z klifów. W 1978 r. miasteczko Anacapri mianowało go swoim honorowym mieszkańcem.

Piękne i głębokie opisy południowe Włochy zawdzięczają węgierskiemu pisarzowi Sándorowi Máraiemu, jednemu z największych współczesnych prozaików. Opuścił on komunistyczne Węgry w 1945 r. i zamieszkał w miejscowości Posillipo koło Neapolu. We Włoszech przeżył kilka lat. „Po obiedzie idę na wschód, ku skalistemu przyczółkowi półwyspu. Tu krajobraz ukazuje już zupełnie inną twarz od tej, którą każdego dnia oglądam z Posillipo: Capri widoczne z bardzo bliska, dalej Wezuwiusz i małe miasteczka przycupnięte wzdłuż linii neapolitańskiego golfu, ogromny port Castellamare...”.

Capri jest jednak zbyt piękne, by pozostać enklawą intelektualistów. Trafiło też do repertuaru kultury popularnej.

Pamiętasz Capri wśród kwiatów i słońca
Pamiętasz morze niebieskie wśród skał
Tam nasza miłość zakwitła gorąca
Wiosną świat cały się do nas śmiał
Pamiętasz Capri i nasze poznanie
Spacery łodzią, spacery wśród fal?
W mojej pamięci ten obraz zostanie
A w mym sercu tęsknota i żal

Ten jeden z najpopularniejszych przebojów okresu dwudziestolecia międzywojennego śpiewał w latach 30. Chór Juranda. Trudno powiedzieć, czy jego autor Andrzej Włast pisał z własnego doświadczenia, ale nawet jeśli nigdy na Capri nie był, to w swoich opisach niewiele się pomylił.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9eadf03530

FOT. FOTOLIA

Terapia dla psychiatrii

Katarzyna Pinkosz

Co czwarty Polak w ciągu życia przejdzie kryzys: będzie miał depresję, zaburzenia lękowe lub zachoruje na inną chorobę psychiczną. To, czy z niego wyjdzie, w dużej mierze zależy od pomocy, jaką otrzyma

Profesor Piotr Gałecki, krajowy konsultant ds. psychiatrii, jest pewien, że 1 lipca 2018 r. zapisze się w annałach historii polskiej psychiatrii. Wtedy to właśnie rozpoczął się pilotaż nowego systemu opieki w Polsce. Ma objąć 3 mln osób w 29 ośrodkach – tzw. centrach zdrowia psychicznego – i całkowicie zmienić model opieki psychiatrycznej w Polsce. Powód? Obecny system jest całkowicie niewydolny i nie przystaje do rzeczywistości. Choroby psychiczne są w Polsce coraz większym problemem, podobnie jak w innych krajach wysoko rozwiniętych. Tempo życia, stres, rozpadające się więzi społeczne, kryzys rodziny – to wszystko powoduje, że coraz częściej mamy problem z psychiką. – Statystycznie w Polsce 1 osoba na 100 zachoruje na schizofrenię, 2–3 na 100 na chorobę afektywną dwubiegunową, 12–15 proc. będzie miało zaburzenia depresyjne, a ok. 20 proc. zaburzenia lękowe. Generalnie co czwarta osoba co najmniej raz w życiu będzie spełniała kryterium któregoś z zaburzeń psychicznych – mówi prof. Gałecki.

Żyjemy inaczej niż kiedyś, z czym nasza psychika nie daje sobie rady. Trudno przekonać ludzi do całkowitej zmiany stylu życia, można jednak szybciej wykrywać zaburzenia psychiczne i skuteczniej udzielać pomocy osobom, które w takich sytuacjach nie dają sobie rady.

– Stosunek innych do osoby, która znajdzie się w kryzysie, ma ogromny wpływ na jej perspektywy. Wszystko zależy od tego, czy spotka się z wykluczeniem, czy będzie czuć się poniżona, osamotniona, czy zostanie jej zaproponowana oferta pomocy: kompleksowej, skoordynowanej i dostosowanej do jej potrzeb – podkreśla prof. Jacek Wciórka,

eprasa.pl 9eadf03530

kierownik I Kliniki Psychiatrycznej Instytutu Psychiatrii i Neurologii.

Dzisiaj takiej kompleksowej opieki w Polsce nie ma. Potwierdzają to pacjenci. Generalnie niezbyt dobrze oceniają oni w ogóle system ochrony zdrowia, jednak opiekę psychiatryczną postrzegają szczególnie źle. Nie może to dziwić, skoro w większości poradni na pierwszą wizytę u psychiatry czeka się kilka, a nawet kilkanaście tygodni, zaś do znanego specjalisty nawet kilka miesięcy (i to na wizytę prywatną). Dla osoby, która ma epizod depresyjny, lękowy albo myśli samobójcze, takie czekanie to wieczność. Jedynym wyjściem jest pojechanie na izbę przyjęć do szpitala psychiatrycznego. Jednak dla większości osób nie jest to optymalny model opieki, gdyż niekoniecznie wymagają pobytu w takim szpitalu.

W krajach zachodnich już od kilkunastu lat wielkie szpitale psychiatryczne powoli są zamykane i zastępowane opieką nad pacjentem w jego miejscu zamieszkania. – Dotychczasowy model opieki oparty na szpitalu psychiatrycznym, tzw. model azylowy, nie sprawdził się. Szpital nie jest do likwidacji, ale powinni w nim przebywać tylko ci pacjenci, dla których jest to niezbędne, a sam pobyt musi być maksymalnie krótki. Trzeba też zrobić wszystko, by „zatrzymać obrotowe drzwi", czyli żeby pacjent nie wracał do szpitala dlatego, że nie ma dobrej opieki w swoim środowisku – przekonuje prof. Janusz Heitzman, dyrektor Instytutu Psychiatrii i Neurologii.

POMOC NA MIEJSCU

O tym, że osobie w kryzysie psychologicznym pomoc powinna być udzielana w jej środowisku, mówi się w Polsce już od dawna. Zostało to zresztą wpisane do założeń Narodowego Programu Ochrony Zdrowia Psychicznego. Jednak pierwsza jego edycja (na lata 2011–2015) zakończyła się fiaskiem: nie tylko nie udało się stworzyć środowiskowego modelu opieki, lecz także wręcz wzrosła w tym czasie liczba łóżek w szpitalach psychiatrycznych. – Zamiast odejść od modelu azylowego, w praktyce on się jeszcze utrwalił. Szpitalom wciąż bardziej opłaca się dłużej przetrzymywać pacjentów, bo dostają za to więcej pieniędzy niż przekazywać ich do innych form opieki psychiatrycznej – mówi dr Marek Balicki, psychiatra, kierownik Wolskiego Centrum Zdrowia Psychicznego w Warszawie i były minister zdrowia.

1 lipca 2018 r. rozpoczął się pilotaż kolejnej edycji Narodowego Programu Ochrony Zdrowia Psychicznego. Jeszcze w tym roku powstanie 29 centrów zdrowia psychicznego, w których opieka ma być sprawowana w zupełnie inny sposób niż dotychczas. Osobie w tzw. kryzysie psychicznym, czyli np. z objawami depresji, zaburzeń lękowych, choroby dwubiegunowej, pomoc będzie udzielona niemal od razu. Taka osoba zgłosi się do centrum zdrowia psychicznego, jednak nie do rejestracji, tylko do punktu zgłoszeniowo-koordynacyjnego, w którym będzie pracować profesjonalista (psycholog, pielęgniarka psychiatryczna, terapeuta środowiskowy). Po wstępnej ocenie od razu ułoży plan terapii i zadecyduje, czy potrzebny jest pobyt w szpitalu, na oddziale dziennym, wizyta u psychiatry, rozmowa z psychologiem, terapeutą czy może pracownikiem socjalnym. Jeśli problem zostanie oceniony jako pilny, to terapia będzie musiała się rozpocząć w ciągu 72 godzin.

Centrum zdrowia psychicznego będzie działać środowiskowo i obejmować opieką wszystkich mieszkańców danego terenu, np. powiatu, a w przypadku dużego miasta – dzielnicy. Z problemem będzie mogła zwrócić się rodzina osoby będącej w kryzysie (bez żadnego skierowania): jeśli koordynator uzna, że to konieczne, wówczas będzie mógł zadecydować o wizycie domowej. – To ważne, ponieważ wiele chorób psychicznych przebiega przy braku świadomości problemu. Nie zdarza się, żeby ktoś ze złamaną nogą mówił, że nic mu nie jest. Chory, który przeszedł śpiączkę cukrzycową, nie powie, że nie będzie przyjmował insuliny. Natomiast osoba, która ma zaburzenia psychiczne, może przez wiele lat być przekonana, że jest zdrowa – tłumaczy prof. Gałecki.

Dużą nowością jest to, że w centrach – oprócz psychiatrów, psychologów, terapeutów, pielęgniarek, pracowników socjalnych – są zatrudniani tzw. asystenci zdrowienia. To osoby, które same przeszły kryzys psychiczny (np. depresję), poradziły sobie z nim, zostały przeszkolone i kierownik centrum uznał, że mogą pomagać innym. – Motywację do życia i do leczenia łatwiej dostać od osoby, która sama przeszła przez coś podobnego. To rodzaj więzi, wspólnego doświadczenia, rozumienia się – mówi Katarzyna Szczerbowska, dziennikarka, która leczyła się w szpitalu psychiatrycznym, a teraz jest jedną z asystentek zdrowienia oraz rzecznikiem Biura ds. Pilotażu Narodowego Programu Ochrony Zdrowia Psychicznego.

Asystent zdrowienia nie ma leczyć, ale pokazać, że z kryzysu można wyjść. – Jedna z matek opowiadała, że jej syn był kilka razy w szpitalu, wychodził, a potem bardzo szybko do niego wracał. Poprawa nastąpiła dopiero wtedy, gdy spotkał osobę, która też leczyła się w szpitalu psychiatrycznym, ale wróciła na studia. Uwierzył, że można z tego wyjść – dodaje prof. Heitzman.

PIENIĄDZE I ORGANIZACJA

Centra zdrowia psychicznego będą oferowały znacznie większy standard usług, niż to jest obecnie, dlatego eksperci podkreślają, że reforma nie ma szans powodzenia, jeśli nie znajdą się na nią dodatkowe pieniądze. NFZ zapewnia, że te dodatkowe środki są i będą. Ważny jest też sposób płacenia: NFZ nie będzie płacił za dni pobytu w szpitalu, wizyty u lekarza, pobyty na oddziale dziennym czy godziny psychoterapii, tylko przekaże konkretną kwotę za dorosłego mieszkańca terenu, którego centrum obejmuje swoją opieką. – Dziś to jest 75 zł na dorosłego mieszkańca. Średnio można ocenić, że to ok. 50 proc. więcej, niż do tej pory było przekazywane na opiekę psychiatryczną na danym terenie – mówi Marek Balicki.

Czy centra rzeczywiście będą spełniać swoją funkcję? Pilotaż wprowadzają entuzjaści, którzy nad programem pracowali od lat. Jeszcze ważniejsze jest to, że reformie zapewniono finansowanie (czas pokaże, czy wystarczające). Warto też zauważyć, że nie protestują przeciw niej żadne grupy polityczne ani zawodowe (co można uznać za ewenement). Nikt nie ma wątpliwości, że psychiatria – która przez wiele lat była w Polsce bardzo zaniedbywana – potrzebuje naprawdę głębokich zmian.

Niestety, na taką kompleksową opiekę większość z nas będzie musiała poczekać. 29 centrów obejmie swoim zasięgiem tylko 3 mln osób, czyli ok. 10 proc. dorosłych osób w Polsce. – Musimy sprawdzić, czy ten system okaże się efektywny. Miarą efektywności będzie to, że na danym terenie np. zmniejszy się liczba samobójstw, pobytów w szpitalu z powodu problemów psychicznych. Przede wszystkim jednak miarą efektywności będzie satysfakcja osób korzystających z pomocy – przekonuje prof. Heitzman.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9eadf03530

JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Jak Sobieski zgubił kraj

Króla Jana często obwinia się o doprowadzenie do zniszczenia Rzeczypospolitej, bo uratował Austrię w 1683 r. pod Wiedniem. Habsburgowie zaś zrewanżowali się niecałe sto lat później, biorąc udział w rozbiorach.

Argument ten, wysuwany raczej przez publicystów, a nie historyków, jest zupełnie nietrafiony. Po pierwsze, skąd w czasach odsieczy wiedeńskiej Jan III mógł przypuszczać, co stanie się w następnym stuleciu? Po drugie, groza potęgi Turcji była tak wielka, że gdyby padł Wiedeń, nasz kraj stałby się kolejnym celem ataku armii Osmanów. Po trzecie wreszcie, niezależnie od tego, jak bardzo nie lubimy Leopolda I, koronowanego dupka na cesarskim tronie, nie należy zapominać, że w XVII w. Austria (oraz Chanat Krymski) była jedynym państwem, które udzieliło Rzeczypospolitej realnej pomocy zbrojnej. Pierwszy raz w czasie wojny o ujście Wisły w 1629 r., a drugi – w czasie potopu szwedzkiego.

Prawdziwym grzechem Sobieskiego było zrezygnowanie z podjęcia próby naprawy ustroju parlamentarnego Rzeczypospolitej. Król przez całe życie miał kłopoty z realizacją planów politycznych: ze zniszczeniem Prus, z zapewnieniem sukcesji na tronie polskim dla królewicza Jakuba lub ze zdobyciem dla niego dziedzicznego księstwa. Jednak aby to wszystko wykonać, musiał dokonać głębokiej reformy sejmu, tak by ten stał się skutecznym narzędziem prowadzenia polityki. Na to zaś nie chciała się zgodzić magnacka opozycja. Należało zatem wykorzystać gniew szlachty średniej, zwłaszcza litewskiej, zawiązując „chwalebną konfederację" i rozbijając magnackie koterie siłą.

Na taką zbrojną rozprawę król nigdy się nie zdecydował. Jeszcze w 1677 r., po zawarciu rozejmu w Żurawnie i zakończeniu

FOT. WIKIPEDIA

wojny z Turcją, nie chciał rozpuścić wojska, bo planował atak na elektora. Namawiał wówczas żołnierzy do zawiązania konfederacji, co jednak udaremnił stronnik Brandenburgii – hetman Stanisław Jabłonowski. W lecie 1678 r. na dwór królewski przybyły dwa poselstwa z Litwy, w tym jedno oficjalne ze skargami na samowolę zaprzysięgłego wroga Sobieskiego – Michała Kazimierza Paca. To był pierwszy znak, że szlachta ma dosyć magnackiej samowoli i szuka obrońcy. Mikołaj Przeździecki, kasztelan nowogrodzki, opisywał szczegółowo gwałty i awantury hetmana.

„– Dla Boga! – wykrzyknął król – przecież mi to dziwno, że ichmoście dają po swoich karkach temu jednemu jeździć.

– Miłościwy królu – odparł Przeździecki – nie milczą województwa i powiaty, owszem, z wielkim narzekaniem utyskują i dziwują się, że Wasza Królewska Mość jako pan nie chcesz ich bronić i nas!".

Kulminacją anarchii i rozprzężenia stał się sejm w 1687 r., zerwany zresztą przez partię dworską, gdzie doszło do szokującego precedensu w sprawie tzw. rugów poselskich polegających na tym, że z obrad izby wykluczano posłów, na których ciążyły wyroki sądowe. Kiedy w ten sposób usiłowano nie dopuścić do sejmu stronnika Sapiehów, doszło do awantur i na końcu – do zerwania sejmu.

Na kolejnym sejmie w 1689 r. biskup chełmiński Kazimierz Opaliński, atakujący Jana III za sprzyjanie innowiercom, krzyknął wprost: „Wysłuchaj uciśnionych albo przestań rządzić!". Sobieski ponoć zapłakał, a zwolennicy króla porwali za szable – kasztelan sandomierski Bidziński wezwał króla do zbrojnej rozprawy z opozycją, a Marek Matczyński do odesłania wszystkich biskupów do Rzymu! Sejm został zerwany, ale sejmiki szlacheckie województw południowych poparły króla.

Sejmik sandomierski wprost wzywał Sobieskiego do zawiązania konfederacji. Szybka decyzja mogłaby poderwać szlachtę do walki o naprawę ustroju. „Ta trzecia […] w XVII wieku wojna domowa miała niewątpliwe szanse uzdrowienia ciężko chorego organizmu Rzeczypospolitej" – napisał o tych wydarzeniach Zbigniew Wójcik, jeden z lepszych znawców czasów Sobieskiego. Jednak kolejny raz król rękawicy nie podjął. Tym samym zgubił Rzeczpospolitą, pogrzebał własne plany. Tylko zreformowany sejm dałby mu bowiem siłę do ich przeprowadzenia! A z kolei uzdrowienie sejmu wymagało zniszczenia bezwzględnej opozycji magnackiej Sapiehów i innych rodów. „Zaniechawszy próby rozstrzygnięcia mieczem spraw wewnętrznych, (Sobieski) przegrał ostatecznie, przegrał walkę o naprawę Rzeczypospolitej, walkę o zapewnienie sukcesji swemu synowi, o ustanowienie w Polsce silnej, dziedzicznej monarchii, o przyszłość państwa litewskiego" – napisał o tym Zbigniew Wójcik. Jakże prawdziwie i tragicznie brzmią te słowa, kiedy wspomina się wojenną chwałę Jana III. ©℗

eprasa.pl 9eadf03530

PRZEPIS Z KOSOWA AGNIESZKI ROMASZEWSKIEJ

W czasach, kiedy Telewizja Polska jeszcze miała wielu korespondentów zagranicznych i było czymś naturalnym, że do „gorących" miejsc na świecie wysyła się ekipy telewizyjne na kilka miesięcy, a nie kilka dni, wyjechałam do Kosowa. Weszły tam wówczas siły NATO. Ekipie TVP pomagała wtedy Polka, która wyszła za mąż za Albańczyka. Zamieszkali na 10. piętrze w wysokościowcu bez wody i elektryczności. Mimo trudnych warunków i tego, że wodę trzeba było wnosić w wiadrach po schodach, pani Ania postanowiła zaprosić nas do siebie i podjąć albańską musaką, którą przyrządziła na palniku gazowym. Z Kosowa wróciłam z przepisem na to danie i obrazem namalowanym przez panią Anię, który do dziś wisi w mojej kuchni. Jak wiemy, grecka musaka przyrządzana jest na ziemniakach, ale w albańskiej wersji zamiast nich używa się bakłażanów.

Składniki:

- bakłażany
- 250 g wołowiny
- 250 g cielęciny
- 4–5 dużych cebul
- pomidory w puszce (od 1,5 do 2 puszek)
- gęsty jogurt
- żółty ser, oliwa
- sól, pieprz, oregano

Przygotowanie:

Bakłażany kroimy na grube plastry (ok. 1,5 cm) i wykładamy je na blachę posmarowaną oliwą. Smarujemy oliwą również wierzch bakłażanów.

Wstawiamy do piekarnika i pieczemy do miękkości. Bakłażany układamy na dnie formy do zapiekania. W międzyczasie kroimy dość drobno cebulę i podsmażamy ją na oliwie. Uważajmy, by nie podsmażyła się na chrupko – musi pozostać miękka. Dodajemy mieloną wołowinę i cielęcinę, podsmażamy przez chwilę i dodajemy pomidory z puszki. Przyprawiamy solą, pieprzem i oregano. Dusimy 1,5–2 godz. Przekładamy do naczynia z bakłażanami, by powstała równa warstwa, smarujemy grubo gęstym jogurtem. Wierzch posypujemy startym żółtym serem i zapiekamy. Smakuje wyśmienicie z sałatą z ostrym sosem czosnkowym i lampką czerwonego wina. ©℗

FOT. ADAM CHELSTOWSKI/FORUM

oprac. raw
Agnieszka Romaszewska jest dziennikarką, dyrektorem telewizji Biełsat.

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Potrząsnąć drzewem

FOT. FOTOLIA

Tej małej śliwki nikt nie traktuje poważnie. Jak poważać coś, co jest krzaczorem rosnącym dziko przy wiejskich drogach, czasem przycinanym na żywopłoty, bo na marnych glebach też się udaje? Żółte owoce zaczynają spadać pod koniec sierpnia; w tym roku, gdy cała wegetacja przyspieszyła, leżą na ziemi już w lipcu. I mało komu chce się po nie schylić. Ja również lekceważyłam mirabelki. Dopiero gdy na paryskim targu zobaczyłam je w całkiem luksusowej cenie, zaczęłam się zastanawiać, czy nie zasługują na lepsze traktowanie.

Jedni mówią, że pochodzi z Chin, inni, że z Anatolii. Teraz faktem jest, że szlachetna mirabelka jest głównie narodowości francuskiej i to Francuzi są z niej dumni. Król René Andegaweński zasadził ją w okolicach miasta Metz w Lotaryngii i w ten sposób ta północna prowincja stała się kolebką i głównym producentem tego owocu. Tam jest idealny klimat i doskonałe gleby do jej uprawy. Rocznie zbiera się 15 tys. ton mirabelek, co stanowi 80 proc. światowej produkcji. Plantacje założono na miejscu winnic, które niedługo przed I wojną światową zniszczył grzyb.

Mirabelka otrzymała nawet znak IGP (po francusku Identification Géographique Protégée), jaki mają tylko najszlachetniejsze produkty spożywcze i płody rolne. Odmiana z Nancy ma czerwone rumieńce i jest trochę większa, odmiana z Metz ma kolor bardziej zielonkawy. Oba miasta: Metz i Nancy mają silny związek emocjonalny z mirabelką, urządzają jej festiwale, organizują konkursy na najdłuższą tartę, wybierają nawet miss mirabelki... Amerykanie pozwalają sprowadzać tylko te najlepsze „oznakowane" owoce z Lotaryngii (obawiają się chyba dziko rosnących odmian), choć inne, nieoznakowane, rosną również w Hiszpanii, Anglii, Czechach. W Polsce i Niemczech mamy głównie drzewa zdziczałe, z owocami mniej słodkimi i mniejszymi niż francuskie. I pewnie dlatego mirabelki nie szanujemy. Jakby coś, co leży na ziemi, nie mogło być dobre...

A naprawdę warto docenić ten owoc. Przetworzone w konfitury, dżem, nadzienie do tarty, nalewkę są wspaniałe, chociaż nad drylowaniem trzeba się porządnie napracować. Dojrzały owoc poznaje się po skórce i zapachu. Skórka ma być gładka, z różowym rumieńcem. Ponieważ mirabelki zbiera się, kiedy spadną z drzewa, trzeba zrobić to szybko, bo łatwo się psują. We Francji te niepozorne śliweczki jada się także na sposób wytrawny: z kurczakiem, wątróbką cielęcą, curry z krewetkami, jagnięciną... ©℗

eprasa.pl 9eadf03530

NASZ TEST: LEXUS NX300

Moda na SUV-y zdaje się nie przemijać zarówno w segmencie popularnym, jak i wśród marek premium. Żeby wyróżnić się w tłumie nowych propozycji, japoński producent postanowił więc promować ekstrawagancki model przypominający bardziej luksusowy pojazd kosmiczny niż stonowane produkty konkurentów.

W KABINIE

Wnętrze długiego na 4,6 m Lexusa jest komfortowe i wystarczająco przestronne, aby NX w dłuższą trasę mogło wybrać się czworo dorosłych pasażerów. Oczywiście piąta osoba też się zmieści, ale środkowe miejsce na tylnej kanapie jest zbyt wąskie, aby można mówić o jeździe w prawdziwie luksusowych warunkach.

NX jest za to na tyle wysoki, że nawet bardzo wysoki kierowca lub pasażer siedzący z przodu będzie miał nad głową mnóstwo przestrzeni. Podgrzewane lub wentylowane przednie fotele są wygodne i dobrze podtrzymują ciało podczas dynamicznej jazdy.

Jak przystało na markę premium, cała kabina jest wykończona starannie, z użyciem wysokiej jakości materiałów. W przypadku wnętrza Japończycy postawili jednak na zupełnie inny design niż np. niemieccy czy szwedzcy konkurenci. Rozlokowanie przycisków na desce rozdzielczej przypomina nieco kokpit samolotu. Oczywiście, samolotu luksusowego – poza nowoczesnymi rozwiązaniami nie brakuje bowiem skóry, drewna i metalu. Jest nawet tradycyjny, analogowy zegar, który zapewne miał dodawać wnętrzu szyku, ale moim zdaniem ani trochę nie pasuje do nowoczesnego designu.

Lexusa można pochwalić za duży, kolorowy ekran ciekłokrystaliczny – niestety, jego obsługa jest mało intuicyjna, a touchpad służący do kontroli nad multimediami czy nawigacją nie należy do wygodnych. Sama nawigacja również mogłaby działać lepiej.

Większości pasażerów powinien przypaść do gustu za to ogromny panoramiczny dach. Na pochwałę zasługują też bezprzewodowa ładowarka do telefonu oraz dobrej jakości wyświetlacz head-up display, pokazujący na szybie przed kierowcą informacje o prędkości i wskazówki nawigacji.

Auto ma też sporej wielkości bagażnik (o pojemności 550 l), który powinien wystarczyć, aby zabrać niedużą rodzinę na weekendowy wypad. W razie potrzeby po rozłożeniu tylnych oparć można go też łatwo powiększyć do 1600 l.

JAZDA

Potężny Lexus NX300, który pod maską ma turbodoładowany silnik benzynowy o pojemności 2 l i mocy 238 KM, od 0 do 100 km/godz. przyspiesza w nieco ponad 7 s.

Dobrze wyciszone auto nieźle się prowadzi. Osoby szukające samochodu rodzinnego do spokojnej, komfortowej jazdy będą więc zadowolone. Ci, którzy oczekują mocnych sportowych wrażeń, powinni jednak sprawdzić najpierw ofertę konkurencji. Podczas bardzo dynamicznego pokonywania serpentyn ważące niemal 2 tony auto wyraźnie przechyla się bowiem na boki. Nie zachwyca również szybkość reakcji na maksymalne wciśnięcie pedału gazu.

Średnie zużycie paliwa w cyklu mieszanym podczas testu wyniosło 11,5 l/100 km.

BEZPIECZEŃSTWO

W testach zderzeniowych Euro NCAP model NX zdobył komplet pięciu gwiazdek i po 82 proc. punktów za ochronę dorosłych oraz dzieci, a także 69 proc. za ochronę pieszych.

Niby nieźle, ale np. konkurencyjne Audi Q5 w poszczególnych kategoriach dostało 93, 86 i 73 proc.

Lexus oferuje sporo rozwiązań, które mają zmniejszyć ryzyko wypadku lub kolizji. Elektroniczni asystenci ostrzegają przed samochodami w martwych polach lusterek, przestrzegają, gdy wyczują zmęczenie u kierowcy, alarmują przy niezamierzonej zmianie pasa ruchu lub gdy zbyt szybko zbliżamy się do auta przed nami. NX300 w krytycznej sytuacji potrafi też autonomicznie rozpocząć hamowanie.

CENA

Za najtańszego Lexusa NX300 z dwulitrowym silnikiem benzynowym, sześciobiegową skrzynią automatyczną i napędem na jedną oś trzeba zapłacić co najmniej 179,9 tys. zł.

Za NX300 z napędem na wszystkie łapy trzeba dopłacić 10 tys. zł. Auto z napędem hybrydowym to zaś wydatek co najmniej 189,9 tys. zł (z napędem na jedną oś). Nie można za to kupić NX z silnikiem Diesla, bo japoński koncern stawia już tylko na silniki benzynowe oraz hybrydy.

W cenę nawet najbardziej podstawowej wersji wliczonych jest już sporo miłych dodatków, takich jak automatycznie składane lusterka, dwustrefowa klimatyzacja czy podgrzewane przednie siedzenia. Lexus nie traci też zbyt szybko na wartości, co jest ważne przy jego odsprzedaży.

KONKURENCI

Audi Q5, BMW X3, Jaguar F-Pace, Mercedes GLC, Land Rover Discovery Sport, Porsche Macan, Range Rover Evoque, Volvo XC60 ©℗

Jacek Przybylski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 9eadf03530

75 Tour de Pologne® LAT

niepodległa

1928 - 2018

NARODOWY WYŚCIG NIEPODLEGŁOŚCI

KRAKÓW – KRAKÓW | TARNOWSKIE GÓRY – KATOWICE | STADION ŚLĄSKI CHORZÓW – ZABRZE
JAWORZNO – SZCZYRK | KOPALNIA SOLI „WIELICZKA" – BIELSKO-BIAŁA
ZAKOPANE – BUKOVINA RESORT | BUKOVINA RESORT – BUKOWINA TATRZAŃSKA

Sponsor Główny

Carrefour

Sponsorzy Oficjalni

TAURON | HYUNDAI | LOTOS

Partner Strategiczny

LOTTO

Oficjalni Partnerzy

FRAIKIN WYNAJEM POJAZDÓW | studio55® advertising solutions

Oficjalny Pomiar Czasu

TISSOT SWISS WATCHES SINCE 1853

Główni Patroni Medialni

onet | PRZEGLĄD SPORTOWY | TVP 1 | Jedynka POLSKIE RADIO | CINEMA CITY | Fakt GAZETA CODZIENNA | cityboard media | TVP SPORT | pap POLSKA AGENCJA PRASOWA | wprost

Partnerzy

BUKOVINA RESORT | KOPALNIA SOLI „WIELICZKA" | Polska POLSKA ORGANIZACJA TURYSTYCZNA | quest sportswear | POLSKI CZERWONY KRZYŻ | PKP INTERCITY | KRAKÓW REGION MAŁOPOLSKA | Związek Ochotniczych Straży Pożarnych RP

Patroni Medialni

TOUR | BIKEWORLD.PL | naszosie.pl | TVP.pl

Sponsorzy Wspomagający

Kinder+SPORT DAY OF MOVING | ZIS | IMPEL GROUP | Pogotowie Ratunkowe Siedlce | MAVIC | BRUNOX | LAVARD | wega

Oficjalna Woda

CISOWIANKA

75.TourdePologne UCI WORLD TOUR 4-10.08.2018 LANGTEAM www.langteam.com.pl

MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

W stylu Bannona

MARCIN MAKOWSKI: Steve Bannon, były strateg kampanii i doradca Donalda Trumpa, po niesławnym odejściu z Białego Domu otrząsnął się i założył organizację polityczną. Jej cel to promowanie eurosceptycznych oraz nacjonalistycznych ruchów w Europie...

MATTHEW TYRMAND: I oczywiście w przewrotnym stylu Bannona ogłosił tę inicjatywę w lewicowym portalu Daily Beast, który w 2010 r. połączył się w jedną spółkę z drukowaną wersją amerykańskiego „Newsweeka". Rzeczywiście, on chce stworzyć koalicję prawicowo-populistycznych ugrupowań w Europie – od Włoch przez Niemcy i Wielką Brytanię do Skandynawii; dać jej wspólną platformę komunikacji i wymiany doświadczeń, aby w konsekwencji przyczynić się do obalenia brukselskiej centralistycznej polityki Unii Europejskiej, z czym akurat sympatyzuję od dawna. Każda forma rosnącej suwerenności państw narodowych, jak to ma miejsce np. na Węgrzech, jest bliska filozofii Bannona, którą chce przeszczepić z USA.

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

Gdzie jest miejsce Polski w tej układance? Rozmawiałeś z nim na ten temat?

Tak, rozmawialiśmy o Polsce. Zdaniem Bannona i Raheema Kassama, który mu pomaga, Warszawa ze względu na swoje zatargi z Komisją Europejską podważającą demokratyczny mandat wyborczy, będzie istotnym elementem i katalizatorem całego ruchu. Chodzi głównie o niechęć Polaków do zakończonej fiaskiem polityki migracyjnej UE. Tłumaczyłem im jednak, że choć PiS wydaje się z zewnątrz nieco eurosceptyczny, zarówno partia Jarosława Kaczyńskiego, jak i większość Polaków popierają ideę przynależności do Unii, którą utożsamiają z ogólnym wzrostem dobrobytu, funduszami strukturalnymi i otwarciem zachodnich rynków. PiS uważa również, że Unia w jakiejś mierze chroni Polskę przed wpływami Rosji. Konflikt z Brukselą nie odbywa się zatem na obszarze negowania samej idei sojuszu, lecz dotyczy przeciągania liny odnośnie do zakresu reform, które państwo narodowe ma prawo przeprowadzać na własnym terenie według własnego uznania. Polska nie chce zatem rozsadzić tego układu od środka, ale go zmienić według swoich potrzeb. Bannon szuka tego pierwszego rozwiązania.

Może w takim razie „uśmiechnie się" do narodowców?

I tutaj zaczynają się schody, bo na papierze właśnie takie ruchy i ugrupowania wydają się idealnymi eurosceptycznymi sojusznikami. Starałem się jednak przekazać Bannonowi, że to nie są jego sojusznicy, ponieważ choć oficjalnie odżegnują się od etnonacjonalizmu, zarówno w ich szeregach, jak i ich elektoracie jest wielu popierających go ludzi. To niejednokrotnie młodzi, agresywni i sfrustrowani ludzie. Bosak i Winnicki mogą przekonywać wszystkich, że mają inne wartości, ale elektoratu się nie wybiera.

Czyli Steve Bannon nie wybierze się w najbliższym czasie do naszego kraju, żeby organizować antybrukselską rewolucję?

Wiem, że chciałby przylecieć, ale niespecjalnie ma się z kim spotkać. Czołowi politycy rządowi stronią od tego typu ludzi, oficjalnie popierających francuski Front Narodowy i niemieckie AfD. Z tego, co wiem, ani Nowogrodzka, ani KPRM nie są zainteresowane podobną debatą.

Widziałem, że jakiś czas temu byłeś na paradzie Polonii w Buffalo. Ciekawy kierunek – dla wielu Polaków główne skupiska rodaków w USA to Chicago, Nowy Jork czy Miami, ale to chyba niepełny obraz.

Prawdę mówiąc, Buffalo to chyba najbardziej „polski" obszar metropolitalny w całych Stanach, należą do niego też niektóre części przedmieść, gdzie mówi się po polsku. Lokalna społeczność jest bardzo mocno zaangażowana w politykę, co było widać na tegorocznej paradzie Pułaskiego, zorganizowanej wspólnie z obchodami 100-lecia odzyskania niepodległości. Co ważne, w uroczystościach – oprócz przedstawicieli polskich władz w osobie Anny Marii Anders i konsula Macieja Golubiewskiego – wzięli również udział istotni z punktu widzenia stanu Nowy Jork kongresmeni i senatorzy. Naprawdę miło obserwować, jak Polonia, zamiast się spierać, tworzy konstruktywne inicjatywy i walczy o poparcie lokalnych decydentów. ©℗

ROZMAWIAŁ **MARCIN MAKOWSKI**

eprasa.pl 9eadf03530

Wygodne, **wakacyjne podróże** z Rentis

RENTIS
Smart way to rent a car

+48 720 200 500 www.rentis.pl info@rentis.pl

OGÓLNOPOLSKA WYPOŻYCZALNIA SAMOCHODÓW

BIAŁYSTOK +48 519 535 331 **BYDGOSZCZ** +48 519 535 300 **GDAŃSK** +48 519 535 311 **GORZÓW WLKP** +48 519 535 327
KATOWICE +48 519 535 301 **KIELCE** +48 519 535 304 **KRAKÓW** +48 519 535 305 **LUBLIN** +48 519 535 318
ŁÓDŹ +48 519 535 308 **OLSZTYN** +48 519 535 314 **OPOLE** +48 519 535 309 **PŁOCK** +48 519 535 334 **POZNAŃ** +48 519 535 303
RZESZÓW +48 519 535 306 **SZCZECIN** +48 519 535 310 **WARSZAWA** +48 519 535 302 **WROCŁAW** +48 519 535 307

eprasa.pl 9eadf03530

OKIEM BLOGERKI

Płatek i mądrość etapu

KATARYNA

***MONIKA PŁATEK:** Oni przekroczyli zasady dobrego wychowania i ośmieszyli się jako dziennikarze. Natomiast to nie jest tego typu ciężar gatunkowy, by tych dwóch, zachowujących się jak młodziki, dość nieodpowiedzialnych i niekulturalnych dziennikarzy, traktować Kodeksem karnym. Tym sposobem ośmieszamy przepis o znieważeniu ze względów narodowościowych. Zostaną skazani – źle, zostaną uniewinni – będą triumfować. To, co zrobili ci panowie, było szalenie niestosowne, ale czy to powód do stawiania zarzutu karnego? On nie ma być reakcją na każde niestosowne, niekulturalne, niemiłe zachowanie, nawet jeżeli jest to na antenie. Dużo lepszym sposobem jest skłonienie ich do przeproszenia. Ci panowie byli bezmyślni, niekulturalni. Żyją w trochę innym świecie niż większość Polaków.*

Nie uśmiałam się z żartów z Ukrainek, nie uśmiałam się z żartu z Gersdorf, oba uważam za absolutnie nieakceptowalne w przestrzeni publicznej

Tak Monika Płatek broniła swego czasu Kuby Wojewódzkiego i Michała Figurskiego, gdy prokuratura nie doceniła ich „żartów" na radiowej antenie i postawiła im zarzut znieważenia Ukrainek. „Gdyby moja Ukrainka była ładniejsza, tobym ją zgwałcił" – rechotał Figurski i chyba trudno sobie wyobrazić coś bardziej obrzydliwego, ale przecież skoro „żyje trochę w innym świecie", to nawet zadeklarowana feministka znalazła w sobie chęci i argumenty za obroną jego prawa do publicznych rozważań o kobietach zbyt brzydkich, żeby na gwałt u celebryty „zasłużyć".

Co więc się stało, że ta sama Monika Płatek właśnie doniosła do prokuratury na Cezarego Gmyza o znieważenie Małgorzaty Gersdorf użyciem niemieckiego słowa oznaczającego „zdzirę", gdy przecież wszystkie argumenty, którymi z takim zaangażowaniem broniła Wojewódzkiego i Figurskiego, można z powodzeniem odnieść także do Gmyza? Nie uśmiałam się z żartów z Ukrainek, nie uśmiałam się z żartu z Gersdorf, oba uważam za absolutnie nieakceptowalne w przestrzeni publicznej, mogę tylko podziwiać wygimnastykowany umysł pani profesor, która tak zgrabnie godzi swoją postawę z kiedyś i z dzisiaj. Bo chyba nie jest zwykłą hipokrytką, której opinia o karalności czynu zależy wyłącznie od tego, jak blisko lub daleko jej politycznie do sprawcy?

Ale co jeśli sprawa Gmyza trafi do tej sędzi, która niedawno orzekła, że można nazywać konstytucyjną minister „suką", bo „nie jest to słowo powszechnie uznawane za obelżywe", i Gmyzowi się upiecze? Albo jeszcze gorzej: sędzia okaże się rozgrzany i Gmyza skaże, uznając, że organów państwa znieważać wyzwiskami nie wolno? Jeśli takie orzecznictwo się przyjmie, może to zdziesiątkować szeregi podsejmowej opozycji, gdzie wyzwiska pod adresem konstytucyjnych organów, z głową państwa na czele, są na porządku dziennym. Ale wtedy na pewno pani Płatek nam wytłumaczy, że Gmyzowi nie wolno, ale antypisowskiej opozycji wręcz bardzo wypada. ©℗

PODSŁUCHANE

Poważna sprawa?

Jarku, nasi senatorowie pytają, co mają robić. Bo musimy niedługo głosować.
Stasiu, czy ja im naprawdę muszę za każdym razem mówić?

No... W zasadzie to niby nie, ale oni się bardzo do tego przyzwyczaili.
No to zrobimy eksperyment: powiedz im, że nie mogłeś się ze mną porozumieć.

Ale jak to?
Powiedz, że mnie noga bolała. I że musiałem kota nakarmić, a poza tym planowałem z Joachimem, dokąd pojechać na wakacje, i byłem strasznie zajęty. Nie miałem czasu na jakieś bzdury.

Ale jak to?... Przecież oni... Oni się pogubią kompletnie. Pewnie będą mnie pytać, co mają robić.
No to im powiedz.

Ja?! Żartujesz? W życiu bym na siebie takiej odpowiedzialności nie wziął!
Przecież ty lekarzem jesteś, z zasady bierzesz odpowiedzialność.

Ale za pacjenta, a tu to jest poważna sprawa!
E tam, poważna. To referendum jest niby poważne?

O matko! No to co robimy?!
Mówiłem już: powiedz, że karmiłem kota i nie miałem czasu. Co oni wtedy zrobią?

Zgłupieją. Pewnie się wstrzymają.
No i świetnie. A teraz idź, bo muszę kota nakarmić. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Jeśli bezrobocie zniknęło, a gospodarka jest w dobrej kondycji, to może wcale nie trzeba tworzyć nowych miejsc pracy?"

KRZYSZTOF BOSAK
wiceprezes Ruchu Narodowego na Twitterze

eprasa.pl 9eadf03530

Powtórka z rozgrywki

Dzisiejsza polska *„bitwa o sądy”* jest drugą tak gwałtowną (zaś identyczną pod względem przejawów) w dziejach RP. Dokładnie 240 lat temu (1778) przerabialiśmy już to wszystko nieomal detalicznie: ówczesna próba reformy znajdującego się w fatalnym stanie sądownictwa napotkała wściekły opór reakcji czyli *„kół zachowawczych”*, wspomaganych przez wrogie Polsce ośrodki zagraniczne.

Król Stanisław August miał szczerą chęć unowocześnić archaicznie zapyziałe (postsaskie) państwo modą oświeceniową, i tego samego pragnęła skupiona wokół niego grupa światłych reformatorów. Uważali oni, iż zacząć trzeba od uzdrowienia struktury sądów tudzież prawa sądowego. Stanisław Konarski wezwał, by powołać specjalną komisję gwoli *„zaprowadzenia ładu w chaosie prawnym”*. Sejm roku 1776 powierzył to zadanie Andrzejowi Zamoyskiemu, byłemu marszałkowi trybunału koronnego i byłemu kanclerzowi wielkiemu koronnemu, człowiekowi znanemu z odwagi (twardo protestował przeciwko brutalności carskiego ambasadora Repnina) i z reformatorskich ciągot (już A. D. 1764 przedstawił pierwszy program zreformowania Rzeczypospolitej). Nikt nie nadawał się wtedy lepiej do czyszczenia rodzimej sądowniczej *„stajni Augiasza”*, ergo: do uporządkowania trybunałów tudzież ustawodawstw sądowych tak, by w całym królestwie panowało jedno prawo dla wszystkich (*„leges in unum corpus”*).

Podczas prawie dwuletniej ciężkiej pracy zespołu prawników i rozmaitych sądowych ekspertów Zamoyskiego (Węgrzecki, Wybicki, Rogalski, Chreptowicz, Szembek, Łoyko) apelowali oni do społeczeństwa o nadsyłanie uwag i propozycji dla wydoskonalenia nowego kodeksu sądowych praw (odzew był duży, lecz głównie ze strony *„wsteczników”*, obrońców stanu dotychczasowego). Krajową opinię informowano na bieżąco o postępie prac dzięki regularnemu publikowaniu **„Listów patriotycznych”** Józefa Wybickiego. Wybicki podkreślał tam, iż głównym założeniem tworzonej przez zespół Zamoyskiego kodyfikacji jest to, aby nowe prawa broniły słabych przed uciskiem ze strony możnych (drobną szlachtę przed opresją magnacką, chłopów przed szlachecką, mieszczan przed drapieżnością wszelakich nobilów), oraz że celem jest — prócz porządkowania chaosu kodyfikacyjnego — antyfeudalizm, kontranarchizm, promocja wolności osobistej obywateli RP, plus likwidacja każdej niesprawiedliwości.

1 października 1778 roku, równo 20 miesięcy od formalnego (decyzją Sejmu) zaczęcia prac kodyfikacyjnych, ze sławnej królewskiej drukarni Michała Grölla wyszedł duży (342 strony *„folio”*) tom pt. **„Zbiór Praw Sądowych na mocy Konstytucyi roku 1776 przez J. W. Andrzeja Zamoyskiego ułożony y na Seym roku 1778 podany”**. Regulował on nowocześnie rozmaite problemy prawne (np. w zakresie prawa cywilnego wprowadzał zmodernizowane sensownie typy umów między kontrahentami), przywracając uciskanym grupom społecznym sprawiedliwość kosztem grup wcześniej uprzywilejowanych (np. ograniczał poddaństwo chłopstwa, ustanawiając stosunki kontraktowe między dworem a wsią). Umacniał miasta oraz mieszczaństwo, równając *„wszelkie podatki i ciężary bez excepcyi”*, jednak łagodził to wobec szlachty tak, że summa summarum stanowił rodzaj szlachecko–mieszczańskiego kompromisu. Docelowe zbliżanie ku sobie zantagonizowanych klas społecznych (*„stanów”*) obejmowało nawet prawne ułatwiania małżeństw między *„herbowymi”* a mieszczuchami. Ostatnia (trzecia) część *„Kodeksu Zamoyskiego”* (jak go zwano powszechnie) prezentowała reorganizację sądów, ich ścisłe kompetencje, szczegóły procedur sądowych, a wszystko w duchu równości obywateli wobec praw (*„trybunały jedne dla wszystkich stanów”*). Tego samego roku (1778) Krasicki napisał strofy, które cytuję jako motto:

∞

Ignacy Krasicki (1778):
„Wojnę domową śpiewam więc i głoszę,
Wojnę okrutną; nie śmiejcie się, proszę!
Bezwstydnych chęci widać tu igrzysko.
Ma świat z tumultu tego widowisko”.

∞

Gröllowska publikacja nowego kodeksu praw wywołała furię środowisk magnackich i szlacheckich, czyli ówczesnych elit, które — podobnie do dzisiejszych — chciały *„aby było tak jak było”*, i podobnie do dzisiejszych otrzymały wsparcie ze strony *„cudzoziemskich potencji”* (Rosji i Prus), które — niczym obecnie Berlin i Bruksela — miały się za uprawnione do mieszania wewnątrz Rzeczypospolitej, vulgo: do narzucania jej swoich koncepcji, systemów i kaprysów. Rozjazgotały się wrogo w całym kraju sejmiki, zaś opłacane przez carskiego posła Stackelberga oficyny tłoczyły paszkwile przeciwko nowej kodyfikacji praw (rolę pierwszorzędną grała anonimowa broszura **„Myśli obywatelskie”**, pełna jadu kontrreformatorskiego). Wkrótce główną sprężyną działań antykodeksowych stała się warszawska nuncjatura Watykanu, którą gniewały reformatorskie propozycje wobec kleru (*„Kodeks Zamoyskiego”* mówił, że duchowieństwo będzie podlegać sądowniczo państwowemu *„trybunałowi duchownemu”*, a nie jak dotychczas jurysdykcji wyłącznie papieskiej). W tej walce przeciw nowemu polskiemu prawodawstwu Watykan sprzymierzył się ściśle z Berlinem i Petersburgiem, i nie wadziła mu przy tym antykatolickość obu tych mocarstw — prawosławie Rosji czy protestantyzm Prus.

Zaciekłe, skoordynowane działania rosyjsko–prusko–watykańskie oraz wrogi kodeksowi tumult magnacko–szlachecki sprawiły, że Sejm roku 1778 nie przyjął nowych praw. Przez dwa kolejne lata trwały przepychanki ogólnokrajowe w tej kwestii, pełne pyskówek, burd i drukowanych oszczerstw. Elity RP doby Stanisławowskiej bezwzględnie — czyli bez *„białych rękawiczek”*, po chamsku — demonstrowały swój sprzeciw wobec uzdrawiającej państwo reformy, czyniąc to — jak dzisiejsze — tylko i wyłącznie dla zachowania swych koryt i przywilejów. Definitywnie miało się wszystko rozstrzygnąć na Sejmie roku 1780. Podczas jego obrad *„wstecznicy”* wywoływali — niczym dzisiaj — awantury pełne rękoczynów, skandowali obraźliwe slogany i hasła, zaś poseł gnieźnieński Sokolnicki (przyszły wróg Konstytucji 3 Maja) ostentacyjnie przedarł *„Kodeks Zamoyskiego”*, co też uczynił poseł płocki, Sierakowski, a za ich przykładem poszła duża grupa reakcyjnych posłów. Większością głosów uwalono nowe prawodawstwo (listopad 1780) i Stackelberg mógł pić szampana, myśląc już o rozbiorze słabej, podatnej na cudzą presję Rzeczypospolitej.

Historia lubi się powtarzać, ale podobno zazwyczaj jako farsa… ©℗

Waldemar Łysiak

P.S. Gröllowska edycja **„Zbioru Praw Sądowych…”** jest dziś bibliofilskim unikatem — *„rarissimum”* — bo gdy *„Kodeks Zamoyskiego”* został sejmowo skasowany, starano się zniszczyć wszystkie jego egzemplarze. Zachowało się niewiele z nich. Trudno mi się nie pochwalić, że jestem szczęśliwym posiadaczem owego cymelium — przepięknego woluminu w efektownej skórzanej oprawie *„z epoki”*. Kosztował krocie, lecz czego się nie robi dla *„białego kruka”*!

ZBIOR
PRAW SĄDOWYCH
NA MOCY KONSTYTUCYI
ROKU 1776.
PRZEZ
J. W. ANDRZEJA ZAMOYSKIEGO,
EX-KANCLERZA KORONNEGO, KAWALERA ORDERU ORŁA BIAŁEGO,
UŁOŻONY,
Y NA SEYM ROKU 1778.
PODANY.
W WARSZAWIE ROKU 1778.
NAKŁADEM J. W. ZAMOYSKIEGO,
w Drukarni J. K. Mci. Gröllowskiey.

eprasa.pl 9eadf03530

Dodajemy energii polskiemu wioślarstwu

Enea sponsorem generalnym wioślarskiej reprezentacji Polski

Enea - dostawca energii do działania z pasją!

enea.pl

eprasa.pl 9eadf03530